



Czy przeze mnie Jezus przychodzi na świat?
Czy daję ludziom ciepło, światło, wiarę?
Nie otrzymaliśmy wiary tylko dla siebie.
Mamy ją przekazywać innym.
Dając innym wiarę poprzez siebie,
przekazujemy najważniejszy podarunek
Dar, jakim jest sam Jezus.
Dar Bożego Narodzenia to być człowiekiem,
przez którego Jezus znowu przychodzi na świat.

Ks. Jan Twardowski

SPIS TREŚCI

NASZE ROCZNICE

90. ROCZNICA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI 2

GŁOS POLSKI Z POLESIA

Eugeniusz Lickiewicz, *Co dalej?* 3

POLESKIE MIASTA

Katarzyna Witwicka, *To miasto Pińsk się nazywa* 5

Historia Seminarium Duchownego w Pińsku 20

Ryszard Kapuściński, *O Pińsku i Polesiu* 22

OŚWIATA

Helena Jaruticz, *Z życia Niedzielnej Polskiej Szkoły w Pińsku* 23

KULTURA

Igor Demjaniuk, *Prasa polska w Brześciu w l. 1919-1939* 26

AKTUALNOŚCI

Elżbieta Książek, *Ziemia nadal odsłania tajemnice przeszłości* 31

Piotr Boroń, *Okruchy przeszłości* 34

Alina Jaroszewicz, *O wdzięczności* 35

XX-lecie Związku Polaków na Białorusi w Europarlamentcie 36

Piotr Boroń, *Wizyta historyków IPN w PSS w Brześciu* 37

Piotr Boroń, *Wystawa „Z największą brutalnością”* 39

Szlakiem Mickiewicza 40

Napoleon Orda w Sejmie RP 42

Inauguracja Roku Szkolnego w PSS w Brześciu 43

Regina Demjaniuk, *Zwiedzamy nasz Kraj* 44

Anna Paniszewa, *Forum naukowców polonijnych* 46

Wiktor Szukielowicz, *XVI Światowe Forum Mediów Polonijnych* 47

O RODAKACH WIELKIEGO SERCA

Franciszek Kosowicz 48

Józef Maria Cieśliński 50

ODDALONYM, ALE BLISKIM SERCU

Józef Adamski, *Jak powstał elementarz* 51

FORUM CZYTELNIKÓW

LEKTURA DLA CIEBIE

Joanna Sypuła-Gliwa, *Dzkie gęsi z Zielonej Wyspy* 65

Bogdan Mielnik, *Niedzielne popołudnie ciotki Mani* 75

Adam Mickiewicz, *Litania Pielgrzymstwa Polskiego* 80

‘ECHA POLESIA’

Kwartalnik Zjednoczenia
Społecznego „Związek
Polaków na Białorusi”

Założyciel:

ODDZIAŁ BRZESKI
ZS „Związek Polaków
na Białorusi”

Adres Redakcji:

Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail:
klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:

Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy
współudziale Senatu RP,
Fundacji „Pomoc Polakom
na Wschodzie” i Fundacji
Pomocy Szkołom Polskim
na Wschodzie im. T. Goniewicza
oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny i kolportaż:

Fundacja im. T.
Goniewicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
tel. (81) 747-6163
kom.: 605-828-137
e-mail:
fundgon@neostrada.pl

Fotografie na okładce:
Aleksy Dubrowski

Skład i łamanie:
Dorota Kapusta

Druk: POLIHYMNIA

90. ROCZNICA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI



Data 11 listopada 1918 r. jest dla Polaków najważniejszą, gdyż oznacza zmarłych wstanie Polski po długoletniej niewoli i tyranii rosyjsko-germańskiej. Niewola ta zaplanowana przez Rosję i Prusy rozpoczęła się od 1772 roku, to jest od 1. zaboru ziem polskich przez trzy sąsiednie państwa, które 3. rozbiorem w 1795 r. przypieczętowały upadek I. Rzeczypospolitej. Heroiczne próby Polaków ratowania niepodległości podjęte w Konfederacji Barskiej, w Powstaniu Kościuszkowskim, Legionach N. Bonaparte, Powstaniu Listopadowym i Styczniowym nie mogły uratować Polski wobec totalnej przemocy państw sąsiedzkich, nie uznających podstawowych zasad współżycia międzynarodowego. Naród Polski popadając w niewolę utracił i wycierpiał tak wiele, że nie sposób znaleźć podobny inny przykład. Synonimem zniewolenia stał się Sybir, dokąd pędzono najlepszych bez możliwości powrotu. Straty w tożsamości narodowej, życiu religijnym, kulturze, gospodarce były niewyobrażalne i astronomiczne. Wielu Polaków popadło

w apatię i uległo zniewoleniu. Dopiero wojna między Rosją i Niemcami-Austrią ożywiła u Polaków nadzieje na odzyskanie upragnionej wolności. Ale i ta wojna była dla Polski wielką tragedią, gdyż zaborcy zmuszali Polaków do walki w swych armiach, co oznaczało w konsekwencji bratobójstwo oraz totalne zniszczenie Kraju.

Mężem opatrzościowym stał się Józef Piłsudski z Wileńszczyzny, który stworzył warunki polityczne i wojskowe dla odzyskania przepowiadanej przez wieszczów niepodległości. Już w 1908 r. powstaje we Lwowie Związek Walki Czynnej, potem w 1911 Związek Strzelecki i Drużyny Bartosze, w których liczba przeszkolonych ochotników w samej tylko Galicji przekroczyła 12,0 tys. 6 sierpnia 1914 roku I. Kompania Kadrowa przekracza granice Królestwa, aby walczyć przeciw Rosji. W toku wojny powstają Legiony pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, które okryły się sławą bohaterskich bojów na froncie wschodnim. Wobec odmówienia przysięgi wierności Niemcom w końcu 1917 r., Legiony zostały skierowane do obozów, zaś ich komendant – do więzienia w Magdeburgu. W Warszawie powstaje Rada Regencyjna uznana przez entantę za rzeczywisty rząd polski. Jesienią 1918 r. wojna zbliża się ku końcowi, zaś w Rosji trwa terror bolszewicki. Piłsudski wraca z więzienia 10 listopada 1918, w następnym dniu zostaje mianowany naczelnym dowódcą tworzącej się armii polskiej, a Warszawa zostaje wyzwolona z okupacji niemieckiej.

Armia polska to wielka i niespotykana w dziejach improwizacja obronna narodu. W skład jej wówczas wchodziły Legiony, liczni ochotnicy, potem Błękitna Armia Józefa Hallera z Francji składająca się z kilkudziesięciu tysięcy ochotników z USA, Kanady i Francji, część żołnierzy z trzech korpusów polskich z formacji rosyjskich. Przybyły liczne grupy żołnierzy polskich z Murmańska, Ufy, Odessy, Kubania, a nawet z Irkucka poprzez Chiny. Po naszej stronie walczyły oddziały białoruskie pod dowództwem gen. Bułaka-Bałachowicza, łotewskie, ukraińskie Semena Petlury i in. Poszczególne ziemie polskie musiały same w walce orężnej „wybijać się na niepodległość”, poprzez Powstanie Wielkopolskie, trzy Powstania Śląskie, w walkach o Lwów, Wilno, Ziemię Cieszyńską itd.

Największe zagrożenie dla odradzającej się Polski, a także dla Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi i Ukrainy zaistniało ze Wschodu. Lenin po rozprawieniu się z „białymi” skierował Armię Czerwoną na Zachód w celu podboju Europy. Dzięki niespotykanemu bohaterstwu i nadzwyczajnemu poświęceniu całego Narodu Polskiego był możliwy „cud nad Wisłą”, gdzie bolszewicy pod dowództwem Tuchaczewskiego i Budionnego zostali całkowicie rozbici, w bitwie uznanej przez historyków jako 18. najważniejszej bitwie w historii świata!

Polska odzyskała 51% terytorium I. Rzeczypospolitej tj. 390,0 tys. km kw. wraz z 27 mln mieszkańców, w tym 74% narodowości polskiej. Straty, jakie poniesiono w walkach w okresie 1918-21, wyniosły ponad 200,0 tys. żołnierzy poległych, zaginionych, rannych i zmarłych.

Tak odradzała się nasza niepodległość, w której tworzeniu zasłynęli obok wyżej wymienionych także: Kazimierz Sosnkowski, Władysław Sikorski, Walery Sławek, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, ks. Ignacy Skorupka, Edward Rydz-Śmigły, abp Aleksander Kakowski, Jędrzej Moraczewski i inni.

CO DALEJ?

Jubileusz XX-lecia Związku Polaków na Białorusi stał się dla wielu z nas powodem nie tylko braw i gratulacji dla jego zasłużonych działaczy, lecz także powodem do refleksji i zadumy nad jego dalszym losem. A rzecz biorąc ogólniej - nad losem naszej polskości, nad losem tych naszych ideałów i wartości, o które z bronią w rękę walczyli nasi dziadkowie, które ukryte w swoich sercach wynosili nasi ojcowie, i które było nam dane wyrażać otwarcie, kiedy stało się to możliwe po upadku Imperium Sowieckiego. Szczególnie skłania do tego to, że przetrwawszy rozłam we własnych szeregach i rozbicie dokonane przez władze na dwa Związki, na domiar napotkawszych jego prób, nieuznawane przez tą władzę ZPB w ostatnim czasie staje się „kartą przetargową” w grze politycznej pomiędzy władzami naszego kraju.

Dwadzieścia lat w życiu organizacji społecznej, jaką jest ZPB, może nie aż tak duży okres, w życiu natomiast człowieka stanowi już znaczącą jego część. A przecież Związek - to przede wszystkim konkretni żywi ludzie, dla wielu z których odradzanie naszej tożsamości narodowej, naszej godności i pamięci historycznej, odkłamywanie prawdy o dziejach i losie naszego narodu, stało się najwyższym celem i pasją życiową. Mając wielki szacunek i sympatię do tych ludzi, pozwolę sobie na kilka własnych uwag i sugestii w odniesieniu do ZPB - być może zbyt osobistych i przez to niekoniecznie słusznych - tym niemniej szczerych. Bo wygląda na to, że obecnie ZPB jest na rozdrożu, ponieważ za 20 lat prawie nie do poznania zmieniła się i Polska, i Białoruś, zmieniła się sytuacja społeczno-polityczna w obu tych krajach, i w Polsce, i na Białorusi - tak bliskich sobie i tak do siebie nie podobnych, - zmienia się również hierarchia wartości u obywateli, i to wcale nie na korzyść tych wartości duchowych.

W czasach, kiedy w społeczeństwie jeszcze radzieckim dopiero co mijał szok, wywołany kompanią antyalkoholową Gorbaczowa, jeszcze będąc młodym człowiekiem, święcie przekonany że Polacy - to najlepszy naród na świecie, jechałem po studiach na stałe do Grodna. Jechałem jak do „Ziemi Obiecanej”. Niestety, napotkałem rzeczywistość jakże inną, niż te pielęgnowane od dzieciństwa przekonania o świetności moich rodaków. Bo niby wszystko było tak, jak być miało - stare królewskie miasto, majestat kościołów, urok wąskich uliczek grodzieńskiej starówki i nadniemeńskich krajobrazów, dookoła masa ludzi z polskimi imionami i nazwiskami... No właśnie - polskie imiona i nazwiska - jakże wielu ze spotykanych osób jedynie przez to wyróżniało się z reszty społeczeństwa sowiec-

kiego. Wolę nie wpominać jakichś konkretnych przykładów na dowód mojego niezrozumienia i rozczarowania, bo naprawdę nie warto. Być może poza jednym, bo jakże wymownym w swoim szczerym cynizmie. A więc wszystkim moim wątpliwościom i pytaniom „dlaczego?” położył kres pewien starszy znajomy Franek, który tak mówił, opowiadając o swoich przekonaniach życiowych: „Wiesz, ja tam w Boga wierzę, a nawet od czasu do czasu chodzę do kościoła. Ale kiedy skierowano mnie na kursy ateizmu, - ja ich ukończyłem z wyróżnieniem(!), później prowadziłem nawet lekcje ateizmu w swoim zakładzie.” „A co”, - ciągnął Franek dalej, - „nie ma nic w tym złego. Do życia trzeba się dostosowywać. Kto tego nie chce lub nie potrafi”, - mówił wyraźnie spoglądając na mnie, - „ten i nie ma nic!”. „Ot i masz tobie - ziemia obiecana” - pomyślałem, zdając sobie sprawę z bezsensu dyskusji z Frankiem. Bynajmniej te niemiłe wspomnienia przytaczam tutaj, by kogokolwiek osądzać, lecz tylko po to, by raz jeszcze uzmysłowić stopień naszego wynarodowienia - najbardziej rażący właśnie w Grodnie, miejscu największego skupiska Polaków na Białorusi oraz skalę krzywd, których doznali wszyscy ci, którzy „nie chcieli lub nie potrafili dostosować się do życia” zgodnie z receptą „na szczęście” Franka - jeżeli i nie ginąc w kazamatach NKWD lub towarzystwie niedźwiedzi, to pozostawiając na zawsze własną Ojczyznę, lub prowadzić szarą wegetację bez przyszłości, budując na rozkaz „świećlaną przyszłość” dla wybranych przywódców. Moim rozczarowaniom, niestety, nie było końca nawet w czasie rozbudowy już struktur i oddziałów Związku Polaków. Pamięcią wracam nieraz do pewnego nieznacznego epizodu, nieznacznego sądzę tylko na pozór, bo też niosącego pewną wymowę, kiedy to pewnej wolnej soboty na apel ks.proboszcza przed Dniem Zadusznym udałem się pomóc w sprzątnięciu cmentarza pobernardyńskiego w Grodnie. Ucieszyłem się bardzo na widok już tam pracujących kilkunastu ludzi. Aż w pewnym momencie podchodzi do mnie starszy pan w kapeluszu i z notesikiem w rękę. „Pana nazwisko?” - zapytał lakonicznie. „A po co?” - odparłem nieco zmieszany. „A to czy pan należy do Związku?” - kolejne pytanie, „No nie” - stwierdziłem. Ironiczne „A-a-a!” starszego pana jeszcze długo brzmiało w uszach, a postaci spisane na kartkę szeregowych związkowców jakoś zmiżerniały w moich oczach, i wracałem do domu w paskudnym humorze, nie umiejąc odpowiedzieć sobie, dlaczego nawet w ZPB nasze sumienie przelicza się na jakieś kotchozowe „praco-dnie”. Zupełnie zszokowany już zostałem przez kolejne bardzo smutne dla

mnie wydarzenie, kiedy po nieudanym starcie T. Gawina do parlamentu białoruskiego, w miejsce jego poparcie Związku dostał akurat mój główny przełożony w firmie - wysokiej rangi urzędnik, a razem z tym, wierny sługa i gorliwy wykonawca „polityki partii i rządu” Aleksander P. (w dzieciństwie - Wojtek P.).

Muszę przyznać, że przez powyższe oraz kilku podobnych, być może przypadkowych, ale i charakterystycznych wydarzeń dla ówczesnego stylu kierownictwa w ZPB, na lata zaniechałem dotąd drogi. Już później, poznawszy Związek od wewnątrz w jego codziennym życiu, doszedłem do wniosku, że administracja związkowa i jego kierownictwo są po prostu skazani na pewien stopień biurokracji. A wynika to z bardzo prostego powodu nadmiernej centralizacji władzy w rękach jednego prezesa oraz kilku najbliższych współpracowników. Z powodu tego zjawiska słyszałem od różnych ludzi wiele narzekań na Związek oraz czytałem na ten temat niejedną publikację w prasie polskiej. Tym niemniej może nie byłoby sprawiedliwym do końca oskarżanie o te rzeczy ówczesne kierownictwo związkowe. Bo można by powiedzieć też krótko - takie były realia, jak również trzeba przyznać, że mimo licznych uchybień, ten system centralizacji życia związkowego jeżeli i nie był w pełni właściwy - jednak w owe czasy sprawdził się. A najwyraźniej przemawiają za tym polskie szkoły w Grodnie i w Wołkowysku. Niestety, trwało tak tylko do czasu umocnienia się na Białorusi autorytarnych rządów jej pierwszego prezydenta. Bo dopiero era „kruczkowkich” w ZPB, o szarości której nie chce się nawet wspominać, bardzo wybitnie ujawnia stronę ujemną i całe niebezpieczeństwo nadmiernej centralizacji władzy (w naszym przypadku związkowej). Ponieważ wystarczyło, by związkowe stery trafiły do rąk jednego „apolitycznego” prezesa, by licząca się nawet w skali całej republiki organizację społeczną doprowadzić jeżeli nie do stanu ruiny moralnej, to co najmniej wyjałowić z treści wszystkie jej inicjatywy i przedsięwzięcia, cofając jej rozwój.

Wszyscy teraz widzimy, co kosztowało Związek uwolnienie się od takiego „kierownictwa”. Warto by o tym pamiętać zwolennikom „okrągłego stołu” z władzami i „łucznicami”, o którym pogłoski od pewnego czasu krążą po Grodnie, i inicjatywa przeprowadzenia którego wynika najprawdopodobniej z zakulisowych rozmów polsko-białoruskiej dyplomacji. Być może, zwolennicy ci są zmotywowani jedynie chęcią podziału na nowo portfeli i stanowisk związkowych, a być może naprawdę marzą o dawnym, tętniącym życiem ZPB z połowy lat 90-tych. Ale Związek już nigdy nie będzie taki sam, jakim był kiedyś. Bo nie tylko zmienił się czas, a razem z nim wiele zmieniło się dookoła nas oraz my sami. Co najistotniejsze

- razem z tym czasem odeszło od nas, i nadal odchodzi na zawsze to pokolenie naszych ojców i matek, które jak wyżej wspominałem, tą naszą polskość wynosiło i wypielegnowało w swoich sercach, dla którego te nasze ideały i wartości znaczyły więcej i były ważniejsze, niż różne zaszczyty czy stanowiska związkowe. I niebawem już tylko ludzie po czterdziestce będą pamiętać ten entuzjazm społeczny, manifestacje naszej polskości, radość i łączy w oczach na widok otwierających się po długich latach zakazu drzwi naszych świątyń. Gdzieś to wszystko przeminęło. A może, spisane do notesika starszego pana w kapeluszu też zmierniało i stało się mało komu potrzebnym i niezbyt ciekawym?

Nie ma nic dziwnego w tym, że w obecnych warunkach, kiedy cała dyplomacja białoruska w pocie czoła stara się „przerąbać okno do Europy”, a polski kapitalizm przez swoich liberalnych polityków stara się przywrócić w znacznej mierze utracone rynki na Wschodzie - w tym na Białorusi - niepokorny ZPB staje się nikomu nie potrzebną zawadą. A więc, schematy przygotowane (i wypróbowane) - rezygnacja ze stanowiska A. Borys, „okrągły stół”, nowe „wybory” - i nie ma problemu? (Rp 19.09.08 r.). Jak podano w późniejszej prasie polskiej, premier D. Tusk kolejny raz zapewnił o swoim poparciu rodaków z Białorusi, czyli swoje „tak” dla A. Borys i „nie” rewizji stosunku do ZPB. Ale ostatnio zbyt często jakoś jest zmuszony to robić. Przecież jest jeszcze świeżo w pamięci niedawny incydent, związany z zakazem wjazdu do Polski wice-prezesa ZPB J. Porzeckiego. Zakaz co prawda cofnięto, a jednak... A ile jeszcze takich „wypadków” czeka nas w przyszłości? Czy może to trwać w nieskończoność, bo ile jeszcze sił - psychicznych i fizycznych pozostało u A. Borys, u A. Jaroszewicz, u J. Porzeckiego i innych, ciągle wystawianych na próbę naszych reprezentantów?

Pomijając nawet zagadnienia natury moralnej, wynikające z propozycji rozmów z „łucznicami” i z sytuacji dookoła ZPB, naiwnym byłoby złudzenie, że władza białoruska, sprawowana przecież w formach dalekich od zasad ogólnie uznawanych za demokratyczne, zgodzi się na niezawistą działalność Związku nawet po takich „wyborach”.

Być może, wyjściem kompromisowym z tej sytuacji byłyby jednak wybory? Ale nie te wybory „od góry”, tylko swoje wybory „od dołu”. Oraz zaniechanie wreszcie, z komunistycznego spadku powziętej przecież, zasady centralizacji władzy związkowej na rzecz federacji regionalnych organizacji polonijnych. Może zmniejszy to naszą wagę w życiu społeczno-politycznym naszego kraju, ale przez to zmniejszy też napięcia w naszych stosunkach z władzami, obecnymi i przyszłymi RB; jednocześnie stając się bliżej swoich ludzi.

Eugeniusz Lickiewicz,
Prużana

To miasto Pińsk się nazywa

Po polsku Pińsk, po łacinie Pincum lub – w wersji spolszczonej – Pinskum, po białorusku Piensk, po żydowsku Pinkas, u latopisów ruskich Pinask. Jest wersja, że nazwa wywodzi się z łacińskiego słowa *pinus*, które, między innymi, znaczy „sosna”, bo jakoby z tych okolic Rzym sprowadzał sosnowe pnie na okrętowe maszty.

Pińsk należy do bardzo starych grodów Rusi Litewskiej, jednak dokładna data jego powstania nie jest znana. (Coś tak, jak ze źródłem Piny, nad którą przecież jest położony. Ano, kto z kim przestaje...). Notaty klasztoru leszczyńskiego – Leszcz, późniejsze przedmieście Pińska – mówią o nim jako o już istniejącym za Włodzimierza Wielkiego (Wareg z pochodzenia, prawdziwe jego imię było: Waldemar, zmarł w 1015 r.).

Jako datę zaistnienia Pińska podawano rok 1095, zaś źródła żydowskie mówią, iż synagoga pińska wybudowana została w 1050 r. Natomiast Nestor po raz pierwszy wymienia Pińsk w 1097 r. i tę właśnie datę przyjęto uważać za narodziny miejscowości. Jedno drugiemu zresztą wcale nie przeczy, bo, żeby zasłużyć na uwagę dziejopisa – osada (prawdopodobnie początkowo rybacka) musiała się czymś wyróżniać. Tak, czy siak – nie ulega wątpliwości, że Pińsk jest starszy, niż oficjalnie przyjęto uważać. Niech mu będzie!

Długo czas Pińsk i Turów to łączyły się w jeden udział książęcy, to się rozdzielały. Pińsk przechodził z rąk do rąk, zaś o całość Pińszczyzny dobijali się różni książęta. Historia tego księstwa jest niezwykle pogmatwana i – na tym miejscu – chyba nie warto dociekać, jak to tam było w rzeczywistości. W XII w. górę zaczęła brać Litwa. Około 1140 r. książęta jej – Kukuwojtis i Montwiłł – spustoszyli okolice Turowa i Łucka, a Pińsk został spalony. O ile początkowo celem napadów były łupy i zadowolenie z samego faktu

wojowania – wiodły one nieuchronnie do podboju tych ziem. Około 1220 r. książę nowogródzki Skirmunt pobił na głowę, pod Stoszanami 5 mil od Pińska, księcia włodzimierskiego i turowskiego Mściława. Zdobył Pińsk, ale pozostawił przy władzy panującego tam księcia Jerzego. W dwadzieścia lat później Tatarzy – Szejbak i jego naczelny wódz, Kojdan, wiele miast – w tym Pińsk – obrócili w perzynę. Pobił ich Erdziwiłł i zawładnął całym Polesiem. W tymże XIII w. Wojsielko, syn Mendoga, przyjął chrzest i został mnichem. Przed zabójcą swego ojca, Towściłem, schronił się w klasztorze leszczyńskim, czyli na przedmieściu Pińska. Kotłowało się tam bez ustanku. Aż w 1320 r. Giedymin, wielki książę litewski, przyłączył Pińsk i cały obszar południowo-wschodni do swych posiadłości. Jednak księstwo pińskie, choć na innych już warunkach, istniało jeszcze z górą dwa wieki. Po Giedyminie panował jego syn, Narymont, który zginął 2 lutego 1348 r. w bitwie nad rzeką Strawą. Jego prawdopodobny wnuk, Wasyl Michałowicz Narymontowicz, jest już postacią wyraźniej osadzoną w historii, bowiem pozostały po nim dokumenty. Zmarł pod koniec XIV w. Jeden z następnych książąt miał przydomek Nos i brał udział w ... I tak dalej, i dalej.

Po wygaśnięciu rodu Narymontowiczów Pińsk „spadł na króla” Polski, który zwolnił bojarów pińskich od niektórych powinności. Przywilejem z dnia 27 kwietnia 1471 r. miasto nadano wdowie po ks. kijowskim, Semenie Olelkowiczu. I znowu Pińsk przechodził z rąk do rąk, teraz już drogą nadeń, spadków lub jako wiano. Sypały się liczne przywileje dla cerkwi, monasterów i szlachty. Książę Fedor Jarosławowicz, chociaż sam prawosławny, nie mało świadczył franciszkanom pińskim, których klasztor ufundował książę Zygmunt Kiejstutowicz w 1394 r. (inne źródło podaje datę o dwa lata późniejszą). „Przywilejów tych kil-

Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi
Z ludźmi twymi całe ziobra,
A z furmanki całe nogi:
Podróż była bardzo dobra!

WINCENTY POL
„Pieśń o ziemi naszej”



Г. Пинск



kadziesiąt znaleźć i teraz jeszcze można w pow. pińskim, szczególnie u szlachty okolicznej, jak np. w Stachowie”. Niestety, drukowano te słowa w 1887 r.

Nawiązując znowu do czasów pradawnych, to najzupełniej już historycznie związana z Polesiem była królowa Bona. W 1523 r. król Zygmunt I zamek i miasto Pińskie, z dworami Kieleckiem, Horodkiem, Rohaczewem, ich miasteczkami i włościanami, spadłe na niego po śmierci kniazia Fedora Iwanowicza Jarosławicza „dał w posesyą” żonie. Dobra pamięć o królowej przetrwała na Pińszczyźnie długo. Bona budowała tam drogi, „kopala rowy” (czyli kanały). Jeden z nich, długości 6 wiorst, ciągnął się od Pińska do majątku Stetyczów. (Nie wykluczone, że do kopania owych „rowów” skłoniła królową przygoda, kiedy to jej karoca – razem z nią! – omal nie utonęła w błocie...). Później kanał zarastał powoli zieleśnią i ponoć nigdy odnawiany nie był (w każdym razie – do 1887 r., z którego ta informacja pochodzi). Nim zarósł całkowicie, długo ludziom służył. Królowa nadawała też przywileje. Potomkowie szlachty poleskiej jeszcze w latach międzywojennych pieczętowali oryginalne tych dokumentów. Między innymi, na przykład w 1524 r. nadała Marcinowi Szyrmie herbu Dołęga przywilej na dobra: Sielce, Koniuchy, Łopatyn, Chłaby, Czarnów, Lachowicze, Boryszewicze, Tywrowicze, Hrywkowicze i Łasick. Ale szczególnie może upamiętniła się królowa Bona Prużanie, zmieniając ją z osady w miasteczko. Zaś Anna Jagiellonka, czyli córka Bony, nadała miastu, w 1588 r., herb, będący herbem Sforza. Aż do II wojny światowej, to znaczy przez przeszło trzysta pięćdziesiąt lat, ten herb służył Prużanie jako pieczęć miejska.

Zygmunt August, ostatni Giedyminowicz-Jagiellończyk, w roku 1569 utworzył z Polesia osobne województwo, dzielące się na dwie ziemie – brzeską i pińską. Zaś w 1581 r. Stefan Batory nadał Pińskowi prawa magdeburskie, przywilej na jarmarki i kontrakty oraz herb: w czerwonym

polu napięty złoty łuk ze srebrną strzałą o stalowym ostrzu.

5 maja 1706 r. przybył niespodziewanie do Pińska król szwedzki Karol XII. Ten sam, który dwa lata wcześniej poparł na tron polski Stanisława Leszczyńskiego. Teraz przybył z wojskiem, a był to epizod tzw. wojny północnej. Na razie, w Pińsku, zaledwie zsiadłszy z konia, wszedł na dzwonnice kościoła jezuickiego, by przyrzec się otaczającej miasto „dziwnej okolicy”. A spostrzegłszy nieścignione okiem błota i wody, zawołał: „Otóż to moje non plus ultra!” Nie było jednak sposobu przedostania się bezpośrednio na Wołyń. Ani mostami, ani na łodziach, jak to sobie zamyslił. Musiał poczekać kilka dni, nakazując tymczasem reperować przeprawy. Aliści po dziesięciu dniach – o północy, konno, chyłkiem – i tylko w towarzystwie księcia Wirtemberskiego, wyjechał.

Mimo opisanych już najazdów rozmaitych wrogów, mimo związanych lub nie związanych z nimi pożarów, Pińsk rozrastał się i piękniał. Przybywało mu budowli sakralnych. Pod względem kościelnym Pińsk wraz z powiatem z dawien dawna należał do katolickiej diecezji łucko-brzeskiej. Po trzecim rozbiórze Polski utworzono diecezję katolicką w samym Pińsku; jej pasterzem został biskup kijowski Kasper Kolumna Cieciszewski. Jednak już w 1798 r. przyłączono Pińsk do nowo utworzonej diecezji mińskiej. Diecezje zmieniały się, łączyły, dzieliły. Najdłużej, bez mała trzysta lat, przetrwała diecezja obrządku wschodniego, którą Włodzimierz Wielki założył w Turowie, a ks. Witold przeniósł do Pińska. Zwała się pińsko-turowską. W 1596 r. na synodzie brzeskim, jej biskup, Leoncjusz Pełczyński „przyjął unią” i trwała ona do 1794 r. Ostatnim pińskim biskupem unickim był Joachim Horbacki. Po kasacji diecezji powrócił do obrządku rzymsko-katolickiego i osiadł u kanoników regularnych w Słoniemiu, gdzie pobierał „pensję dożywotnią” 3000 rubli. Katedra unicka w Pińsku była drewniana, po skasowaniu jezuitów przeniesiono ją do ich kościoła.

Z HISTORII PIŃSKA

- 1097 r. - pierwsza wzmianka o Pińsku
- 1241 r. - przeniesienie z Turowa diecezji prawosławnej
- 1316 r. - po tej dacie, Pińsk włączono do Wlk. Ks. Litewskiego
- 1396 t. - powstaje katolicki kościół i klasztor franciszkanów
- 1523 r. - podarowanie Pińska królowej Bonie i początek rozkwitu miasta
- 1569 r. - siedziba powiatu
- 1581 r. - król Stefan Batory nadaje prawa miejskie
- 1648 r. - kozacy Nebaby zajmują miasto. Szturm miasta przez wojska królewskie. Pożar miasta.
- 1655 r. - Moskale i Kozacy atakują miasto i wyrzynają mieszkańców.
- 1657 r. - Kozacy Zdanowicza niszczą miasto
- 1666 r. - fundacja klasztoru dominikanów
- 1690 r. - założenie osady Karolin przez Jana Karola Dolskiego
- 1695 r. - budowa w Karolinie kościoła i zamku
- 1706 r. - od 5 maja do 3 czerwca. Zajęcie Pińska przez króla Szwecji Karola XII.
- 1717 r. - budowa klasztoru bernardynów
- 1734 r. - budowa klasztoru karmelitów
- 1756 r. - budowa klasztoru marianów
- 1773 r. - kasata zakonu jezuitów
- 1767 r. - budowa Kanału Ogińskiego
- 1775 r. - budowa Kanału Królewskiego
- 1793 r. - II rozbiór Polski. Pińsk od tej pory w Rosji.



W 1773 r. Pińsk posiadał dziewięć kościołów i klasztorów rzymsko-katolickich. Dwa z nich były żeńskie – bazylianiek i mariawitek – siedem męskich: bazylianów, bernardynów, dominikanów, franciszkanów, jezuitów, karmelitów i „komunistów”. Ci ostatni powinni być pisani – prawidłowo – przez dwa „m”, ale w Słowniku Geograficznym z 1887 r. figurują przez jedno. Zgromadzenie księży komunistów założył Bartłomiej Holtzhauser, urodzony w 1613 r. w Elektoracie Bawarskim. „Przypisał dla nich konstytucje” zalecając usunięcie kobiet z domu i wspólnotę życia kapłanów – *Communitas*. Od tego pochodzi nazwa zakonu. Regułę zatwierdził, w 1685 r. papież Innocenty XI. Do Polski, za panowania Jana III, komunistów sprowadził – w tymże 1685 r. – biskup poznański i osadził ich w Górze Kalwarii, zwanej także Nową Jerozolimą. W Pińsku komuniści otrzymali kościół filialny pw. św. Karola Boromeusza przy ówczesnej ulicy Albrechtowskiej. Kościół ten ufundowali książęta Dolscy jeszcze w roku 1595. Ostatnie wzmianki o zgromadzeniu pochodzą z 1772 r.; było wtedy pięćdziesięciu siedmiu kapłanów i posiadali dziesięć domów. Po komunistach kościół w Pińsku objęło biskupstwo.

Są różne wersje kto i dokładnie kiedy sprowadził do Pińska ojców jezuitów. Natomiast zgodność występuje co do tego, że to książę Albert Stanisław Radziwiłł wzniósł im wspaniałe, murowane, trzypiętrowe kolegium z kościołem. A ponieważ co do daty źródła znowu się nie zgadzają – przyjmijmy, iż obiekty te postawiono w latach 1631-1635. Z ich budową wiąże się zabawna bajeczka. Pewnego dnia robotnik osunął się i zaczął spadać z rusztowania. Rozległy się krzyki o ratunek. A właśnie przechodził tamtędy braciszek zakonny, laik (to znaczy, nie mający jeszcze święceń), słynący z łatwości czynienia cudów. Robił ich tak wiele, że ksiądz rektor, w obawie, by ludziom nie spowszedniały, zakazał mu tego. Teraz więc brat odparł, że pomóc nie może, bo mu nie wolno... (Swoją drogą, robotnik

musiał spadać powoli, skoro był czas na pogawędkę!). Jednak powiedział: Czekaćcie, pójde, poproszę o pozwolenie. Gdy wymawiał słowo „czekaćcie”, spadający zawisł w powietrzu i czekał nieruchomo na powrót laika. Ten przybiegł co tchu z pozwoleniem i nieszczęśnika ocalił. Nie wiadomo jednak, czy – mocą cudownego działania – wyniósł go z powrotem w górę, na stanowisko pracy, czy ostrożnie osadził na ziemi...

Kościół i klasztor oo. jezuitów w Pińsku zostały spalone przez żołnierzy radzieckich we wrześniu 1939 r., w kilkanaście godzin po ich wkroczeniu do miasta. Natomiast dość okazały sobór prawosławny zniszczyły działania wojenne. Władze radzieckie przystąpiły nawet do odbudowy świątyni, ale zawaliła się wieża. (Zrobiła to bardzo rozsądnie: w czasie, gdy nie było robotników ani żadnych innych ludzi...) Wobec tego władze uznały, że dalej odbudowywać – jako kościoła – tych ruin nie warto. Pokryto je płaskim dachem, odremontowano i urządzono wewnątrz kino i jakiś klub.

Najstarszą z pińskich świątyń byłaby więc synagoga skoro miano ją wybudować w 1050 r. Miała ponoć głębokie i bardzo długie korytarze – lochy. Dokąd prowadziły? Do czego służyły? Synagoga paliła się – wraz z miastem – wiele razy. Odbudowywano ją, unowocześniając wnętrze, lecz zachowując pieczołowicie kształt zewnętrzny.

W 1784 r. król Stanisław August, na ozdobionych łodziach i ze swiatą, przypłynął do Pińska i też zabawił w nim dni kilka. Przyjmowali króla wspaniałe Mateusz Butrymowicz (herbu Topór) w Łopatynie pod Pińskiem oraz Franciszek Poniatowski, sędzia grodzki i skarbnik mściśławski, w Albrechtowie. W 1789 r. ów Albrechtów odziedziczył ks. Józef, ale ponoć nigdy go nie odwiedził, czasy bowiem nie nadawały się po temu.

W czasach międzywojennych była w Pińsku ulica imienia wspomnianego wyżej Mateusza Butrymowicza. Wprawdzie nie w Pińsku (ani nawet nie na Polesiu) się urodził, lecz po odbyciu służ-

- 1795 r. - powstanie katolickiej diecezji pińskiej (poprzednio Pińsk był w Łuckiej)
- 1799 r. - włączenie Karolina do Pińska
- 1796 r. - likwidacja unickiej diecezji pińskiej
- 1799 r. - likwidacja katolickiej diecezji pińskiej (przeniesiono ją do Mińska)
- 1812 r. - lipiec, Pińsk zajmuje armia Napoleona
- 1850 r. - powstaje fabryka świec i mydła
- 1882 r. - doprowadzono linię kolejową z Żabianki i otworzono fabrykę zapalek
- 1885 r. - budowa stoczni rzecznej w Leszczach
- 1915 r. - ucieczka Rosjan przed Niemcami
- 1919 r. - I, Armia Czerwona zajmuje Pińsk, - III, ucieczka Armii Czerwonej przed wojskami polskimi gen. Listowskiego, - 3 VII - potyczka pod Horodyszczem.
- 1920 r. - VII, Armia Czerwona ponownie zajmuje Pińsk
- 1920 r. - 26 IX, wojska polskie odbijają miasto.
- 1921 r. - Pińsk stolicą województwa. Pożar miasta. Przeniesienie stolicy do Brześcia.
- 1925 r. - stolica diecezji katolickiej
- 1939 r. - 9 IX, nalot lotnictwa niemieckiego. - 18 IX, zatopienie Floty Pińskiej. - 20 IX, Armia Czerwona zajmuje Pińsk.
- 1941 r. - 4 VII, wkroczenie Niemców.
- 1942 r. - IV, utworzenie getta dla Żydów. - X-XI, mordy na 30-45 tys. Żydów
- 1943 r. - 18 I, atak porucznika Jana Piwnika „Ponurego” na więzienie Gestapo w Pińsku.
- 1944 r. - zajęcie miasta przez Armię Czerwoną.

Włączenie do ZSRR i deportowa-
nie polskich mieszkańców.

LUDNOŚĆ PIŃSKA

- XVI w. - 5,0 tys.
- 1825 - 4,2 tys.
- 1841 - 6,8 tys.
- 1861 - 11,3 tys.
- 1900 - 29,5 tys.
- 1910 - 36,4 tys.
- 1921 - 23,5 tys.
- 1931 - 33,5 tys.
- 1939 - 35,9 tys.
- 1959 - 41,5 tys.
- 1986 - 112,6 tys.
- 2000 - 132,6 tys.

ZNANE OSOBY
POCHODZĄCE Z PIŃSKA

- Adam Naruszewicz (1733-1796) - poeta, historyk, biskup
- Ryszard Kapuściński - reporter, pisarz i dziennikarz. Z Pińska wyjechał w 1940 roku. Opisuje swoje rodzinne miasto m.in. w książce „Imperium”.
- Karol Wyrwicz (1717-1793), geograf, historyk, pedagog
- Matusz Butrymowicz - podstarości, sędzia grodzki
- Chaim Weizmann (1874-1953) - pierwszy prezydent Izraela, chodził do gimnazjum w Pińsku
- Golda Meir (1898-1978) - premier Izraela, mieszkała w Pińsku w dzieciństwie



by wojskowej, dosłużywszy się stopnia porucznika petyhorskiego, osiedlił się – w 1770 r. – w Pińszczyźnie. Ożenił się z rodowitą pińszczanką, Krystyną Szymianką, córką podsęda pińskiego.

Pomijając sprawy majątkowo-rodzinne, dość powikłane i nie bez procesów sądowych – uwagi warte jest to, że M. Butrymowicz od 1778 r. oddał się służbie publicznej, zasługując na gościnność koniuszego pińskiego. W 1780 r. został miecznikiem; w 1783 – sędzią grodzkim; w 1785 – podstarościm pińskim (w tym czasie był również szambelanem królewskim). Zajmował się gorliwie interesami i realizacją planów hetmana Ogińskiego, zwłaszcza uprzemysłowieniem Pińszczyzny. Utrzymywał stosunki handlowe z przemysłowcami Gdańska i Królewca, czego – m.in. – dowodził list z 25 sierpnia 1781 r., w którym Abraham Scherres donosił o różnych załatwionych i nie załatwionych sprawach, a także o tym, że cena złota spada. Nadmieniał, iż równocześnie przesyła, zamówioną przez Butrymowicza, filizankę z portretem króla oraz wyrażał żal, że Butrymowicz nie może przyjechać do Królewca, ponieważ właśnie oczekuje na wizytę króla w Pińsku.

Stanisław August, jak wspomniano, do Pińska rzeczywiście przybył, ale dopiero w 1784 r. Zatrzymał się w kolegium jezuickim, gdzie przygotowano apartamenty dla niego i jego asysty. Z okna przyglądał się przyległym błotom i wodom... zresztą nie tylko. Miły mu zapewne był widok nieprzeliczonych przeróżnych łódek i łódeczek, na których – na powitanie króla (nie przypuszczając, że właściwie żegna ostatniego polskiego monarchę) – przypłynęła okoliczna szlachta.

W bogatym archiwum pozostałym po Butrymowiczu znajdował się także plan dworu, jaki zamierzał wybudować w jednym ze swych majątków, przemianowanym na cześć żony – Krystynowem (tu znowu nieścisłość w źródłach: gdzie Butrymowicz przyjmował króla?). Na tym planie Stanisław August własnoręcznie napisał życzenia szczęścia i pomyślności,

niestety, na dłuższą metę życzenia nie spełniły się: dwór i majątek przeszły, po powstaniu 1863 r., w ręce rosyjskie.

Za ukoronowanie przedrozbiorowej działalności Butrymowicza uważa się wybudowanie grobli, łączącej „głęb Pińszczyzny z Pińskiem”. Ukończono ją w 1783 r., a w następnym, z okazji obecności króla, dokonano uroczystego jej poświęcenia. Uświetniono to okazałą fetą. Tegoż roku Butrymowicz odbył podróż z Pińska do Gdańska – wodą, aby przekonać się o przydatności tego rodzaju komunikacji. W 1786 r. Butrymowicz został delegatem do Trybunału Litewskiego, a w 1788 – posłem na Sejm Rzeczypospolitej, nadal będąc szambelanem królewskim. Jako poseł rozwinął szeroką działalność. W 1789 r. wydał broszurę pt. „Sposób uformowania Żydów polskich w pożytecznych krajowi obywateli”. We wspomnianym jego archiwum znajdowały się bardzo ciekawe przyczynki do prac Sejmu Czteroletniego, a zwłaszcza ustosunkowanie się do nich ziemi pińskiej. Posłowie pińscy – Butrymowicz i podstoli Jakób Szyrma – należeli do Konfederacji 3 Maja, a sam Butrymowicz brał szczególnie gorliwy udział w pracach Komisji Wojskowej i był jednym z pomysłodawców ustanowienia orderu *Virtuti Militari*. W 1791 r. otrzymał Order św. Stanisława; był także kawalerem Orderu Orła Białego. Po rozbiore Polski Mateusz Butrymowicz, zgnębiony, mieszkał w Pińsku. Zajmował się interesami, które szły coraz gorzej. Zmarł w 1814 r. Jego potomkowie mieszkali w Pińsku jeszcze w latach trzydziestych XX w.

Siódmego sierpnia 1921 r. kolejny potężny pożar zniszczył Pińsk do tego stopnia, że nie mógł już być stolicą Polesia i przeniesiono ją do Brześcia.

Pińsk dzieli od Warszawy czterysta kilometrów. Według danych na rok 1929 było tam: 25.125 mieszkańców, siedziba sądów pokojowego i okręgowego (o nim będzie jeszcze mowa), linia kolejowa Żabinka-Łuniniec, starostwo, komenda powiatowa policji państwowej, urzędy skarbowe:

ZABYTKI PIŃSKA

- Kolegium i kościół jezuitów z 1651 roku (kościół Białorusini wysadzili w latach 50-ych XX w.). Obecnie w kolegium jest galeria obrazów.
- Kościół i klasztor franciszkanów z 1712 roku. Kościół pw. Wniebowzięcia NMP z fasadą z 1766 roku. W latach 1920-1940 i od 1992 jest to katedra katolicka. Dzwonnica z 1817 roku z 4 kondygnacją z XX wieku. Mur z XVIII wieku.
- Kościół bernardynów z roku 1786 na przedmieściu Karolin. Zabrony katolikom, obecnie cerkiew św. Barbary. Obok klasztor z XIX wieku i dzwonnica.
- Kościół pw. Karola Boromeusza z 1770 roku na przedmieściu Karolin - dawniej parafialny. Obecnie sala koncertowa.
- Pałac Butrymowiczów z lat 1784-90. Siedziba Butrymowiczów, Skirmunttów a od 1930 roku katolickich biskupów pińskich.
- Kapliczka z XVII w. przy ul. Brzeskiej i Pieńkawa
- Cmentarz katolicki i żydowski na ul. Hajdajenki
- Dwór Platerów w Zapolu
- Pomnik budowniczych drogi bitej z 1938 roku (polski napis zniszczono i umieszczono rosyjski)
- Synagoga z 1900 r.
- Synagoga Wielka z 1506 roku (zburzona ok. 1960 r.)
- Zamek starosty królewskiego (zburzony). Znajdował się w miejscu pomnika Lenina.
- Zamek Wiśniowieckich w Karolinie (zburzony)
- Dwór w Albrechtowie (zburzony)

ULICE PIŃSKA SPRZED 1939 R.

Adamowska

Albrechtowska

Aleksandrowska

Bazylińska

Bernardyńska

Boczna

Bolesława Chrobrego

Browarna

Brzeska

Bulwana

Butrymowicza

Biskupa Bukraby

Ceglana

Cicha

Ciemna

Cmentarna

Dominikańska

Drzewna

Dzika

Fabryczna

Franciszkańska

Frostowska

Garbarska

Gen. Bema

Gen. Krajowskiego

Gen. Listowskiego

Gliniszczńska

Głucha

Graniczna

Grochowska

Grodzka

Jagiellońska

Jasioldowska



podatków i opłat, akcyz i monopoli; kasa skarbową, urząd miar, Państwowy Urząd Drogowy, Zarząd Dróg Wodnych, obwodowy Inspektorat Pracy, Powiatowy Urząd Ziemski, Powiatowy Komitet Nadawczy i Komisja Uwłaszczeniowa, Inspektorat Szkolny, Magistrat, Wydział Powiatowy, trzy kościoły rzymsko-katolickie, sobór i cerkiew prawosławne, jedna synagoga, dwa gimnazja państwowe, cztery prywatne (w tym żydowskie A. Czeczuk-Golinkierowej), dwie szkoły rzemieślnicze, szpital sejmikowy, szpital Pińsko-Karoliński, Powiatowa Kasa Chorych, Okręgowe Towarzystwo Rolnicze, okręgowy związek kółek rolniczych, związki: właścicieli hoteli, właścicieli nieruchomości, oddział związku kupców, związek zawodowy właścicieli zakładów fryzjerskich, związek rzeźników, rzemieślników, związki zawodowe: robotników przemysłu szklanego, skórzanego, drzewnego, spożywczego, związek robotników nefachowych, pracowników bankowych i handlowych, pracowników miejskich, rada związków zawodowych.

Prócz tego w Pińsku byli, były, było...

Adwokaci, akuszerki, apteki, artykuły elektrotechniczne, rolnicze, agentury ubezpieczeniowe; banki, bednarze, blacharze, broń i amunicja, budulec, bydło, biura pisanie próśb i tłumaczeń, ekspedycyjne, budowa studni; cukier, cukiernie, cukry, czapnicy, części do maszyn, czesalnia wełny; domy handlowe, drukarnie, domy komisowe, dentyści; eksploatacja lasów; fabryki – produktów chemicznych, dykty, korków, mydła, musztardy, słomianek do opakowań, świec, torebek papierowych oraz – farby, farbiarnie, felczerzy, fryzjerzy, futra; galanteria, garnki, gazety, geometrzy, gonty, grawerzy; hurtownia spirytusu, herbaciarnie, hotele (było ich dziewięć!); introligator jeden, instrumenty muzyczne; jadalnia, jubiler jeden; komornicy, kamasznicy, kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, kaszarnie, kawiarnie, kooperatywy, koszykarz jeden, kotlarze, kowale, krawcy, krawiectwo damskie, księgarnie, kuśnierze, kina dwa: „Kasy-no” i „Ognisko”, kołodziej jeden; lekarze;

łaźnie dwie, w tym jedna żydowska; materiały piśmienne, budowlane, malarze, maszyny rolnicze, do szycia, meble, meble do maszyn do szycia, meble koszykowe, mleczarnie, miodosytnia jedna; notariusze, nabiał, naczynia kuchenne, nafta, narzędzia rolnicze; olejarnie, owoce; pracownice – bielizny, kołder, pończoch, mereżek, ram, gorsetów, szyldów, a także: powroźnicy, pralnie, pierze, przedsiębiorstwa pogrzebowe, budowlane, pokoje umeblowane, perfumerie, piekarnie, produkty naftowe, przybory rybackie, piwo, prywatna huta szkła; reperacja maszyn do szycia, rymarze, ryby, rowery, restauracje, rzeźnicy, reperacja instrumentów muzycznych; składy – desek, drzewa, apteczne, z opalem, stare żelazo, sklepy z: fornierami, gilzami do papierosów, kapeluszami, kapeluszami damskimi, kozuchami, lustrami, manufakturą, kolonialne (było ich 23), z nasionami, obuwiem, skóry baranie, skóry surowe, smary, soda, spirytualia, szewcy, stolarze, szczotkarz jeden, skup szmat; towary różne, tapety, tapicerzy, technicy dentystyczni, tokarnie; ubrania gotowe; weterynarze, wędzarnie śledzi, wędliny, wody gazowe, wyroby tytoniowe, żelazne, drzewne; zakłady: ślusarskie, stolarskie, elektrotechniczne, krawieckie, fotograficzne; zboże, zegarmistrze, zabawki, zajazdy; żegluga, żelazo, Żydowska Spółdzielnia Ogrodnicza.

Zwraca uwagę brak wszystkiego, co dotyczy samochodów: ani garaży, ani warsztatów naprawczych, ani stacji benzynowych, ani sklepów z częściami czy samymi samochodami... Cóż, to był rok dopiero 1929. Targi odbywały się we środy i piątki. Jarmarki – w drugi dzień Zielonych Świąt, w dziesiąty piątek po Wielkiej Nocy i 15 sierpnia (starego stylu). W Pińsku były wtedy jeszcze młyny, tartaki, browar, garbarnie, fabryki zapalek, kredek, wódek. Handel prowadzono – głównie – drewnem i rybami.

Pińsk był miastem o zabudowie na ogół drewnianej – poza śródmieściem, choć pewnie i tam takie domy się trafiały – i niewysokiej. Aczkolwiek, znowu mowa przede wszystkim o śródmieściu, bywały

Jasna
11-go Listopada
Jeziorna

Kacza
Kafelna
Karmelicka
Karolińska
Kijowska
Klasztorna
Klonowa
Kolegialna
Kolejowa
Kolejowe Domy

Koszewicka
Kościszki

Kotlarska
Kowalska

Kozia
Krańcowa

Krawiecka
Królowej Bony

Krótką
Krynica
Krzywa

Lelewela
Lewkowska
Leszczyńska
Lipowa

Łazienna
Ługowa
Łuniniecka

Mariańska
Marsz. Focha
Marsz. Piłsudskiego
Mendoga
Mergentalera
Mickiewicza
Mieszczańska

Mięsna
Miodowa
Młynarska
Moniuszki
Mostowa
Murarska

Nadbrzeżna
Nowa
Nowowiejska

Objazdowa
Ochowska
Ogińskiego
Ogródowa
Okopowa
Okrężna
Owocowa

Pańska
Pawia
Pawłowska
Pereca
Piaskowa
Piątego Marca
Pierackiego
Piękna
Pochyla
Poleska
Polna

Poprzeczna
Portowa
Północna
Prochowska
Prosta
Przejazd
Przytułkowa
Pułaskiego

Rowiecka
Rybaków
Rycerska



domy nawet dwupiętrowe. Gmach Sądu Okręgowego – oczywiście murowany i, bardzo jak na tamten czas, nowoczesny – wybudowano pod koniec lat dwudziestych XX w. Ulicę koło niego wyłożono płytami chodnikowymi. Ten „trotuar”, jak się dawniej nazywało część ulicy przeznaczoną dla pieszych, urywał się równo z narożnikiem sądu. Ktoś kiedyś powiedział złośliwie, że „tutaj kończy się sprawiedliwość”. Z ostatniej płyty chodnikowej wdeptywało się w prosto błotnistą, nigdy nie wysychającą, choć pewnie w zimie zamarzającą, maź.

Trochę chodników wyłożonych płytami, przeważnie popękkanymi, pozapadanymi, było też w śródmieściu, ale uliczki boczne były – jeszcze w 1932 r. – drewniane. To znaczy, do dwóch bali poprzecznych poprzybijane były deski i takie pomosty, poukładane jeden za drugim, tworzyły uliczny chodnik. Z biegiem czasu ćwieki rdzewiały, drewno wokół nich wygniwało, wszystko stawało się rozchwierutane. „Chodziło się jak po klawiszach”, bo gdy, nieopatrznie stanęło się na desce zbyt blisko jednego jej końca, drugi podnosił się do góry. Nie wszystkie jezdnie były brukowane, a i te, które były – co krok były pozapadane, zaś w tych zagłębieniach stały wieczne kałuże – morza. Im głębiej w przeszłość tym, rzecz jasna, stan ulic był gorszy. Ponoć za czasów carskich powstał zawód „prenosów”, to jest tych, którzy, za opłatą, przenosili „panów” i wytworne panie przez jezdnie. Przypuszczam, że dla „zwykłych ludzi” musiały być jakieś kładki, łączące brzegi przeciwległych trotuarów. Prawdopodobnie – jeśli rzeczywiście istniały – zawsze były mokre, oblepione błotem, śliskie. Więc tych delikatniejszych czy mniej zręcznych, a zamożnych przechodniów – przenoszono. Zwłaszcza w czasie wiosennych roztopów. Wspominano nawet wydarzenie, które jakoby miało się przytrafić jakiejś damie: w trakcie przenoszenia tak targowała się o wysokość zapłaty, że rozgniewany perenos posadził ją w błocie na samym środku jezdni i mówiąc: „Ne chcesz płatit – siedi w bołotie!” poszedł sobie. Na szczęście

znaleźli się litościwy i pomogli nieszczęsnej wykwinłnisi wygrzebać się z błotnej mazi. Ładnie musiała wyglądać... A ile ją potem kosztowało pranie!

We wrześniu 1939 r. – do momentu wejścia wojsk radzieckich – wychodziła w Pińsku przyfrontowa „Gazeta Pińsku”, której redaktorem był dziennikarz Wacław Zuchniewicz (zmarł w Warszawie 20 sierpnia 1993 r., w wieku osiemdziesięciu pięciu lat).

Nim „Jałta” ostatecznie odebrała Pińsk Polsce, w czasie trzykrotnie zmieniającej się tam okupacji – niemieckiej, sowieckiej i znowu niemieckiej – przeżył on dużo. Niepodobna opisywać tu historii i niezliczonych zdarzeń konspiracji, działającej na tamtych terenach Armii Krajowej. W planach „Wachlarza” województwo poleskie miało być dla polskich patroli terenem wypadowym na wschód. Przebiegające tędy szlaki komunikacyjne stały się głównym celem operacyjnym Odcinka III. Z kolei odcinek ten podzielono na cztery rejony, a wysyłani z Warszawy ludzie z wolna tam się „zaczepiali”. W drugiej połowie lutego 1942 – początek przerzutów – okazało się, na przykład, że Marian Przysiecki („Marian”, „Stanisław”, „Grek”) miał w Pińsku rodzinę i duże znajomości. Załatwił więc sobie posadę administratora majątku w Kłobach, niedaleko Parchońska pod Pińskiem, a dla Czarneckiego wyjątkowo korzystne stanowisko niemieckiego administratora (landwirta) kilku majątków, z siedzibą w Dawidgródku.

Wkrótce znalazła się pierwsza broń. Pozbierano ją z... terenów, na których w 1941 r. rozgrywały się walki niemiecko-radzieckie i przezornie schowano. Teraz okazała się dosłownie – „jak znalazł”, bo przerzuty z Warszawy były nader skromne. Co się tyczy spraw organizacyjnych, to już 22 marca 1942 r. zameldowano w Warszawie, że w okolicach Pińska zorganizowano bazę dywersyjną.

Nie, nie można – nie cytując całych książek lub bodaj ich rozdziałów – opisać wszystkiego, co się tam działo. Może pewne pojęcie o tym da, przytoczone poniżej kalendarium, dotyczące działalności III Odcinka na terenach Pińszczyzny. A więc:

Rynek
Rzemieślnicza
Sadowa
Sienkiewicza
Sienna
Słowackiego
Smocza
Smolna
Snieżna
Sobieskiego
Spokojna
Sportowa
Staro-Honczarska
Stolarska
Sucha
Szczytowa
Szeroka
Szewska
Szkolna
Szpitalna
Teodorowska
Topolowa
Traugutta
Unicka
Urzędnicza
Wałowa
Warszawska
Warzywna
Wąska
Wesoła
Wiejska
Wierzbowa
Wilcza
Wileńska
Wiśniowieckich
Włodzimierska
Wodociągowa
Wolska

Wólecka
Wschodnia

Zawalna
Zgoda
Zielona
Żydowska
Żwirki i Wigury

Plac Ks. Poniatowskiego
Plac 3-go Maja

Chutor Liwszyn
Chutor Ługi
Chutor Podkowa

Majątek OO.Jezuitów
Majątek Podpińsk
Tartak b-ci Lewinów



Rok 1942

- Styczeń** – trzecia dekada – przydział do „Wachlarza” pierwszego cichociemnego, kpt. dr. „Wani” – Alfreda Paczkowskiego, z wyznaczeniem na dowódcę III Odcinka;
- Luty** – trzecia dekada – wyjazd dowódcy III Odcinka na teren Polesia; podporządkowanie „Wachlarzowi” brzeskiej organizacji „Szaniec” i szybkie zmontowanie kilkudziesięcioosobowej siatki;
- Kwiecień** – pierwsza dekada – III Odcinek posiada bazy dywersyjne w Brześciu, Pińsku i Dawidgródku;
- 11 kwietnia** – wysadzenie na Kanale Królewskim monitora rzecznego i zablokowanie na dłuższy czas tej arterii wodnej;
- 26 kwietnia** – ścinanie na przestrzeni półtora kilometra słupów łączności telegraficznej wzdłuż szosy Brześć-Moskwa przez patrole „Zbika” (Slonczyński Zbigniew) i „Michała” (Żołnierowicz Michał); starcie z kolumną wojskową, zabicie 1 oficera i 4 żołnierzy, straty własne: 1 żołnierz („Jaskółski” – Nurkiewicz Zdzisław);
- 2/3 maja** – „gościnny” wypad patrolu Mariana Przysieckiego (III Odcinek) na terenie IV Odcinka; 7 cięć torów na linii Mińsk-Homel; wysadzony tor pod transportem; skutek nie rozpoznany;
- 7 maja** – spowodowanie pożaru cystern z benzyną lotniczą i rozerwanie transportu wojennego na terenie działania III Odcinka – Pińsk-Łuniniec – wskutek ostrzelania przez kpt. „Wanię” pociskami zapalającymi;
- 1/7 lipca** – patrol „Bebiego” (Badowski Jan, III Odcinek): 3 VII wysadza transport z Wehrmachtem pod Kopcewiczami, walka z osłoną; 4 – walka patrolu pod Turowem z policją białoruską, zabicie kilku policjantów, ginie por. Sacewicz; 5 – walki z policją ukraińską, ginie „Witek” (Gromelski Witold – niepewne), „Czarny” (Spychalski Józef) ranny; 6 – przedzieranie się rozproszonego patrolu w kierunku Pińska i Brześcia, śmierć Żołnierowicza w walce z policją; ranny „Przedwojowiec” (Wojakowski Zbigniew);
- 11 lipca** – patrol „Przewodzica” (Wojakowski Zbigniew, III Odcinek) – rozbija na szosie do Brześcia Litewskiego nadleśniczego Niemca i zdobywa pieniądze dla „Wachlarza”;
- 12 lipca** – patrol „Zbika” ostrzeliwuje z zasadzki pod Małorytą niemiecki wóz osobowy, zabijając trzech Niemców: landrata z Małoryty, Schtraucha, jego brata kapitana Wehrmachtu i kierowcę;
- 14 lipca** – patrole „Zbika” i „Przewodzica” wysadzają i wykoleją pod Małorytą transport wojskowy; w walce z osłoną transportu ginie Jan Trzeciecki;
- 30 lipiec** – patrol „Mariana Przysieckiego” („Marian”, III Odcinek) wysadza transport wojskowy na trasie Pińsk-Łuniniec koło Łowczy i stacza walkę z osłoną;
- 31 lipiec** – aresztowanie patrolu „Mariana” Przysieckiego w Parchońsku pod Pińskiem, osadzenie w areszcie w Pińsku, ucieczka oraz ewakuacja; na pewien czas przerwa w działalności tej bazy;
- 1 sierpnia** – patrol „Przewodzica” wysadza tor na trasie Brześć-Baranowicze, wykolejając pod Berezą Kartuską transport wojskowy;
- 13 sierpnia** – akcja kompleksowa na terenie działania III Odcinka: spalenie w Kobryniu mostu drogowego na trasie Brześć-Pińsk; wykolejenie lokomotywy (rozkręcenie szyn); zerwanie drugiego toru na trasie Brześć-Baranowicze i przestawienie zwrotnicy, wskutek czego transport najechał na lokomotywę na trasie Brześć-Homel;



Pieczęć Pińska



- Sierpień** – trzecia dekada – próba rozbijania pocisków artyleryjskich, dla zdobycia materiałów wybuchowych; porwanie Niemca – минера i zastrzelenie go w czasie ucieczki;
- Wrzesień** – pierwsza dekada – próba zaczepienia się III Odcinka o Homel, bez rezultatu; pierwsze sygnały o zagrożeniu dowódcy Odcinka przez Gestapo;
- Wrzesień** – pierwsza dekada – aresztowanie w Orańczycach (teren III Odcinka) dowódcy bazy Edwarda Jamnickiego; rozbicie bazy przez Gestapo;
- Wrzesień** – pierwsza dekada – likwidacja przez patrol Maciejewskiego w Kobryniu agenta Gestapo, Kuchty i jego pięciu towarzyszy; zdobycie sześciu sztuk broni;
- 16 września** – oddział partyzancki „Lucjana” (Szydłowski Łucjan, III Odcinek) wysadza na wschód od Łunińca transport wojskowy idący w kierunku Homla;
- 17 września** – ten sam oddział, w tym samym miejscu wybuchem szedytu wykołaja i zrzuca z nasypu transport z bombami lotniczymi;
- 28 września** – oddział ochrony sztabu „Znajdy” (Znajewski Albin, III Odcinek) wysadza tor kolejowy w rejonie stacji Żabinka (linia Brześć-Pińsk), transport utrzymał się na torach; ranny Kraszewski;
- 30 września** – ten sam oddział w rejonie Berezki Kartuskiej dokonuje wielu cięć torów na szlaku Brześć-Mińsk i zastawia pułapkę na pociąg ratowniczy, skutek nie rozpoznany;
- Wrzesień** – koniec miesiąca – dowódca III Odcinka przenosi, na skutek zagrożenia, swoje miejsce pobytu z Brześcia do oddziału partyzanckiego; ewakuacja siatki rezerwowej por. „Zabawki” (Bąkiewicz Zbigniew) z Brześcia do Warszawy;
- Wrzesień – październik** – przydział do „Wachlarza” ostatniej partii siedmiu cichociemnych;
- 25 października** – przechwycenie na terenie działań III Odcinka niemieckiego transportu rubli przewożonych ciężarówką; spalenie pieniędzy, zabicie trzech Niemców, zdobycie broni;
- 20 listopada** – koncentracja oddziałów partyzanckich III Odcinka koło Dawidgródka; zmiana dowódcy bazy („Bocian”); Eckhardt Mieczysław, na miejsce

- „Rysia” (brak nazwiska); aresztowanie kpt. „Wani”, por. „Rysia”, „Bociana” i „Azora” (Downar Piotr) przy próbie dywersji kolejowej; śmierć „Bociana”.
- 3 grudnia** – formalne mianowanie dowódcą III Odcinka kpt. „Żmudzina” (Kostrym Bolesław);
- 31 grudnia** – gen. „Grot” (Rowecki Stefan) podejmuje decyzję odbicia z więzienia pińskiego osadzonego tam byłego dowódcy III Odcinka, kpt. „Wani”.

Rok 1943

- 2 stycznia** – wyjazd pierwszej grupy ekipy „Ponurego” (Piwnik Jan) za Bug, celem przygotowania odbicia więźniów w Pińsku;
- 18 stycznia** – brawurowe uderzenie „Ponurego” na więzienie w Pińsku i uwolnienie „Wani” oraz towarzyszy;
- 22 stycznia** – Niemcy rozstrzelują w Janowie Poleskim 30 zakładników w odwecie za rozbicie więzienia w Pińsku;
- 10/12 lutego** – aresztowanie w Brześciu części uczestników uderzenia na więzienie pińskie; **27 lutego** – przekazanie III Odcinka Komendzie Okręgu AK Polesie.

W 1943 r. nastąpiła formalna likwidacja organizacji „Wachlarz”, co nie znaczy, że tym samym skończyła się partyzantka polska na Polesiu. Ale, jak powiedziano wyżej, jej opisanie nie mieściłoby się w ramach tego albumu. Na zakończenie – fragment pięknego opisu Pińsku z 1787 r.:

„Położenie miasta, jak jest najpomyślniejsze, tak i na widok najpiękniejsze; gdyż z jednej strony rozległe pól płaszczyzny na kilka mil ciągnące się, z drugiej, z węzła rozmaitych rzek wylew tworząc na kształt morza, sprawuje najprzyjemniejszy miasta prospekt. Prócz tej szczęśliwości, którą sama zdarzyła natura, taki jest dowóz i taniość płodów z Wołynia i Polesia, jak trudno w innem miejscu i mieście, prócz Ukrainy, znaleźć. (...) Spodziewać się należy polepszenia wkrótce losów Pińska, stojąc bowiem na gościńcu, w środku zbiegu i połączenia kanałami rzek portowych, które handel przechodowy z Bałtyckiego na Czarne morze tworzy, koniecznie musi czynić marynarzom przystanowisko. Już tu przybywają różne statki, jako to: bajdaki i wielkie szuhaleje z Czarnobyli i Kijowa, naładowane mydłem, zbożem, łojem i innemi towarami”.

Epitafium. Nie tylko człowieka łamią zbyt ciężkie doświadczenia. Pińsk już nigdy takim nie będzie, choć może doczeka – oby! – następnych wielu setek lat!...

Katarzyna Witwicka



Herb Pińska z 1796 r.

HISTORIA SEMINARIUM DUCHOWNEGO W PIŃSKU



Budynki, w których mieści się Seminarium, katedra oraz kuria biskupia są dziś najcenniejszymi zabytkami architektury w Pińsku. Zostały zbudowane w latach 1712–1730, na miejscu dawnych, drewnianych zabudowań klasztoru franciszkańskiego i kościoła, który został ufundowany w końcu XIV w. przez Zygmunta Kiejstutowicza. Klasztor został zamknięty w roku 1852, lecz kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP (zamieniony potem na parafialny) był czynny nieprzerwanie.

Historia diecezji pińskiej i jej Seminarium Duchownego jest związana z osobą ks. bp Zygmunta Łozińskiego (1870–1932), który mianowany przez papieża Benedykta XV w 1917 roku na biskupa mińskiej diecezji, założył 10 października 1918 roku Wyższe i Niższe Seminarium Duchowne w Mińsku. W roku 1920 przeniósł kleryków do Włocławka, ale sam został aresztowany przez władze

i przez 11 miesięcy był przetrzymywany w owianym już wtedy ponurą sławą moskiewskim więzieniu na Butyrkach. Od października 1921 roku zaczęło działalność Niższe Seminarium Duchowne Diecezji Mińskiej w Nowogródku, a od roku 1924 - Wyższe Seminarium (tamże). 12 września 1925 roku bp Łoziński przeniósł Wyższe Seminarium Duchowne z Nowogródka do Pińska, do odbudowanego ze zniszczeń wojennych klasztoru pofranciszkańskiego. Papież Pius XI bullą „*Vix dum Poloniae unitas*” z 28 października 1925 roku powołał do życia nową diecezję pińską; na jej pierwszego biskupa mianował bpa Zygmunta Łozińskiego. W tym samym roku zaczęło działalność Wyższe Seminarium Duchowne Diecezji Pińskiej im. Św. Tomasza z Akwinu. W 1928 roku bp Łoziński przeniósł Niższe Seminarium z Pińska do Drohiczyń nad Bugiem.

Inauguracja roku akademickiego
2006/2007





Biskup Zygmunt Łoziński



Kardynał Kazimierz Świątek

Po zajęciu wschodnich ziem Rzeczypospolitej przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 roku budynki Seminarium Duchownego w Pińsku zostały zaanektowane dla potrzeb sowieckiego wojska.

W roku 1939, tuż przed wybuchem wojny, seminarium pińskie ukończył kardynał Kazimierz Świątek (urodzony w roku 1914), arcybiskup mińsko-mohylewski, apostolski administrator pińskiej diecezji, przewodniczący konferencji biskupów białoruskich. On to powziął zamiar odnowienia Seminarium Duchownego w Pińsku dla przygotowywania nowych księży do pracy na Białorusi.

Od roku 1996 do 2001 zamojska firma „Renowator” prowadziła w budynkach prace remontowe. Po 62 latach przerwy, 12 września 2001 roku otwarto Międzydiecezjalne Wyższe Seminarium Duchowne im. św. Tomasza z Akwinu. Na czteroletnich stu-

diach kształcą się obecnie 41 kleryków z archidiecezji mińsko-mohylewskiej, diecezji pińskiej i witebskiej. Drugie Seminarium na Białorusi dla diecezji grodzieńskiej mieści się w Grodnie (od roku 1990).



R. Kapuściński o Pińsku i Polesiu

(...) Przedwczoraj (30.06.97) wróciłem z Pińska. Pińsk to dziś trzy różne miasta. A więc jest:

- stary Pińsk. Parterowe czy piętrowe domki wśród ogródków i sadów, tu i tam drewniane płoty, cembrowane studnie, brukowane ulice, które kiedyś nazywały się Bednarska, Franciszkańska, Błotna. Ten Pińsk kurczy się, ale choć burzony, dziesiątkowany ciągle istnieje, można go jeszcze zobaczyć, zachwycić się jego małomiasteczkowym romantyzmem;

- Pińsk sowiecki, chruszczowowsko-breżniewowski, miasto szarych lub ceglanych bloków, ciężkiej, prymitywnej, niechlujnej wielkiej płyty, zabłoconych, ponurych, nieoświetlonych osiedli;

- Pińsk lat dziewięćdziesiątych, popierestrojkowy, nowobogacki, willowy, tylko dla wybrańców, dla wygranych, raj Nowych Białorusinów, Nowych Rosjan. (...)

Lapidarium IV

Ryszard Kapuściński

Na Polesiu nędza była straszna, wprost niewyobrażalna. I nadal jest tam nędza. Można więc rzec, że korzeniami tkwię w biedzie. Pewnie dlatego zainteresowałem się Trzecim Światem. Potrafiłem go zrozumieć oraz czuć się tam trochę jak u siebie w domu.

Mój dom z dzieciństwa pamiętam jak przez mgłę. Mam teraz jakieś wyobrażenie o nim, bo mi go pokazali, gdy w 1979 r. odwiedziłem Pińsk. Pińsk był małym miasteczkiem, w którym mieszkało niewielu Polaków, więc wszyscy znali się przynajmniej z widzenia. Polacy stanowili ledwie kilka procent mieszkańców Pińska. 10 procent - to byli Białorusini i Litwini, reszta, około 73 procent - Żydzi. Według przedwojennych statystyk Pińsk należał do najbardziej żydowskich miast polskich.

Tamtejsi Polacy stanowili przeważnie - jak byśmy dziś powiedzieli - element napływowy, właściwie bez szans na zapuszczenie korzeni. Jeżeli ktoś zapuścił korzenie w poleskiej ziemi - to szlachta przeważnie z polskim rodowodem lub na tyle spolonizowana, że uważająca się za Polaków. Owa szlachta poleska nie była za bogata, w porównaniu z ziemiaństwem małopolskim chociażby - wręcz biedna. Bogaci byli Radziwiłłowie, którzy posiadali sporo włości na Polesiu. Ale to już zupełnie inna sfera.

Natomiast tych zwyczajnych, pińskich Polaków należałoby podzielić na trzy kategorie. Pierwszą, najliczniejszą, tworzyli wojskowi. W Pińsku stacjonował 84 pułk piechoty strzelców królewskich. Oprócz piechoty znajdowała się tu rzeczna marynarka wojenna. Gdy we wrześniu 1939 roku na te tereny wkraczała armia radziecka, marynarze wyprowadzili swoje statki na jeziora i zatopili je. Z powodu niskiego stanu wody statki zatopiły się jedynie częściowo. Długo jeszcze żałośnie

sterczały ponad lustrem wody. Oprócz wojskowych, liczną grupę Polaków stanowili duchowni. W Pińsku był, oczywiście, kościół katolicki. Miasto znane było poza granicami Polski z silnego ośrodka jezuickiego, najbardziej liczącego się w Europie Wschodniej. Wreszcie trzecia kategoria, chyba najmniej liczna, to nauczyciele. Moi rodzice przynależeli do tej trzeciej kategorii. Nie byli Poleszukami. Matka pochodziła z Krakowskiego, z Bochni, a ojciec - z Kieleckiego.

Po powstaniu II Rzeczypospolitej władze przystąpiły do repolonizacji Polesia. Młodym ludziom, którzy gdzie indziej nie mogli znaleźć zajęcia, oferowano posady na Polesiu, między innymi w szkolnictwie. Mój ojciec przyjechał tam i zapisał się do Seminarium Nauczycielskiego w Prużanach. To seminarium skończył również Piotr Jaroszewicz. Ojciec pracował najpierw w Unieńcu, potem w Pińsku. Przypuszczam, że pracując w Pińsku, poznał moją mamę. Żałuję, że tak mało wiem na ten temat.

Urodziłem się w 1932 r., więc jak wybuchła wojna, miałem zaledwie 7 lat. Potem też nie za bardzo interesowałem się Pińskiem i Polesiem. Jak pani wie, moje zainteresowania odbiegły daleko. Więcej mogę powiedzieć o Afryce, Ameryce Południowej, Bliskim Wschodzie.

W mojej pamięci zachowały się z tamtych lat jakieś pojedyncze zdarzenia, fragmenty, wrażenia, kolory, blaski. I tak, na przykład, dopiero po latach dowiedziałem się o pożarze w Pińsku w 1935 r. Pożaru nie pamiętam, ale pozostało wrażenie blasku, jakiejś strasznej jasności. Wszystko to jest bardzo literackie, ulotne, lite poparte faktami, konieczną rzetelnością. Nawet nieco późniejsze zdarzenia płaczą się i gmatwają.

(Ryszard Kapuściński w rozmowie z Barbarą Holub, „Przekrój”, 24.09.92)

(...) jest w niej spory rozdział o Pińsku, gdzie kiedyś w domu przy ulicy Pereca 43 (dziś Suworowa) urodziłem się i gdzie mieszkałem do 1940 roku. Mało już zostało z tego mojego przedwojennego Pińska. Przed wojną miasto to miało swój charakter architektoniczny, który za czasów ZSRR zatraciło. Zupełnie inny w Pińsku był skład etniczny - 73% mieszkańców stanowili Żydzi (żadne inne miasto na świecie nie miało wtedy tak dużego procenta ludności żydowskiej), 10% - Polacy. W tej chwili żyją tam głównie Rosjanie i Białorusini, zostało 200-300 Polaków. Starzy kresowiaci zgębnieni są dzisiejszym stanem Pińska. (...)

Ryszard Kapuściński

fragment recenzji książki **Czar Polesia**
autorstwa Grzegorza Rąkowskiego

Z ŻYCIA NIEDZIELNEJ POLSKIEJ SZKOŁY W PIŃSKU

Piński oddział Zjednoczenia Społecznego „Polska Macierz Szkolna” powstał i działa od 10 lutego 2002 roku. Głównym inicjatorem jego powstania jest p. Wiktor Mostek, ówczesny Prezes oddziału. Pan Wiktor zebrał nauczycieli języka polskiego w Pińsku, p. Ninę Byczkowską, Nadzieję Chudiakową, Eugeniusza Korolowa i Helenę Jaruticz i zaproponował zorganizowanie Niedzielnej Polskiej Szkoły, której głównym celem było i jest odrodzenie polskości w Pińsku. W pierwszym roku pracy szkoły uczęszczało do niej około 70 uczniów, dzisiaj mamy ich ponad stu w siedmiu grupach wiekowych. Są to uczniowie pińskich szkół państwowych, w których na co dzień uczą się języka rosyjskiego. Dzieci i młodzież chętnie przychodzą i spotykają się w naszej szkółce, ale, niestety, jeden raz w tygodniu – niedzielę. Mamy podpisaną umowę z Kuratorium Oświaty naszego miasta, zgodnie z którą odpłacamy dzierżawę salki lekcyjnej. Władze naszego miasta nie pomagają nam, ale i nie przeszkadzają w naszej pracy. Lekcje w szkole prowadzą nauczyciele, którzy mają wyższe wykształcenie pedagogiczne, uczą oni dzieci języka polskiego, historii, geografii, śpiewu. Od roku istnieje także sekcja sportowa. Nina Byczkowska, Łarysa Gorbunowa, Nadzieja Chudiakowa, Olga Pasiewicz, Helena Jaruticz, Walery Sołogub to nasi nauczyciele w tym roku szkolnym. Panie N. Byczkowska i H. Jaruticz ukończyły wyższe studia w Polsce i powróciły do kraju, ażeby uczyć języka polskiego. Niestety, ilość godzin wykładowych jest niewystarczająca, gdyż nie posiadamy własnego lokalu. W ciągu tygodnia w salce wykładowej są prowadzone zajęcia szkoły państwowej. Częstym gościem w szkole jest p. W. Mostek, który opowiada różne ciekawostki związane z historią Polski. Ale nie tylko na lekcjach poznajemy przeszłość narodu polskiego. Każdego roku staramy się organizować wycieczki, dzięki którym poznajemy historię naszego kraju oraz mamy możli-

wość wyobrazić sobie te dalekie czasy, gdy nie było granic, zobaczyć stare dworki i pałace, pokłonić się krzyżom powstańców i polskich żołnierzy, oddać hołd świątyniom narodu polskiego i złożyć tam swoje prośby i troski. Dużo zwiedziliśmy miejsc związanych z historią Polski tu, na Białorusi. Byliśmy w Zaosiu, Holszanach, Lidzie, Krewie, Mińsku, Nowogródku, Mirze, Nieświeżu, Skokach, Grodnie, Kosowie i innych miejscowościach. Mamy nadzieję, że w sercach i głowach naszych uczniów zostanie pamięć o tym, co zobaczyli i usłyszeli. Podczas wycieczek spotykamy wielu dobrych ludzi, którzy chętnie opowiadają nam różne ciekawe rzeczy. Na przykład w czasie wycieczki Pińsk-Lida-Smorgoń-Pińsk był z nami cudowny człowiek - Stanisław Uszakiewicz, pasjonat historii. Opowiadał i pokazywał nam piękne, pełne zachwyty miejsca. Jesteśmy wdzięczni panu Stanisławowi za jego dobre chęci i życzliwość dla nas. We wszystkich naszych wycieczkach towarzyszył nam piński krajoznawca, ekolog, przyrodnik p. Aleksy Dubrowski. Pan Aleksy może wytłumaczyć nazwę wsi, opowiedzieć o historii powstania tego lub innego miasta, wie, jakie zwierzęta są pod ochroną. W tym roku został zorga-

Uczniowie Niedzielnej Polskiej Szkoły na spotkaniu z Rodakami w Różance





Zespół „Jagódki” w Koszalinie

nizowany rajd rowerowy, pan Aleksy pokazał piękne miejsca, związane z historią Horodyszcz, najstarszej osady w powiecie pińskim.

W tym roku w maju gościła u nas pani Teresa Siedlak. Już nie pierwszy rok pomaga nam w pracy szkoły. To dzięki współpracy z panią Teresą nasi uczniowie mogą zwiedzać najciekawsze miejsca naszego kraju oraz mają wspaniałe pomoce dydaktyczne. Chciałabym zapewnić, że wszystko, co otrzymujemy od naszych przyjaciół, wykorzystujemy dla dobra uczących się w szkole dzieci. W ciągu całego roku staramy się zachęcać dzieci do uczenia się języka polskiego, historii, kultury i tradycji polskiego kraju. Staramy się organizować wypoczynek dzieci w Polsce, w czym nas bardzo wspiera Konsulat Generalny Rzeczypospolitej w Brześciu na czele z Konsulem Generalnym p. Jarosławem Książkiem. Uczniowie Niedzielnej Polskiej Szkoły w czasie wakacji w latach 2006-08 odpoczywały w Pułtusku. Dzięki Towarzystwu Przyjaciół Ostrołęki na czele z prezesem p. Jadwigą Nawicką w roku 2004 po raz pierwszy dzieci naszej szkoły wyjechały do Polski. Bardzo miło wspominają te dwa tygodnie spędzone w Ostrołęce.

Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza nasza Szkoła zawdzięcza wyposażenie w podręczniki, pomoce dydaktyczne.

Więzi przyjaźni łączą Niedzielną Szkołę Polską z wieloma wielkimi Rodakami, pochodzącymi z Polesia: z Johnem Royem Wojciechowskim, obecnym Konsulem Honorowym RP w Nowej Zelandii, z rodziną śp. Ryszarda Kapuścińskiego...

W roku 2003 do Pińska przyjechali członkowie Stowarzyszenia Miłośników Polesia z panem K. Suproniukiem na czele. Dzięki stowarzyszeniu nasi uczniowie mieli okazję spędzić dwa tygodnie nad Morzem Bałtyckim. Nawiązaliśmy współpracę z Zespołem Szkół Odzieżowych w Gorzowie Wielkopolskim. Ówczesna pani dyrektor - Wilhelmina Rother i obecna - Stanisława Jarosz chętnie goszczą naszych uczniów w swojej szkole. Dzieci uczęszczają na lekcje historii, języka polskiego, chętnie nawiązują kontakty z rówieśnikami i przy okazji szlifują polską mowę. Tego rodzaju wyjazdy zawdzięczamy Stowarzyszeniu Wspólnota Polska - oddział lubuski, prezesem którego jest Zdzisław Czubakowski. Właśnie tego rodzaju wymiany dużo dają naszym dzieciom w zdobywaniu sprawności językowych. Spotkaliśmy się także z byłymi mieszkańcami Polesia. Podczas spotkania uczniowie NPS w Pińsku opowiadali o tradycjach, które są pielęgnowane w ich domach, a Poleszacy z Gorzowa, Lwowiacy i miłośnicy Wilna opowiadali, jak to było za ich czasów. Jesteśmy bardzo wdzięczni pani Wilhelminie Rother i pani dyrektor Stanisławie Jaroszek oraz innym nauczycielom szkoły za miłą atmosferę, która otaczała nas w te wszystkie dni naszego pobytu w Gorzowie.

Nawiązaliśmy ścisły kontakt ze Stowarzyszeniem Wspólnota Polska oddział w Chełmie – (prezes p. Marek Jaroszek). Dzięki temu oddziałowi prawie wszystkie dzieci naszej szkoły zwiedziły największe miasta Polski.

Corocznie organizujemy spotkania z okazji Zmartwychwstania Pańskiego, podczas których są organizowane konkursy związane z tradycjami wielkanocnymi oraz podawany jest słodki poczęstunek dla wszystkich przybyłych gości. Nie zapominamy o świętach państwowych: 3-go Maja, Dzień Edukacji Narodowej, 11-go listopada. Uczniowie starszych grup przygotowują referaty.

W czerwcu odbywa się I etap Konkursu Poezji M. Konopnickiej, podczas którego zostaje wyłonionych pięciu laureatów. W sierpniu wyjeżdżają najlepsi recytatorzy wraz z zespołem „Jagódki” na Światowy Festiwal Poezji Marii Konopnickiej do Przedborza (Góry Mokre).

W pierwszą niedzielę września, zgodnie z ustaloną tradycją, spotykamy się na cmentarzu Wojska Polskiego w Pińsku. Staramy się zawsze zapraszać zasłużonych ludzi w celu przybliżenia nam dawnych lat. Pierwszą lekcję rozpoczynamy od zapalenia zniczy oraz składania kwiatów. Śpiewamy „Rotę”, odmawiamy „Anioł Pański”. Przed Świętem Zmarłych sprzątamy nagrobki na starym cmentarzu Wojska Polskiego. Składamy kwiaty, stawiamy znicze. W Dzień Zaduszny dzieci, wolne od zajęć w szkołach państwowych, biorą udział we Mszy świętej.

Każdego roku na końcu grudnia zbieramy się na spotkanie, podczas którego dzielimy się opłatkami, składamy życzenia, śpiewamy kolędy. Na koniec maja odbywa się koncert z okazji zakończenia roku szkolnego. Zespoły „Poleskie kaczeńce” i „Jagódki” pięknie prezentują swoje umiejętności. Wszystkim uczniom, którzy biorą czynny udział w życiu szkoły oraz osiągają dobre wyniki w nauce wręczamy nagrody. Lato 2008 było dla nas też pracowite. Braliśmy udział w festiwalu chórów polonijnych w Koszalinie. Występowaliśmy w kościele w Złocieńcu, ale chyba najbardziej dzieci zapamiętają udział w koncercie finałowym, ponieważ tańczyliśmy poloneza i śpiewaliśmy wspólnie z chórami pieśń „Kocham Cię Polsko”.

Mamy dużo przyjaciół, którzy nam pomagają i wspierają w Polsce oraz poza jej



granicami. Nie sposób wyrazić słowami wdzięczności, bo to, co oni robią dla nas, można porównać jedynie do miłości matki wobec dziecka. Dziękujemy za ich dobro i pamięć, a one pomagają nam tu, na Białorusi. Świadomość tego, że jest ktoś, do kogo można się zwrócić, porozmawiać i otrzymać dobrą radę, słowo, podtrzymuje nas na duchu i nadaje sens naszej pracy. Chciałabym z całego serca podziękować także tym wszystkim, których nie wymieniłam, ale wiem, że są z nami.

„Nie rzucim ziemi skąd nasz Ród...”
 Tu naszych przodków leżą kości
 A młode pokolenie wzrasta znów,
 By walczyć o przyszłość swej narodowości
 I to jest obowiązek nasz
 Tak uczyć naszą młodzież
 By nigdy nie zgasł Polski Ród
 Nad Niemnem, Piną i na Wschód.

Helena Jaruticz

Prezes oddziału

ZS „Polska Macierz Szkolna”

m. Pińsk, ul. Irkucko Pińskiej Dywizji 1, m. 1
 tel. 375 165358348, e-mail: jaruticz@tut.

Helena Jaruticz, dyrektor Nie-dzielnej Polskiej Szkoły w Pińsku i Alicja Kapuścińska, żona Ryszarda Kapuścińskiego, urodzonego w Pińsku



„Jagódki” w Gorzowie Wlkp.

Prasa polska w Brześciu n/Bugiem w l. 1919-1939

Rozmieszczenie geopolityczne Brześcia na ważnym i rozgałęzionym szlaku komunikacyjnym stwarzało podstawy do łączenia w sobie specyfik dwóch kultur: wschodniej i zachodniej. Przez wieki swej bogatej historii Brześć zachował niezwykłą tolerancję i przyjazny klimat dla rozwoju miasta wielonarodowościowego. W przekroju narodowościowym mieszkańców, w Brześciu przeważały Polacy i Żydzi. Według danych Miejskiego Biura Meldunkowego w roku 1929 do narodowości polskiej przynależało 13.996 osób, co stanowiło równowartość 37,14% ludności, do żydowskiej – 20.266 osób, czyli 53,8% mieszkańców. Znaczną mniejszość stanowili: Białorusini – 1332 osób (3,53%), Ukraińcy – 513 osób (1,09%) i Rosjanie – 1543 osoby (4,09%). [Wy-
różn. red.].

Powrót Polski na mapę Europy w 1918 roku, razem z odzyskaniem niepodległości i łączeniem ziem, stworzyło warunki intensywnego rozwoju świadomości narodowej. Lata okresu międzywojennego (1918-39) charakteryzowały się pewnym rozkwitem kultury, oświaty i nauki, które przez długie lata zaborów nie mogły rozwijać się w pełnej mierze.

Jednym z elementów wpływu na rozwój świadomości narodowej w Polsce stała się prasa, w tym regionalna, która reprezentowała i integrowała społeczeństwo. W 20-leciu międzywojennym prasa działała w zupełnie innych warunkach niż obecnie. Nie było telewizji, radio na szeroką skalę jeszcze nie było dostępne, nie było komputerów, internetu tzw. mediów elektronicznych. Wydawcy prasy starali się zaspokoić ten niedosyt informacyjny w społeczeństwie w jak najszerzym stopniu. Publikowali nie tylko informacje lokalne, ale także wiadomości ze świata i z kraju, zarówno polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturalne.

Na rozwój polskiej prasy narodowej wpłynęły zarówno czynniki pośrednie: polityczne, społeczno-kulturowe, ekonomiczne, jak i bezpośrednie: ustawodawstwo prasowe i warunki techniczne związane z powstawaniem i rozpowszechnianiem prasy (łączność, komunikacja, baza poligraficzna, przemysł papierniczy). Gazety pragnęły przede wszystkim jak najszerzej informować mieszkańców miast, mniejszych miejscowości o tym, co się wydarzyło, co ma się wydarzyć, gdzie warto się wybrać, co warto zobaczyć. Dość często na łamach swych pism redaktorzy przedstawiali komentarze do

aktualnych wydarzeń, zachęcali społeczeństwo do różnorodnych działań, publikowali teksty, które miały poszerzać świadomość historyczną i regionalną mieszkańców miasta i okolic. Objętość tamtych pism była stosunkowo niewielka, zazwyczaj do czterech stron, co nie umniejsza zasług ówczesnych wydawców. Biorąc pod uwagę kwestie techniczne w tamtych czasach, bardzo dużo czasu, pieniędzy, problemów przy zakupie papieru zajmowało złożenie i wydrukowanie gazety.

Według danych z ostatniego spisu przedwojennego, przeprowadzonego w 1937 roku, w Polsce ukazywało się około 2700 tytułów prasowych. Ogólnie rzecz biorąc, w okresie dwudziestolecia międzywojennego, ukazywało się w kraju 20.000 tytułów prasowych, mniej więcej o cztery razy więcej, niż w ciągu ponad 250 lat wcześniejszej historii prasy polskiej, poczynając od roku 1661.

W wielu miastach polskich intensywnie zaczęła się rozwijać prasa lokalna. Ta tendencja stała charakterystyczną dla aktywizacji środowisk prasowych zarówno w Brześciu nad Bugiem, który w okresie lat 1921-39 stał się siedzibą województwa Poleskiego. Pisma, ukazujące się w polskim języku, posiadały jedną z wiodących pozycji na rynku informacyjnym w Brześciu nad Bugiem. Gazety szanowały i przestrzegały zasad tolerancji wobec każdego obywatela miasta. Staraly się w znacznym stopniu unikać przez informowanie konfliktów na tle narodowościowym.

Rozwój prasy w mieście utrudniały uwarunkowania społeczno-gospodarcze. Nikłe uprzemysłowienie terenu,

ubóstwo ogółu miejscowego społeczeństwa nie sprzyjały rozwojowi prasy. Duży był również analfabetyzm ludności. Pamiętać przy tym należy, iż zwykle odbiorcami prasy wydawanej w języku polskim była ludność polska i żydowska. Z drugiej wszakże strony w sytuacji braku większego przemysłu i nowoczesnej infrastruktury gospodarczej elity społeczne swoją energię kierowały przede wszystkim na pole kultury. Jednym z przejawów aktywności w tej dziedzinie było kreowanie lokalnego czasopiśmiennictwa, które postrzegano, jako potencjał rozwoju kulturalnego miasta. Prasa miała pełnić doniosłą misję poprzez wysuwanie rozmaitych inicjatyw w celu osiągnięcia ogólnego dobra wszystkich mieszkańców. Twórcami lokalnej prasy brzeskiej, ale i jej konsumentami była przede wszystkim miejscowa inteligencja, która stanowiła nieliczną warstwę społeczeństwa. Czynnikiem ten dodatkowo ograniczył rozmiary miejscowego rynku czytelniczego. Przeważnie spośród inteligencji wychodziły inicjatywy wydawnicze i zarazem, jakże twórcze. W Brześciu nad Bugiem, gdzie istniały gimnazja, średnie szkoły handlowe, instytucje kościelne oraz agendy samorządu powiatowego właśnie siłami amatorskimi wychodziła prasa. Gazety powstające jednak często upadały z braku pieniędzy i niezrozumiałych dla tzw. przeciętnego czytelnika treści.

Mimo to czasopiśmiennictwo się rozwijało i prezentowało całą gamę poglądów ideowych obecnych w społeczeństwie. Prasa starała się odpowiadać różnorodnym wymaganiom i zainteresowaniom swoich czytelników. Obok pism o charakterze politycznym, religijnym, naukowym i kulturalnym, pojawiały się ilustrowane magazyny, pisma sportowe i fachowe, młodzieżowe i dziecięce itd. Oprócz prasy ambitniejszej można było znaleźć tzw. prasę brukową, czyli sensacyjną, w której podawano głównie interesujące plotki

z życia osób publicznych w tym polityków. Ówczesne gazety nie stroniły od polityki, krytykowały lub wspierały rządy, ale przede wszystkim były znakomitym źródłem wiedzy o Brześciu i jego mieszkańcach.

W dwudziestoleciu gazety sprzedawano w Brześciu nad Bugiem w prenumeracie, czyli poprzez odnawiany abonament kupowany przez czytelników w redakcji, a także bezpośrednio w nielicznych kioskach oraz przez roznosicieli prasy.

Polską prasę ukazującą się w mieście nad Bugiem można sklasyfikować w sposób następujący:

1. Prasa polityczna i urzędowa reprezentowała partie i związki społeczne. Niektóre wydania reprezentowały różnorakie poglądy polityczne, deklarując „apolityczność” lub „bezpartyjność”, co oznaczało wprawdzie brak formalnych czy finansowych zależności. Niektóre wydania deklarowały przynależność i poparcie dla konkretnej partii lub związku, reprezentując na łamach swych pism konkretne polityczne idee¹. Odbiorcami prasy urzędowej byli przede wszystkim przedstawiciele administracji państwowej i samorządowej. Obowiązkowymi abonentami byli wójtowie i sołtysi. Nie zawsze wywiązywali się jednak z terminowego uiszczania opłat o czym świadczyły informacje dotyczące dłużników i wysokości obciążeń podawane przez pisma. Od 1919 roku w Brześciu nad Bugiem ukazywały się dzienniki urzędowe, wśród których należy wspomnieć: *Poleski Dziennik Wojewódzki* (1919), wydawany przez Poleski Urząd Wojewódzki i *Dziennik Urzędowy Kuratorium Okręgu Szkolnego Poleskiego* (1923), wydawany przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Poleskiego. Te wydania ukazywały się nieregularnie. *Poleski Dziennik Wojewódzki* miał charakter informacyjno-urzędowy. Publikował okólniki i rozporządzenia



ministrów różnych resortów, podawał urzędowe ceny walut oraz rozporządzenia komisarza ludowego na powiat brzeski. Dziennik-komunikat Polskiej Agencji Prasowej *Prawda*, wydawano na prawach rękopisu.

2. Prasa ogólnoinformacyjna stanowiła największą grupę wśród pism prasowych. Poza wydarzeniami politycznymi, informowała czytelników o bieżących wydarzeniach społeczno-kulturalnych, ekonomicznych w kraju i zagranicą. Taki rodzaj prasy prezentowały tygodniki: *Głos Poleski*, *Gazeta Poleska*, *Polesie*; dzienniki: *Agencja Kresowa*, *Kronika Polesia*, *Ekspres Poleski* należące do tak zwanej „czerwonej prasy” warszawskiej, ostatnią stronę których drukowano w Brześciu. Poza tym, ukazywały się dzienniki: *Kurier Polesia*, *Echo Poleskie*, *Poleski Głos Codzienny*, *Dziennik Brzeski*; polsko-żydowskie pismo *Dzień Poleski* (*Poleser Tog*). Pismo *Kurier Polesia* miało charakter informacyjny. W każdym numerze znajdowały się wprawdzie artykuły publicystyczne lub felietony, stanowiły one wszakże znikomą część treści. Poważną część treści czasopisma *Kronika Polesia* wypełniały artykuły informacyjno-sprawozdawcze. Przy czym najczęściej prezentowano sprawozdania z obchodów uroczystości państwowych np. Święta Konstytucji 3 Maja, imienin marszałka Piłsudskiego.

3. Prasa społeczno-kulturalna i literacka prezentowała na łamach swych pism tematykę publiczną i kulturalną. Wśród takich czasopism należy wspomnieć najbardziej znane: tygodnik *Życie Poleskie*, ilustrowany miesięcznik *Kresy Ilustrowane*, *Wieczory Świetlicowe*, *Tempo Pogoń*, tygodnik *Polesie*, wydawany przez Komitet Wydawniczy Brześcia nad Bugiem.

4. Prasa popularna odnosiła się do pism ilustrowanych, podejmując tematykę z życia kobiety, przeglądu sportowego, filmowego i humorystycznego. Kolportażem pism zajmowały się głównie osoby prywatne.

5. Prasa specjalna, czyli fachowa, za grono swych czytelników uważała osoby przynależące do specjalistycznych organizacji pozarządowych, związków lub konkretnych zawodów czy fachów. Wśród takich pism należy wspomnieć: prasę kościelną, prasę związków zawodowych, czasopisma fachowe i naukowe, a również prasę dziecięcą i młodzieżową. Prasa kościelna (parafialna) obejmowała czasopisma wydawane przez parafie wyznania rzymsko-katolickiego. Czasopismo parafialne obejmowało przeważnie swoim zasięgiem obszar jednej parafii, lecz zdarzały się tytuły wydawane wspólnie przez dwie lub trzy parafie. Specjalną odmianą pisma parafialnego było pismo dekanalne, które zasięgiem obejmowało wszystkie parafie dekanatu. Większość z tych pism była nietrwała, ale były tytuły, które wychodziły przez wiele lat a nawet przez cały okres międzywojenny. Tematykę religijną poruszano między innymi w pismach: *Winogrono Boże* i *Świat Ducha*.

Miesięcznik *Do pracy*, redagowany w Twierdzy Brzeskiej, kierowano wyłącznie dla odbiorców wojskowych. Poruszano w nim kwestie podniesienia umiejętności zawodowych i samokształcenia podoficerów. Na przykład miesięcznik *Skaut-Poleszuk* i *Jutro Pracy* orientowano na młodzież harcerską, przypominając, iż każdy harcerz ma pozostać wierny głównym postulatam „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Dla uczniów szkół średnich ukazywał się raz na trzy miesiące kwartalnik *Echo szkolne* i dwutygodnik *Siew Młodzieży Poleskiej*, który był wkładką do pisma *Siew*. Dla wykładowców i nauczycieli, w celu



podniesienia ich umiejętności i zdolności pedagogicznych, wydawano pismo *Ogniwo Brzeskie*, miesięcznik *Nasze Echa*. Kwestie pedagogiczno-organizacyjne poruszał zarówno miesięcznik *Głos Polesia*, wydawany przez Oddział Okręgowy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Opisywano w nim działalność poszczególnych szkół i całego systemu szkolnictwa w mieście, ukazywał się cykl artykułów dotyczących problemów rozwojowych i wychowawczych dzieci i młodzieży. Sporadycznie

na łamach pisma pojawiały się artykuły o tematyce etnograficznej. Z kolei Miesięcznik *Ziemia Poleska* i tygodnik *Wieś Poleska* kierowano do pracowników roli, poruszając w nich, między innymi sprawy podniesienia wydajności upraw rolnych. Rolniczy charakter powiatu brzeskiego rzutował na dużą ilość publikacji poświęconych sprawom rolnictwa na łamach wymienionych wyżej pism. Obok porad np. jak strzec się chorób zakaźnych u trzody podawano rady, co do nabycia i hodowli domowego by-

dła. Publikowano sprawozdania dotyczące wielkości hodowli bydła w powiecie czy sprawozdania z kursów oświatowo-rolniczych.

W poniższej tabeli 1 przedstawiono w sposób podsumowujący poszczególne tytuły najbardziej wpływowych gazet w Brześciu nad Bugiem w czasach międzywojennych.

Tabela 1. Prasa w Brześciu nad Bugiem w okresie międzywojennym

Nazwa czasopisma	Rodzaj czasopisma	Data powstania	Adres redakcji		Uwagi/ Nakład
„Poleski Dziennik Wojewódzki”	dziennik	1919 r.	ul. Jagiellońska 6	Urząd Wojewódzki Poleski Brześcia n/ Bugiem, 680 egz.	
„Dziennik Urzędowy Kuratorium Okręgu Szkolnego Polesk.”	dziennik	1923 r.	ul. Unii Lubelskiej	Kuratorium Okręgu Szkolnego Poleskiego Brześcia n/Bugiem, 2 000 egz.	
„Gazeta Poleska”	tygodnik	1925 r.	ul. Piłsudskiego 18		
„Ekspres Poleski”	dziennik	22.VII.1925 r.	ul. Zygmuntowska 17	600 egz.	
„Polesie”	tygodnik	5.VIII.1928 r.	pl. Marszałka Piłsudskiego 8	Komitte Wydawniczy Brześcia n/Bugiem 2100 egz.	
„Nasze Echa”	miesięcznik	8.XI.1930 r.	-----	Państwowy Kurs Metodyczno-Pedagog., 250 egz.	
„Młoda Myśl”	kwartalnik	w latach 30-ch	ul. Pereca 20		
„Głos Polesia”	miesięcznik	11.1.1932 r.	ul. Steckiewicza 40	Oddział Okręgowy Związku Nauczycielstwa Polskiego, 2000 egz.	
„Echo Szkolne”	kwartalnik	28.XI.1930 r.	ul. Krzywa 2	Czasopismo uczniowskie, 500 egz.	
Komunikat Polskiej Agencji Pras. „Prawda”	dziennik	23.V.1931 r.	ul. Kobryńska 62	Wychodzi na prawach rękopisu, 14 egz.	
„Skaut - Poleszuk”	miesięcznik	od 1932 roku	ul. Listowskiego 121a	Czasopismo młodzieży harcerskiej	
„Ziemia Poleska”	miesięcznik	26.IX.1932 r.	ul. Długa 40	Czasopismo fachowe organizacji rolniczych	
„Dzień Poleski”	dziennik	30.XII.1933 r.	ul. Dobrowskiego 113	Język czasopisma: polski i żydowski	
„Świat Ducha”	miesięcznik	od lutego 1934 r.	ul. Zygmuntowska 19		
„Winogrono Boże”	miesięcznik	od 1933 roku	ul. Szeroka 40	Sprawy religijne	
„Dziennik Brzeski”	dziennik	od 1936 roku	ul. Steckiewicza 30		
„Ogniwo Brzeskie”	miesięcznik	od 1936 roku	ul. Steckiewicza 40	Sprawy organizacyjno-pedagogiczne, dydaktyczne, oświata	
„Siew Młodzieży Poleskiej”	dwutygodnik	w latach 30-ch	ul. Zygmuntowska 55	Wkładka do pisma „Siew”	
„Wieczory Świąteczne”	miesięcznik	w latach 30-ch	ul. 3-go Maja 35		
„Tempo Pogoń”	miesięcznik	w latach 30-ch	ul. Jagiellońska 6		
„Jutro Pracy”	miesięcznik	w latach 30-ch	ul. Sienkiewicza 24	Legion Młodych	
„Do pracy”	miesięcznik	w latach 30-ch	Twierdza Brzeska	Ukazywał się tylko wewnątrz 82 Pułku Piechoty	

Źródło: opracowanie własne na podstawie zestawienia wspomnianych źródeł archiwalnych.

Popyt na prasę regionalną przyczynił się do rozbudowy nowych bardziej nowoczesnych, na tamte czasy drukarni i wydawnictw. Według źródeł archiwalnych w Brześciu nad Bugiem, w okresie lat 1925-27 funkcjonowało 7 drukarni. Największą z nich stanowiła drukarnia „Brygada” przy ul. Sienkiewicza 39, pod kierownictwem Lucjana Chmielewskiego. Drukarnia posiadała 3 maszyny, liczba pracowników wahała się od 10 do 15 osób. Pozostałe drukarnie posiadały od 1 do 2 maszyn drukarskich z liczbą pracowników nieprzekraczającą 4 osób.

Reasumując, wydawana prasa polska w Brześciu nad Bugiem zasadniczo wpływała na rozwój świadomości narodowej Polaków, odgrywając ważną rolę komunikacyjną i integracyjną w społeczeństwie. Ukazująca się w mieście prasa wpływała na kształtowanie opinii publicznej, przyczyniała się do wyrobienia poczucia odpowiedzialności obywatelskiej, uczyła szacunku dla własnego państwa, ułatwiała zapoznanie się z programami i działalnością organizacji politycznych i społecznych. Dla większości czytelników prasa stanowiła jedyne źródło wiadomości o sprawach lokalnych, krajowych, międzynarodowych.

Niestety, dalsze dzieje historyczne przerwały dwudziestoletni okres w rozwoju prasy polskiej w całym kraju. Brześć nad Bugiem, zajęty przez hitlerowców, a później komunistów, został wciągnięty na długie lata pod rządzą władzy sowieckiej, gdzie wydawnictwa polskie nie miały żadnych szans na rozkwit.

LITERATURA

Źródła archiwalne:

Państwowe Archiwum Obwodu Brzeskiego (PAOB),

1. Zespół: Materiały o nadzore nad Pressom (fond 1, opis 8); Materiały o typograficeskoj promyszlennosti i peczati (fond 2, opis 1).

Pozycje zwarte:

1. A. Paczkowski, *Prasa Polska w latach 1918–1939*, Warszawa 1980.
2. A. Sucheni-Grabowska itd., *Polskie dzieje od czasów najdawniejszych do współczesności*, Warszawa 1995.
3. *Rocznik miasta Brześcia na rok 1930*, Brześć nad Bugiem 1929.
4. *Rocznik statystyczny Brześcia nad Bugiem na rok 1930*, Brześć nad Bugiem 1929.
5. W. Mondalski, *Brześć Podlaski. Zarys geograficzno-historyczny*, Brześć n/Bugiem.
6. Бысюк Р.Р., Кісялёў Г.К. і г.д., *Памяць - Брэст*, кн. I, Мінск 1997.

Igor Demjaniuk,
Brześć-Lublin



Ziemia nadal odsłania tajemnice przeszłości

1 września 2008 r. minęło 69 lat od rozpoczęcia II wojny światowej i tragicznych wydarzeń, jakie następnie spadły na Polskę. I choć upłynęło już tak wiele lat, żyje coraz mniej świadków, przeżycia wojenne nieuchronnie zacierają się w pamięci, to jednak ziemia nadal odsłania swoje tajemnice i – po tak wielu latach - odsłania prochy poległych i pomordowanych. Dzięki nawiązaniu przez Polską Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa współpracy ze swym białoruskim odpowiednikiem - Zarządem ds. Upamiętnienia Pamięci Obrońców Ojczyzny i Ofiar Walki Sił Zbrojnych Ministerstwa Obrony RB, od końca lipca br. prowadzone były w okolicach Kobrynia (Polesie) i w samym mieście prace poszukiwawcze i ekshumacyjne.

Obszar ten, jak i całe dawne Kresy II Rzeczypospolitej, we wrześniu 1939 r. stał się zapleczem dla cofającego się pod naporem niemieckim Wojska Polskiego oraz miejscem ucieczki i schronienia dla tysięcy uchodźców z Polski zachodniej i centralnej. Tam też rozgrywały się tragiczne wydarzenia, których ofiarami stało się zarówno wojsko i policja, jak i cywile. W Kobryniu zebrane siły wojskowe (w tym liczni ochotnicy) walczyli przeciw nacierającym od wschodu czołgom gen. H. Guderiana. Wielu obrońców miasta poległo... Zamieszanie wojenne i towarzyszący temu rozpad polskiego aparatu administracyjnego stał się zachętą do napadów na cofające się polskie oddziały, a także na ludność cywilną przez różnego rodzaju miejscowe grupy, działające pod wpływem komunistycznej agitacji, jak również zwykłe bandy o charakterze rabunkowo-kryminalnym. Sytuacja polskiej ludności dodatkowo znacznie się pogorszyła 17 września po wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej. Nie było wtedy czasu, ani okoliczności na uroczyste pochówki. Kiedy działania

wojenne ucichły, z wielu miejsc i pól zbierano furmankami ofiary tych wydarzeń, aby zakopać je w zbiorowych, bezimiennych na długie lata mogiłach.

Dopiero dziś część tych ofiar wojny mogła zostać wydobyta z zapomnienia. Pracował nad tym zespół polskich specjalistów, który razem ze specjalistami białoruskimi i z pomocą 52 Samodzielnego Batalionu Poszukiwawczego (białoruska jednostka specjalna do prowadzenia prac z zakresu tzw. archeologii wojskowej) prowadzili przez ponad 2 miesiące prace poszukiwawcze w rejonie Kobrynia. W ich rezultacie w miejscowości Podziemienie (rej. Kobrynia) odkryto szczątki 42 zamordowanych polskich żołnierzy, policjantów i cywili. Zostali zastrzeleni w nieznaną bliżej okolicznościach, choć ślady sowieckiej amunicji jednoznacznie wskazują na sprawców. Spoczywał tam i policjant o numerze służbowym 954 (odnaleziono jego policyjną „blachę” z tym właśnie numerem), dwie osoby skute ze sobą kajdankami, i kobiety, w której torebce znaleziono kosztowności... Być może byli to pasażerowie pociągu jadącego w tragicznych dniach wrześniowych do Brześcia, a zatrzymanego





w polu na skutek zbombardowania, czy też przedwczesnego wysadzenia mostu kolejowego... Być może w zbiorowych mogiłach odnaleziono jakiś innych, Bogu ducha winnych, uciekinierów - mieszkańców różnych rejonów Polski... Prawdopodobnie wielu szczegółów ich tragedii nie dowiemy się już nigdy.

Ale coraz więcej tajemnic jest odsłanianych i wyjaśnianych. W Kobryniu na dawnym cmentarzu katolickim grupa poszukiwawcza odkryła grób ze szczątkami 13 żołnierzy WP, poległych w czasie ciężkich walk toczonych z Niemcami w obronie tego miasta. Oczom zgromadzonych ukazał się straszny widok – ułożone w rzędzie szkielety żołnierskie – w pełnym ekwipunku – hełmy, pasy, plecaki, pojemniki, bagnety... W niektórych hełmach widać dziury, zapewne po pociskach lub odłamkach. Wśród licznych elementów uzbrojenia i wyposażenia wojskowego w zbiorowej mogile odkryto także przedmioty pozwalające na identyfikację konkretnych żołnierzy. Było to możliwe dzięki rozprawie ks. proboszcza Wolskiego z Kobrynia, który dokonując pochówku poległych sporządził ich listę, która następnie została przekazana polskim władzom na emigracji. A dziś stała się ona podstawą dla identyfikacji poległych. I tak po prawie 70 latach rodziny strzelca Stanisława Matyki, podchorążego Ewarysta Zajkowskiego, czy strzelca Ludwika Lipy mogły poznać tragiczne losy swoich krewnych. A ks. Wolski nie doczekał zakończenia wojny. Zginął w 1943 r. rozstrzelany przez kobryńskie gestapo.

O niektórych poległych wiemy niewiele, o innych całkiem sporo. Wśród odnalezionych znalazły się m.in. pro-

chy Tadeusza Zielińskiego – dawnego właściciela kobryńskiego majątku Gubernia, który choć nie brał udziału w działaniach wojennych, został zabity przez Niemców. Być może za to, że jego majątek był miejscem schronienia dla rannych żołnierzy polskich. W okolicach Drohiczyzna znaleziono też doczesne szczątki emerytowanego gen. WP Stanisława Sołłohub-Dewojno. Zasłużony wielce w walkach o odzyskanie niepodległości po I wojnie, nie brał natomiast czynnego udziału w walkach w 1939 r. Wojna zastała go podczas pobytu u rodziny. Został zabity po wkroczeniu wojsk sowieckich i rzucony do rowu jak kawałek nieprzydatnego sprzętu za sprzeciwianie się rabunkom.

Wszystkie znalezione szczątki, złożone przez ekipę ekshumacyjną do specjalnych trumien, zostały pochowane w asyście Kompani Honorowej WP i Policji oraz przedstawicieli armii białoruskiej podczas uroczystości pogrzebowych, zorganizowanych w dniu 13 września br. na terenie parafii katolickiej w Kobryniu. Pochówek poprzedziła uroczysta Msza św. koncelebrowana przez biskupa polowego gen. dyw. WP T. Płoskiego. We wspólnych modlitwach za poległych i pomordowanych wziął udział także duchowny prawosławny, gdyż wśród poległych byli najprawdopodobniej żołnierze wyznania prawosławnego. Udział w uroczystościach jako przedstawiciele strony polskiej wzięli: ministrowie: Andrzej Przewoźnik i Jerzy Krupski oraz Konsul Gen. RP w Brześciu Jarosław Książek, ze strony białoruskiej – przedstawiciel Ministerstwa Obrony RB płk. W. Szumski, przedstawiciel brzeskiego okręgu wojskowego, władze obwodu kobryńskiego. Byli przedstawiciele rodzin poległych i pomordowanych z Polski... Na katafalku ustawiono kilka trumien, symbolizujących wszystkich odnalezionych. Jeśli ktoś miał wówczas wątpliwości, czy jeszcze sens ma takie „grzebanie się” w ziemi po tylu latach, to słowa rodzin poległych odsuwają je na zawsze. Odnalezienie



szczątków ojca czy brata to nie tylko odsłonięcie nieznanej do tej pory rodziny karty z życia krewnego i możliwość pomodlenia się na jego grobie, to także odzyskanie własnej tożsamości, a dla wszystkich pozostałych uczestników to oddanie szacunku tym, którzy życie swe oddali za Ojczyznę, a których szczątki do tej pory leżały w całkowitym zapomnieniu, porośnięte trawą i mchem. Wszystkie trumny, złożone następnie do grobu, żegnał warkot werbli i dźwięk wojskowej trąbki...

Ilu takich miejsc poświadczających tragedię przeszłości jeszcze nie znamy? Na pewno wielu. Mimo upływu lat zachowały się relacje o tym, co wy-

darzyło się przed wieloma laty. Czas nie goi ran sam z siebie. Ofiary przemocy czekają na godne uczczenie, na oddanie czci ceniom poległych. To możemy i powinniśmy robić.

I jeżeli w kolejne rocznice wybuchu II wojny światowej przychodzi refleksja – to nieodłącznym jej elementem powinno stać się przekonanie, że żadna z ofiar nie poszła na marne i nie zostanie zapomniana. By tej ogólnoludzkiej tragedii czas nigdy nie zaćmił i nie ogarnęła niepamięć.

Bo to byłoby najgorsze.

Elżbieta Książek,
Brześć

**Ekscelencjo Księżę Biskupie, Czcigodne Duchowieństwo,
Szanowni Przedstawiciele Władz Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Białoruś,
Drodzy Goście – w tym szczególnie – członkowie Rodzin osób
dziś chowanych uroczyste w Ziemi Kobryńskiej,
Szanowni Państwo!**

Serdecznie witam wszystkich przybyłych na dzisiejszą uroczystość – i zarazem bardzo serdecznie za ten piękny gest dziękuję!

Dziś, dzięki pracy i wielkim staraniom wielu ludzi i instytucji – ze szczególnym uwzględnieniem (ze strony polskiej) Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa, której Sekretarzem Generalnym jest obecny p. Andrzej Przewoźnik, a na czele polskiej grupy poszukiwawczej stał p. prof. Andrzej Kola z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, a ze strony białoruskiej to Ministerstwo Obrony, którego przedstawiciel, pan płk Wiktor Szumski jest tu z nami – i specjalistyczny, 52 Samodzielny Batalion Poszukiwawczy Armii Białoruskiej – dziś możemy godnie powierzyć ziemi doczesne szczątki naszych Rodaków poległych i pomordowanych w Kobryniu w tragicznych dniach września 1939 r.

To wielka i ważna chwila. Dzisiejsza uroczystość ma bowiem bardzo poważny, by nie powiedzieć tragiczny, wymiar. Ale dzięki jej przeprowadzeniu, dzięki dobremu współdziałaniu ze strony polskiej i białoruskiej, zbliznić się będzie jedna z wielu ran mających swe źródło w odległej, wojennej przeszłości. Jest to bardzo potrzebne i poszczególnym ludziom, bliskim pomordowanych, rodzinom poległych, ale i naszym narodom – dla pełnego wzajemnego zrozumienia, dla rozwoju dobrego sąsiedztwa i współpracy. Dziś dobra wola wykazana z obu stron, pochylenie się w imię przyszłości nad wydarzeniami przeszłymi, jest bardzo dobrze widoczna. I dziś, jak rzadko kiedy widać, jak bardzo takie współdziałanie jest potrzebne...

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, w maju 1939 r. polski minister spraw zagranicznych wygłosił w Sejmie bar-

dzo znaczące przemówienie, w którym jednoznacznie odrzucił możliwość poddania się niemieckim żądaniom. Powiedział też wtedy bardzo charakterystyczne, aktualne do dziś słowa: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę”.

Dopiero dziś, po tak wielu latach, w pełni widać, jak wysoką cenę przyszło nam zapłacić za pokój. W tym kościele i w wykopanych przed nim mogiłach spoczywają ci, którzy za obronę własnej Ojczyzny zapłacili już w początkach największego XX-wiecznego konfliktu cenę najwyższą. Oddali własne życie. Ale to właśnie oni i wiele innych, często bezimiennych ofiar wojny ratowali w tych strasznych dniach rzecz, która – jak to dalej ujmował min. Józef Beck – „w życiu ludzi, narodów i państw ... jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor!”.

Dziś oddajemy cześć ceniom naszych obrońców i braci poległych i pomordowanych w 1939 r. W tym tragicznym wymiarze śmierci wojennej obecny jest jednak ważny element nadziei. To nie tylko oddanie czci prochom ofiar, to przede wszystkim uznanie dla ich ofiary, uznanie tego, że zginęli w obronie wartości bezcennych - honoru i wolności.

Szanowni Państwo!

Rodzinom osób dziś chowanych – i tu obecnym i nie mogącym przybyć na dzisiejszą uroczystość - składam wyrazy serdecznego współczucia... Myślą skierujemy się teraz ku tym, którzy spoczną dziś w poświęconej ziemi bez możliwości identyfikacji...

Przed nimi wszystkimi pochylmy nasze głowy...

Niech im ziemia lekka będzie!

Jarosław Książek
Konsul Generalny RP w Brześciu

OKRUCHY PRZESZŁOŚCI



Zyjemy otoczeni historią, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. Niemal w każdym mieście znajdują się obiekty zabytkowe niejednokrotnie o dużych wartościach historycznych. Najczęściej są to kościoły, klasztory, gmachy użyteczności publicznej, czy budynki mieszkalne. Obok nich możemy znaleźć, mające swoją historyczną przeszłość, fragmenty miejskiej infrastruktury: latarnie, studnie, parkany, bruk uliczny etc. O ile pierwsze są widocznym elementem panoramy miasta i tworzą jego historyczną aurę, drugie pozostają najczęściej niezauważone. Ich obecność w naszym codziennym polu widzenia, w drodze do pracy czy podczas spaceru, jest dla nas czymś oczywistym, niegodnym uwagi. A przecież detale te, choć może nie mające pierwszorzędnej wagi historycznej, stanowią integralną część dziejów kultury materialnej, są śladami przeszłości, bez których trudno sobie wyobrazić jej pełny obraz.

Z odsłoniętych przypadkiem fragmentów przedwojennych reklam, płyt chodnikowych czy zdobień domów wyczytać czasem można interesującą historię. Dla nas, Polaków szczególnie cenne są wszelkie pozostałości po polskiej przeszłości miast, które do 1939 r. wchodziły w skład II Rzeczypospolitej. Jest ich coraz mniej, a te, które szczęśliwie dotarły do naszych czasów, często są usuwane przy różnych remontach czy pracach budowlanych. Przykładem może być przebudowywana w Brześciu ul. Sowiecka (niegdyś Dąbrowskiego), na której odsłonięto, pamiętający czasy przedwojennej Polski, bruk. Niestety razem z oryginalną nawierzchnią ulicy zostały usunięte, pochodzące również z dwudziestolecia międzywojennego i opatrzone polskimi napisami, włazy kanałowe.

Prezentowane obok zdjęcia zostały zrobione w trosce o to, aby zachować pamięć o dawnym wyglądzie Brześcia. Pamiętajmy, że nawet tak „niepozorne” drobiazgi, jak te na fotografiach, to także część naszej historii, nawet jeśli piszemy ją przez małe „h”.

Red.

O wdzięczności

Rozpoczął się kolejny rok szkolny, 38 naszych absolwentów dostało się na wyższe polskie uczelnie, wzorowo prezentując we wstępnych egzaminach uzyskaną wiedzę z literatury i języka polskiego, historii Polski i geografii. Obok nauki języka polskiego i przedmiotów ojczystych, nasi uczniowie uczestniczyli w projektach edukacyjnych, zespołach i teatryku szkolnym „Tarabuk”, w akademiach okolicznościowych i pracach porządkowych na cmentarzu polskim w Brześciu. Szkoła dla wielu uczniów stała się pomostem do nowego życia, drogą do sukcesu. Ale dlaczego czasem w rozmowach z nauczycielami czuję smutek i rozczarowanie? Otóż uczniowie bardzo szybko zapominają o szkole, o ludziach gorących serc w Brześciu czy w Polsce, którzy przez wiele lat dzielili się z nimi swoją wiedzą, otwierali nowe możliwości, organizowali dla nich kolonie i warsztaty. Czy tylko skutki systemu sowieckiego wyalienowały z nich poczucie wdzięczności, elementarną kulturę i dobre manierę? Nasza szkoła podczas przekazywania skondensowanej wiedzy na nielicznych lekcjach nie może i nie jest w stanie wpoić młodym tych zachowań. Zachowania i takie postawy winni młodzi wynosić z domu rodzinnego. Czy tak jest?

W tym miejscu pragnę posłużyć się przykładami zachowań dzieci z Białorusi, wyjeżdżających na kolonie do Polski. Dzięki staraniom wielu ludzi dobrej woli oraz instytucji udało się między innymi zakupić słowniki polsko-rosyjskie dla wszystkich dzieci-kolonistów. Podczas wręczenia słowników tylko 6 spośród 45 powiedziało słowo „dziękuję”, pozostali brali słowniki w milczeniu. Większość dzieci nie nauczona wdzięczności w rodzinach, nie używa form grzecznościowych w życiu codziennym. Przy wejściu do klasy czy do transportu zapominają się przywitać. Niektórzy zaś żyją w przekonaniu, że im się należy. Tłumaczymy dzieciom, że 1/3 dzieci polskich nie może korzystać z kolonii letnich, gdyż ich rodziców na to nie stać, że za koszty pobytu naszych dzieci płaci polski podatnik, którego nie stać na opłatę za kolonie swoich dzieci. Każda kolonia polonijna to ogromny wysiłek wielu ludzi dobrej woli. A przecież od blisko 20 lat Polska udostępnia naszej młodzieży studia wyższe wraz z wysokim stypendium, które miesięcznie wynosi od 1 do 1,2 tys. zł!

W świetle powyższego stawiam pytanie – czy zawsze nasza młodzież rozumie, ile to Polskę kosztuje, czy w ślad za tym czuje obowiązek służebności, spłacenia Polsce zaciągniętego długu wdzięczności, czy wreszcie konsekwentnego dbania o dobro sprawy polskiej, a nie tylko bezkrytyczny pęd do konsumpcjonizmu? Absolwenci czasami nie czują potrzeby kontaktu ze Szkołą, czy z nauczycielami, a tym bardziej potrzeby pomocy i wspierania jej działalności. Dziękowanie staje się we współczesnym świecie pojęciem anachronicz-

nym, niepotrzebnym, krępującym. Nawet we współczesnych książeczkach do nabożeństwa już nie znajdziemy litanii dziękczynnych, którymi posługiwali się nasi ojcowie... Staramy się w naszej Szkole uczyć okazywania wdzięczności, ale bez pomocy rodziny są to „szyfrowe prace”.

Pamiętamy o dobrodziejstwach wielu naszych Przyjaciół. Przytoczę w tym miejscu ledwie jeden przykład spośród wielu innych. Państwo Urszula i Bolesław Kruszewscy z Hanau w Niemczech przez wiele lat organizowali występy naszych wokalistów w Niemczech, gościli nas w swoim domu, który stał się dla nas oazą ciepła i miłości, zapewniali naszym dzieciom bogaty program kulturalny, zwiedzanie zabytków itp. A gdy wyjeżdżaliśmy, zapytaliśmy: A jakże się Wam odwdzięczymy, co możemy dla Was uczynić? Usłyszeliśmy odpowiedź: „Bierzcie dobro i przekazujcie innym ludziom, a to będzie dla nas największym podziękowaniem! Przecież żyć – to znaczy okazywać wdzięczność za dobro, miłość, za każdą pomoc i życzliwość, za czyjś uśmiech, za słowo wsparcia, za przyjacielską dłoń. Przekazujcie dalej!”

A jednak wraz z nauczaniem sztuki wdzięczności powinniśmy – naszym zdaniem – zmieniać obecną koncepcję pomocy dzieciom i młodzieży ze Wschodu. Wszystkie projekty kolonijne, warsztaty, wycieczki krajoznawcze muszą być częściowo odpłatne, a tylko wtedy będą doceniane w sposób należyty przez dzieci i ich rodziców! Dzieci i rodzice muszą wiedzieć, ile Polska płaci za ich wyjazd na bilety, zakwaterowanie, wyżywienie, wycieczki, obsługę itp. Muszą także wiedzieć, jaki jest cel wyjazdu czy warsztatów i jak do tego lepiej się przygotować, wiedzieć, że powinni uczyć się starannie języka polskiego, że tylko wtedy mają szansę na wyjazd do Polski. Polska czyni bardzo wiele, aby te kolonie się odbyły, a dzieci też muszą coś dać od siebie, czuć obowiązek uczenia się, być dobrymi Polakami. Na koloniach zaś winni przygotować choćby symboliczne laurki czy robótki ręczne dla swoich opiekunów i wychowawców, nauczyć się wierszyków i piosenek, by zaprezentować swoje uzdolnienia. Bez przygotowania i okazania wdzięczności takie kolonie tracą sens, gdyż uczestnik powróci do domu zubożony i skrzywdzony.

Uczmy dzieci wdzięczności przede wszystkim własnym przykładem, nie zapominając okazywać wdzięczność codziennie za każdą pomoc, każde doznawane dobro, życzliwość, wyciągniętą braterską dłoń, tylko wtedy wdzięczność stanie się dla dzieci potrzebą organiczną, naturalną, sposobem bycia, a jakże to wzbogaci ich osobowość! A nasz i ich świat stanie się cieplejszy, bardziej ludzki, trochę podobny do świata naszych dziadków i pradiadków, za którym tak tęsknimy.

Alina Jaroszewicz

20-LECIE ZWIĄZKU POLAKÓW W EUROPARLAMENCIE

26 sierpnia 2008 r. w Parlamencie Europejskim w Brukseli otwarto wystawę zdjęć upamiętniającą 20-lecie istnienia Związku Polaków na Białorusi. Patronat honorowy nad wystawą objęli Jacek Protasiewicz, przewodniczący Delegacji Parlamentu Europejskiego ds. relacji z Białorusią i Krzysztof Hołowczyc, poseł do Parlamentu Europejskiego. Gośćmi honorowymi wystawy byli członkowie Związku Polaków na Białorusi na czele z prezes ZPB Andżeliką Borys.

Otwierając wystawę głos zabrali m.in. przewodniczący Parlamentu Europejskiego Hans-Goert Poetering oraz przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Parlamentu Europejskiego Jacek Saryusz-Wolski. Wśród grona gości, którzy swoją obecnością zaszczytili wystawę był także ambasador RP w Belgii Sławomir Czarlewski. - Jest to bardzo ważne wydarzenie w kontekście ostatnich zajęć na Wschodzie.

Jesteśmy zobowiązani mówić światu o sytuacji na Białorusi, a przede wszystkim o żyjących tam Polakach. Dlatego wykorzystujemy różne możliwości, by zwrócić uwagę świata na ich problemy. Budynek Parlamentu Europejskiego jest doskonałym miejscem na pokazanie działań Związku Polaków na Białorusi. Spotykają się tu przede wszystkim przedstawiciele 27 państw Unii Europejskiej, a także najważniejsze osobistości ze wszystkich kontynentów. Jestem przekonany, że wystawa wzbudzi zainteresowanie odwiedzających i przybliży problemy, z jakimi borykają się Białorusini, a zwłaszcza mieszkające tam mniejszości narodowe – powiedział Krzysztof Hołowczyc, który w Parlamencie Europejskim jest także członkiem Delegacji do spraw stosunków z Białorusią. 30 sierpnia 2008 roku

Red.

zpb.org.pl



WIZYTA HISTORYKÓW INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W POLSKIEJ SZKOLE SPOŁECZNEJ W BRZEŚCIU



Jarosław Książek, Konsul Generalny RP w Brześciu, Janusz Kurtyka, prezes IPN,
Alina Jaroszewicz, prezes ZPB w Brześciu

Początek nowego roku szkolnego w Polskiej Szkole Społecznej w Brześciu zaznaczył się niecodziennym wydarzeniem: spotkaniem uczniów i nauczycieli szkoły z delegacją Instytutu Pamięci Narodowej. O prestiżu wizyty, która odbyła się 6 października 2008 r., świadczyła liczna i znakomita jej obsada. W spotkaniu, obok historyków IPN z prezesem Januszem Kurtyką na czele, udział wzięli: Konsul Generalny RP w Brześciu dr Jarosław Książek wraz z małżonką, pracownicy Konsulatu oraz przedstawiciele miejscowej prasy. Spotkanie prowadziła Alina Jaroszewicz, prezes oddziału brzeskiego Związku Polaków na Białorusi.

Osiem lat istnienia IPN to okres, w którym instytucja ta dobrze zasłużyła się polskiemu społeczeństwu. Każdy rok pomnaża jej dorobek, czego dowody mamy również w Brześciu w postaci otworzonej 7 października w Twierdzy Brzeskiej wystawy poświęconej zbrodniom Wehrmachtu na ziemiach polskich w 1939 r. IPN to instytucja dobrze znana także naszym uczniom, dla których pracownicy Biura Edukacji Publicznej organizowali w ubiegłym roku pokazy filmowe poświęcone najnowszej historii.

Wśród książek szkolnej biblioteki ważną pozycję zajmują wydawnictwa ofiarowane nam przez IPN. Również i tym razem otrzymaliśmy od gości z Warszawy wiele cennych publikacji.

W czasie swojego wystąpienia prof. J. Kurtyka przypomniał najważniejsze cele realizowane przez podległą mu instytucję, charakteryzując prace jej poszczególnych pionów: śledczego, archiwalnego, edukacyjnego i lustracyjnego. W trakcie spotkania odbyła się prezentacja filmu dokumentalnego „Był taki czas...”, zrealizowanego przez uczennice naszej szkoły w ramach ogłoszonej przez IPN I edycji programu edukacyjnego „Opowiem Ci o wolnej Polsce”. Po filmie wywiązała się dyskusja nad sposobem realizacji dokumentu, który został bardzo wysoko oceniony przez naszych gości.

Wierząc, że nasze kontakty z IPN będą podtrzymywane, składamy na ręce Pana Prezesa Janusza Kurtyki współpracowników najserdeczniejsze podziękowania za poświęcony nam czas oraz stale udzielane wsparcie.

Piotr Boroń,
Brześć



Wystawa *Z największą brutalnością...*

Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce, wrzesień-październik 1939 r.

W dniu 7 października 2008 r. o godz. 16.00 odbyło się w Twierdzy Brzeskiej uroczyste otwarcie wystawy „*Z największą brutalnością... Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce, wrzesień-październik 1939 r.*” Autorami wystawy, nad którą patronat objął Konsulat Generalny RP w Brześciu, są Instytut Pamięci Narodowej oraz Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie. W ceremonii otwarcia ekspozycji wzięli udział: Ambasador RP w Mińsku dr Henryk Litwin, Konsul Generalny RP w Brześciu dr Jarosław Książek, prezes IPN prof. Janusz Kurtyka, dr Leonid Cupryk, wicegubernator Brzeski oraz przedstawiciele władz brzeskich – obwodowych i miejskich. Wśród przybyłych gości znaleźli się ponadto pracownicy placówek konsularnych Rosji, Ukrainy, Mongolii oraz działacze Związku Polaków na Białorusi i Polskiej Macierzy Szkolnej.

Wystawa upamiętnia okrutny los, jaki zgottowali hitlerowcy mieszkańcom Polski już w dwóch pierwszych miesiącach

wojny. Przypomina, że II wojna światowa była wojną totalną – straszliwe cierpienia na równi dotknęły w niej żołnierzy i cywilów. Choć w Polsce od momentu jej zakończenia dobitnie podkreśla się fakt niesłychanego okrucieństwa oddziałów hitlerowskich (nie wyłączając Wehrmachtu), które dokonywały masowych mordów na bezbronnej ludności cywilnej oraz jeńcach wojennych, wciąż jest to temat wymagający właściwego, zgodnego z historyczną prawdą, naświetlenia. Zwłaszcza w historiografii niemieckiej wokół zbrodni Wehrmachtu narosło dużo zafałszowań lub półprawd, które zbrodnie te usiłowały zacząć bądź pomniejszyć. Godny zatem odnotowania jest fakt, że wystawa została przygotowana przez IPN wspólnie z Niemieckim Instytutem Historycznym. Jest to, jak podkreślił w swym wystąpieniu prezes J. Kurtyka, swoisty znak czasu oraz symbol poszukiwania prawdy ponad narodowymi uprzedzeniami.



Podczas uroczystości otwarcia wystawy: od lewej – Leonid Cupryk, wicegubernator Brzeski, Janusz Kurtyka, Prezes IPN, Jarosław Książek, Konsul Generalny RP w Brześciu

Na wystawę złożyło się kilkadziesiąt fotografii pochodzących ze zbiorów polskich, niemieckich oraz z Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie i obrazujących różne aspekty niemieckich zbrodni: bombardowania lotnicze, aresztowania, egzekucje, poniżanie ludności żydowskiej. Ważnym elementem ekspozycji jest dobrze opracowany katalog, mający obok polskiej także wersję rosyjską, przygotowaną przez Konsulat Generalny RP w Brześciu.

„Podkreślić należy, że przytłaczająca większość zbrodni wojennych popełnionych na polskiej ludności cywilnej we wrześniu 1939 r. polegała na zabijaniu – także w zbiorowych egzekucjach – osób nie uczestniczących w walce, co zbrodniczy charakter tych działań czyniło oczywistym zarówno dla rozkazodawców, jak i wykonawców”. „(...) zabójstwa te, których ofiarami była ludność cywilna nie wynikały z istoty działań wojennych, stanowiły więc oczywiste zbrodnie wojenne”. „(...) niemieccy żołnierze, obok oddziałów SS i policji, często brali udział w rozstrzeliwaniu ludności (...)”. „Egzekucje przeprowadzone tylko w okresie sprawowania przez Wehrmacht administracji wojskowej na polskich ziemiach przyniosły co najmniej 16 tys. ofiar śmiertelnych”. Tych kilka fragmentów, wyjętych ze wstępu do katalogu wystawy, mówi o tym, co w niej najważniejsze: zbrodnie popełnione przez żołnierzy Wehrmachtu obciążają całą formację, obalając mit jej rzekomej rycerskości. Jak zauważa Witold Kulesza, autor artykułu zamieszczonego w katalogu, „pojęcie *zbrodnie Wehrmachtu* – zawierające w swej semantycznej treści uogólnienie – jest historycznie i prawnie uzasadnione (...). Rzecz jednak w tym, że sprawców zbrodni nigdy nie osądzono jako tych, którzy naruszyli reguły prowadzenia wojny i zbrodnie te popełnili. Dlatego wszystkie one obciążają Wehrmacht, gdyż zostały popełnione pod jego administracją wojskową, trwającą na podbitym terytorium państwa polskiego do 25 października 1939 r.”

Na działalność Wehrmachtu na ziemiach polskich w 1939 r. można patrzeć z rozległej perspektywy prawniczej (jak



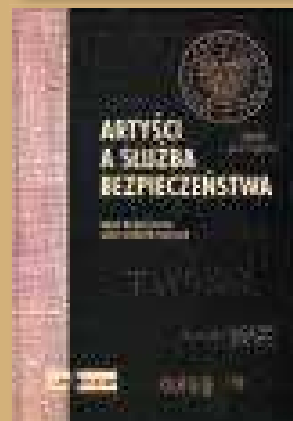
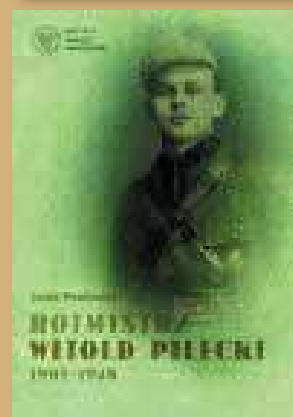
Prof. Janusz Kurtyka, prezes IPN
prezentuje nowe wydawnictwa IPN

czyni to W. Kulesza), dowodząc, że zawierała w sobie czyny wyczerpujące znamiona zbrodni w myśl obowiązujących norm prawa międzynarodowego. Można także, i taki jest jeden z zasadniczych celów wystawy, widzieć w niej początek wojny na wyniszczenie, niosącej ze sobą zbrodnie przekraczające granice wyobraźni. Takie też ujęcie dominuje w drugim artykule pomieszczonym w katalogu autorstwa Jochena Bohlera z Niemieckiego Instytutu Historycznego.

Na najwyższe uznanie zasługuje fakt, że wystawa, która jest prezentowana w Polsce od czterech oraz w Niemczech od trzech lat, dotarła również na Białoruś. Miejmy nadzieję, że to dowód nie tylko owocności działań IPN poza granicami Kraju, ale także jeden z przykładów pomyślnie się zarysowującej współpracy polsko-białoruskiej...

Piotr Boroń
Brześć

Najnowsze wydawnictwa
Instytutu Pamięci Narodowej



www.ipn.gov.pl

TAM DOJDĘ, GDZIE GRANICZĄ

*Szlakiem Mickiewicza
podróżowali nauczyciele i uczniowie z Brześcia*



**Zaosie
i Jezioro Świtez**



STWÓRCA I NATURA...

Adam Mickiewicz



Nowogródek



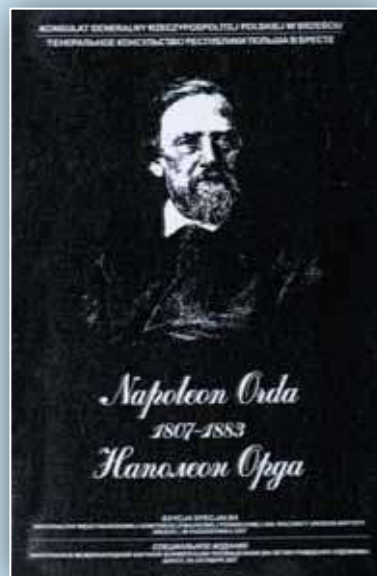
NAPOLEON ORDA W SEJMIE RP

22 listopada 2008 r.



Podczas uroczystego otwarcia wystawy litografii Napoleona Ordy w Sejmie RP: Bogdan Zdrojewski – Minister Kultury RP, Elżbieta Książek – Konsulat RP w Brześciu, Jarosław Książek – Konsul Generalny RP w Brześciu, Bronisław Komorowski – Marszałek Sejmu RP, Tadeusz Stawecki – Poseł na Sejm RP

Delegacja z Brześcia i obwodu brzeskiego na uroczystości otwarcia wystawy Napoleona Ordy w Sejmie RP: Alina Mickiewicz – ZPB, Robert Duda – Konsul RP w Brześciu, Waleria Denisiuk – ZPB, Tadeusz Stawecki – Poseł na Sejm RP, Jarosław Książek – Konsul Generalny RP w Brześciu, Wiktor Mironow – ZPB, Elżbieta Książek – Konsulat Generalny RP w Brześciu, ks. Tadeusz Steczkowski – Proboszcz Parafii pw. św. Andrzeja Boboli w Janowie na Polesiu



Prezentacja edycji specjalnej materiałów Międzynarodowej konferencji naukowej, poświęconej N. Ordzie, zorganizowanej przez Konsulat Generalny RP w Brześciu



INAUGURACJA ROKU SZKOLNEGO w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu



Piotr Boroń i Anna Paniszewa wręczają dyplomy IPN uczennicom Szkoły, uczestniczkom konkursu IPN „Co ty wiesz o wolnej Polsce”: Annie Małaszuk, Wierze Demjenczuk i Darii Czuprecie, autorkom filmu dokumentalnego „Był taki czas...” o Związku Obrońców Wolności, ostatniej patriotycznej organizacji młodzieżowej, działającej na Polesiu w l. 1946-48.



Zespół „Tacy młodzi” Drużyny Harcerskiej im. Krystyny Krahelskiej w Brześciu wykonuje piosenki harcerskie



Spotkanie w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki. Od lewej: Stanisław Gogacz, Senator RP, Alina Mickiewicz, Walery Cyliński



Uczniowie klasy maturalnej prezentują wiersze Ryszarda Snarskiego, brzeskiego poety, jednego z założycieli Związku Obrońców Wolności



ZWIEDZAMY NASZ KRAJ

W dniach 12-14 września 2008 roku przedstawiciele Klubu Polskiego w Brześciu zorganizowali trzydniową autokarową wycieczkę o charakterze turystyczno-krajoznawczym do regionu Homelskiego i Mohylewskiego. Wyjazd był

zorganizowany przede wszystkim dla nauczycieli i wykładowców polonijnych, pracowników brzeskich muzeów, jak również młodzieży polonijnej i studentów brzeskich uczelni wyższych. Zgodnie z programem uczestnicy wycieczki mieli okazję zwiedzić wybrany region Białorusi Wschodniej i przybliżyć sobie jego historię. Obwody Homelski i Mohylewski są terenami otwartymi dla ruchu turystycznego, zachęcają do rekreacji i wypoczynku nie tylko mieszkańców kraju lecz także turystów z zagranicy. Obwody wschodnie posiadają swe niepowtarzalne walory turystyczne. Ten region Białorusi zachował cenne zabytki architektoniczne oraz bogaty świat obyczajów i tradycji. Zabytkowe siedziby dawnej szlachty byłej I Rzeczypospolitej Polskiej wabią oryginalną architekturą, barokowe, klasycystyczne kościoły i cerkwie otwierają drzwi przed pielgrzymami, piękne parki zachęcają do dłuższych spacerów.



Archikatedra pw. Wniebowzięcia
Najświętszej Marii Panny
w Mohylewie



Pierwszego dnia z rana przybyliśmy do miasta **Mozyr**, w którym zwiedziliśmy przepiękny klasztor cysterek i kościół pw. Św. Michała z 1745 roku wybudowane w tak zwanym „*Anielskim zagajniku*”, jak również cerkiew pw. Św. Michała z 1775 roku. W miasteczku **Jurowicze**, na miejscu XVIII-wiecznego kościoła i kolegium jezuitów pozostały tylko ruiny. Kolejnym punktem w programie było zwiedzanie rzymsko-katolickiego kościoła pw. Św. Trójcy z 1903 roku i prawosławnego Soboru Uspieńskiego wybudowanego w roku 1842 w mieście **Reczyca**. Ostatnim punktem w programie pierwszego dnia było miasto **Homel**, a w nim kościół Najświętszej Marii Panny.

W kolejnym dniu naszego pobytu w Homlu, zwiedziliśmy pałacowy zespół Paskiewiczów (XVIII–XIX w.) i Sobór pw. Św. Piotra i Pawła z 1824 roku wybudowane na brzegu rzeki Soż. Następnie udaliśmy się do siedziby **Czerwony Brzeg**, gdzie podziwialiśmy XIX-wieczny pałac Gotowskich otoczony starym parkiem. Po dwóch godzinach podróży przybyliśmy do miasteczka **Żylicze**, gdzie zwiedziliśmy klasycystyczny pałac Bułaków (XIX w.). We wsi **Kniażyce** obejrzelśmy barokowy kościół pw. Św. Mikołaja. Świątynia wzniesiona w 1780 roku obecnie znajduje się w stanie zaniedbania. Dla nas żyjących jest to nieodwracalna strata. Zniszczonego przez wiatr, deszcz i ludzką obojętność tak ważnego dla chrześcijan zabytku nie sposób w najbliższym czasie odbudować. Jednak miejmy nadzieję, że przyszłe pokolenia będą mogły się modlić przed ołtarzem kościoła rzymsko-katolickiego w Kniażycach.

Ostatnim punktem wycieczki stało zwiedzanie miasta **Mohylew**. Wzięliśmy udział w niedzielnej Mszy świętej w zabytkowej archikatedrze pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny z 1752 roku. Zwiedziliśmy klasztor pw. Św. Mikołaja (1636 r.), odbudowany ra-



Ruiny kościoła jezuitów
w Jurowiczach

tusz z XVI wieku i teatr miejski (1888 r.). Spacerując wąskimi uliczkami Mohylewa poznaliśmy miasto tętniące życiem w jego rozmaitych odcieniach.

Zaplanowany program ekspedycji został w pełni zrealizowany. Ten projekt stanowił pewną promocję krajoznawstwa poprzez turystykę wśród młodzieży w szczególności w ramach wypoczynku, wspieranie inicjatyw związanych z przyszłymi projektami turystycznymi, posiadającymi na celu podniesienie atrakcyjności turystycznej i kulturowej Republiki Białorusi w Europie oraz wpływ na rozwój otwartości lokalnej naszego kraju na świat.

P.S. Ekspedycja turystyczno-krajoznawcza została zrealizowana dzięki finansowemu wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Składamy także serdeczne „Bóg zapłać” dla Ks. Proboszcza Sławomira z Homla i Ks. Proboszcza Romana z Mohylewa za gościnność, a wszystkim wiernym dziękujemy za otwarcie swych domów dla uczestników tegorocznego wyjazdu.

Regina Demjaniuk,
Brześć

FORUM NAUKOWCÓW POLONIJNYCH

W dniach 4–7 września 2008 roku odbył się w Krakowie II Kongres Polskich Towarzystw Naukowych na Obczyźnie pod hasłem „*Migracje, badania migracyjne, migranci – badacze*”, zorganizowany przez Polską Akademię Umiejętności, Krakowski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Uniwersytet Jagielloński oraz Akademię Górniczo-Hutniczą. Podczas uroczystego otwarcia kongresu, w obecności prezesa PAU prof. Andrzeja Białasa, prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” posła Macieja Płażyńskiego i prezydenta miasta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego, wygłosił przemówienie premier Rządu RP Donald Tusk. Premier podkreślił, że wszyscy dzisiaj powinni pracować na rzecz silnej pozycji międzynarodowej Polski. Dotyczy to również naukowców i intelektualistów pracujących poza granicami kraju. - *Nasza pozycja międzynarodowa będzie zależała od tego, jaki potencjał, także potencjał intelektualny, Polska zbuduje. (...) Wasz wspólny wysiłek intelektualny na rzecz innowacyj-*

ności polskiej gospodarki, polskiej myśli technicznej to najważniejszy klucz do uzyskania pozycji, której efektem końcowym będzie bezpieczna Polska i bezpieczni Polacy - powiedział prezes Rady Ministrów. W II Kongresie Polskich Towarzystw Naukowych na Obczyźnie uczestniczyło blisko 80 naukowców polonijnych m.in. z Belgii, Irlandii, Białorusi, Austrii, Francji, Niemiec, Szwecji, Litwy, Wielkiej Brytanii, Ukrainy, Stanów Zjednoczonych i Kanady. W ramach II Kongresu odbyło się także sympozjum pod hasłem „*Polski inżynier w kraju i na świecie*” zorganizowane przez Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie.

Omawiane były takie problemy, jak: warunki i dorobek polskich towarzystw naukowych poza granicami kraju, adaptacja i kariera polskich specjalistów w kraju ich zamieszkania oraz potrzeby badań nad nową emigracją.

Anna Paniszewa,
Brześć



XVI Światowe Forum Mediów Polonijnych

W dniach 9-16 września, miałem zaszczyt reprezentować jedno z najlepszych czasopism wydawanych przez Polaków za granicą – *Echa Polesia* – na XVI Światowym Forum Mediów Polonijnych w Tarnowie. Do uroczego miasta w Małopolsce zjechało się ponad 100 dziennikarzy i wydawców mediów polonijnych z całego świata. W Forum wzięli udział przedstawiciele z różnych kontynentów i obszarów kulturowych, z takich państw, jak: Austria, Argentyna, Belgia, Białoruś, Czechy, Finlandia, Francja, Grecja, Holandia, Kanada, Kuba, Liban, Litwa, Łotwa, Macedonia, Mołdawia, Niemcy, Polska, Rosja, Serbia, Szwecja, Ukraina, USA.

Nie zabrakło różnorodnych dyskusji, spotkań z przedstawicielami lokalnej i krajowej władzy, ciekawych wycieczek i specjalnych warsztatów dla dziennikarzy. Tematem wiążącym Forum w 2008 roku była **rola mediów polonijnych w tworzeniu kontaktów środowiskowych i promocja Polski za granicą**, w szczególności województwa Małopolskiego. Ważnym zagadnieniem Forum był problem języka polskiego w mediach polonijnych, a także jego rola w zachowaniu kultury i tożsamości narodowej.

Naturalnie, *Echa Polesia* były już doskonale znane uczestnikom Forum, lecz zainteresowanie nimi było widoczne na każdym kroku wraz z okazywaniem autentycznej życzliwości wraz z propozycjami współpracy.

Uczestnicy Forum odwiedzili m.in. Kraków, Nowy Sącz, Wieliczkę, a także cały szereg mniejszych miejscowości Powiśla Dąbrowskiego. Była okazja do zwiedzania m.in. jedynej w Polsce „malowanej wsi” – Zalipia, w której kościół, domy i budynki gospodarcze są ozdobione tradycyjnymi wzorami z charakterystycznych kolorowych kwiatów. Większość artystów w tej wiosce to kobiety, z których każda ma swój niepowtarzalny styl, ulubione kolory i wzory kwiatów. W kolejnej ze zwiedzanych miejscowości – Szczucinie uczestnicy Forum złożyli kwiaty pod Kwaterą Pamięci Narodowej z okazji 69. rocznicy spalenia przez hitlerowców Szkoły Podstawowej, po czym swoje drzwi do zwiedzania otworło jedyne w Polsce Mu-

zeum Drogownictwa ze skansenem maszyn drogowych. W miejscowości z bardzo ładną nazwą – Radgoszcz – szanownych gości w barwnych strojach witała pieśnią, chlebem i solą kapela ludowa, a także czekały ogromne stoły z różnymi poczęstunkami przygotowanymi rękami mieszkańców Radgoszczy. W Brniu dziennikarze zapoznali się z przeszłością wspaniałego zespołu dworsko-parkowego oraz z prezentacją koncepcji utworzenia w tym uroczym miejscu Regionalnego Centrum Polonii. Z Tuchowa zwiedzający zapamiętali stare Sanktuarium Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. W pobliskich Ciężkowicach w Sanktuarium Pana Jezusa Miłosiernego odbyła się uroczysta Msza święta w intencji Forum i mediów polonijnych. W Kąśnie Dolnej uczestnicy Forum w dworku słynnego polskiego muzyka i kompozytora I. J. Paderewskiego wysłuchali recitalu fortepianowego młodej pianistki B. Gładysz. Wszystkim melomanom koncert bardzo się podobał. Dziennikarze polonijni wzięli także udział w IX Święcie Fasoli w Zakliczynie, który zwykły być nazwany również fasolową stolicą świata, ponieważ fasola z jego okolic jest uważana za najsmaczniejszą i najpożywniejszą na świecie.

Widziałem niepowtarzalną autentyczną Małopolskę, czarowną Macierz, do której jeszcze bardziej się przywiązałem dzięki Forum. Zapoznałem się z Polakami z różnych zakątków ziemi, ale nie przestających nosić Polski we własnych sercach, tęskniących do niej w myślach i marzeniach. Jest coś takiego, w polskiej ziemi, że ciągnie do siebie jak mistyczny magnes, jak źródło żywej wody, do którego raz za razem chce się przypaść i zgasić duchowe pragnienie.

Każdy z uczestników wyróżniał się na Forum, ponieważ specyfika kulturowa naszych państw, gdzie obecnie mieszkamy, odciśnęła się mimo naszej woli na zachowaniu, światopoglądzie i nawet sposobie mówienia, ale mimo tych różnic łączy nas nasza wspólna Ziemia, nasz polski raj, do którego ciągle chce się przyjeżdżać i po prostu być.

Wiktor Szukielowicz,
Żuprany, Białoruś

O TYM NIE WOLNO ZAPOMNIEĆ!

Franciszek Kosowicz



Wmarcu 1989 roku Grażyna Lipińska z Grodna, autorka słynnej książki *Jeśli zapomnę o nich*, zwróciła się do Kombatantów Polskich w Los Angeles o zorganizowanie pomocy Polakom na Wschodzie. Inicjatywę podjął pan Franciszek Kosowicz, ur. w Kosowie b. żołnierz AK i uczestnik Powstania Warszawskiego wraz ze swymi kolegami z Los Angeles, Riverside i Orange. Już w czerwcu 1989 r. powołano Komitet Pomocy Polakom w ZSRR, później w zmienionej nazwie – na Wschodzie. Prezesem Komitetu został wybrany Franciszek Kosowicz, który tę funkcję sprawuje do dziś. W skład Komitetu weszło jeszcze 12 przedstawicieli Polonii Kalifornijskiej, z których można wyróżnić: Tadeusza Maciejowskiego (zm. w 2003 r. w wieku 90 lat), Mieczysława Dutkowskiego, czy Hankę Gutkowską. Komitet pracuje całkowicie społecznie, pokrywając wszystkie wydatki z własnych funduszy oraz własną pracą. Jak w każdym społeczno-filantropijnym działaniu, tak i tutaj podstawowy wysiłek i ciężar obowiązków podjął Franciszek Kosowicz, pochodzący z Polesia, którego wspiera skutecznie małżonka Janina. Do prac i ofiarności na rzecz Polaków na Wschodzie pan Prezes włączył niemal całą Polonię kalifornijską poprzez organizowanie imprez dochodowych, tak jak „Wieczory Braterstwa”, bale, pikni-

ki, loterie, koncerty, czy wysyłane apele i prośby o fundusze.

Skreślam poniższą notkę w przeddzień XX-lecia działalności Komitetu, uważając tę szczytną powinność wobec Pana Franciszka, z którym dane mi było współpracować od początku zaistnienia Komitetu ustanowionego w ramach struktur Kongresu Polonii Amerykańskiej – Wydział Południowa Kalifornia. Dokonania Komitetu zasługują na szczególną uwagę i podkreślenie ze względu na liczne zasługi w bogatej i wielokierunkowej organizacji pomocy na rzecz odrodzenia kulturalno-oświatowego Polaków na Wschodzie. Nie ma innej organizacji polonijnej na świecie, która by tak realnie – li tylko własnym wysiłkiem „darów serca” – dokonała tak licznej i wszechstronnej pomocy, której beneficjentami było tysiące naszych Rodaków na Ukrainie, Białorusi, Litwie, Łotwie, Rosji, Kazachstanie, Gruzji itd. Właśnie ten fenomen służebności dobru społecznemu stawia naszego Bohatera wraz z Polonusami kalifornijskimi za wzór altruizmu i przykład wypełniania powinności dla innych młodych Polaków mieszkających zarówno w Macierzy jak i poza jej granicami.

Na czym polega ten fenomen? Po pierwsze – determinacja w pragnieniu niesienia pomocy dla innych kosztem własnych wyrzeczeń, czyli dobrowolnego przekazywa-



nia własnych funduszy na rzecz Polaków na Wschodzie. Po drugie – wielotysięczna odległość kilometrów oraz wielorakie przeszkody wymagały nie tylko hartu ducha, sił i zdrowia, ale własnych inicjatyw i pomysłów jak też i szczegółowego rozpoznania w terenie w udzielanej pomocy, których adresatami musiały być osoby czy instytucje najbardziej kompetentne. Po trzecie – zasięg udzielanej pomocy jak też i jej odbiorcy byli zawsze najbardziej potrzebującymi, co wynika choćby z punktu drugiego. Po czwarte – Pan Kosowicz był i jest w swej społecznej pracy „trudnym partnerem”, gdyż wymaga od beneficjentów pełnej i wiarygodnej dokumentacji, która z kolei była i jest podstawą pozyskiwania zaufania społecznego, a tym samym – kolejnych darczyńców. Jak widać z powyższego, owocują tutaj rygor i dyscyplina niemal wojskowa, których nasz Bohater nabył w Armii Krajowej, dzięki czemu 20-letnie wysiłki nie idą na marne, lecz są stale ubogacane dla utrwalania i rozwijania polskości na Wschodzie. Charakterystykę tej działalności można wreszcie zamknąć służebnym hasłem: „Służba Bogu i Ojczyźnie”.

Nasuwa się tutaj mimo wszystko wiele pytań, jak np.: Jak można było pozyskiwać na te cele rokrocznie dziesiątki tysięcy dolarów? Skąd tysiące komputerów oraz innego sprzętu uzyskanego i przesłanego na Wschód pomimo tak wielu przeszkód transportowych, celnych, technicznych itd.? W jaki sposób przy tak dalekich odległościach Pan Franciszek miał doskonale rozpoznać sytuację polskich żłobków, przedszkoli, szkół, instytucji, organizacji na Wschodzie itd.? Podczas moich prac fundacyjnych za Bugiem wszędzie, gdzie byłem, spotykałem nie tylko ślady obecności Pana Franciszka Kosowicza, ale i trwałe efekty przekazywanej pomocy. Nic dziwnego, że minister Andrzej Zakrzewski jako przewodniczący Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą RP już w 1998 roku pisał do prezesa Komitetu: *Niech wolno mi też będzie wyrazić wdzięczność i niekłamany podziw dla wszystkich Rodaków „wielkiego serca”, którzy za pośrednictwem Komitetu niosą pomoc, wspierają i twórczo współpracują z tą częścią polskiego narodu, któremu przyszło egzystować poza granicami swej ojczyzny, a którzy nigdy o niej*

nie zapomnieli. To nie tylko piękny gest Rodaków zza oceanu, ale prawdziwie pojęta solidarność i konkretne, wymierne działania, które zaowocują także w przyszłości.

W podobny sposób prace i dokonania Komitetu oraz pana Franciszka Kosowicza oceniły polskie władze państwowe, społeczne i kościelne, który został udekorowany m.in. orderem „Polonia Mater Nostra Est”, prymasowskim Medalem Złotym, Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej oraz wieloma innymi nagrodami, wyróżnieniami, dyplomami itp. Archiwum Komitetu jest bogate nie tylko skrupulatną dokumentacją dokonań, ale przede wszystkim listami i podziękowaniami od biorców darów i pomocy Polaków ze Wschodu. Pan Prezes pisze: *Pomoc naszym Rodakom, gdziekolwiek by nie byli, łączy nas; cenimy polskość i jej utrzymanie nawet w niezwykle trudnych warunkach, a aktywność Komitetu jest wyrazem naszego wspólnego ducha”.*

Także i Fundacja im. T. Goniewicza doznawała stałej i konkretnej pomocy Komitetu począwszy od 1991 roku, gdy uzyskaliśmy fundusze na zakup 73 maszyn do pisania „Łucznik”. Dodaliśmy kolejne fundusze, aby 86 takich maszyn przekazać na Białoruś, Ukrainę i do Kazachstanu. Dzięki dofinansowaniu Komitetu mogliśmy zrealizować wiele ważnych zadań statutowych na rzecz oświaty i kultury polskiej na Wschodzie.

Józef Adamski

Od lewej Dyrekcja Telewizji Polskiej Pan Siwek Sławomir, Pani Agnieszka Romaszewska-Guzy i nagrodzeni





Józef Maria CIEŚLIŃSKI

Cieśliński Józef Maria urodził się 6 sierpnia 1920 r. w Warszawie jako syn Józefa i Marii z d. Jowik. Józef zdał maturę w 1938 r. i rozpoczął studia w Państwowej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga i Rotwanda. Już jako uczeń gimnazjum związał się z ruchem narodowym i należał do Gimnazjalnych Grup ONR a później Młodzieży Wielkiej Polski. Brał czynny udział w wojnie obronnej 1939 roku jako ochotnik. W konspiracji uczestniczył od listopada 1939 w Związku Jaszczurczym, gdzie zajmował się propagandą. Po scaleniu kilku wojskowych organizacji o kierunku narodowym oraz powstaniu NSZ we wrześniu 1942 r. przeszedł do Oddziałów Specjalnych, gdzie pełnił obowiązki adiutanta dowódcy oddziału w Okręgu Warszawa-Okręg rotm. „Szczerbińskiego”, a od lutego 1944 dowodził w stopniu podporucznika plutonem ochrony sztabu Okręgu IV NSZ. Od 1942 z obawy przed aresztowaniem ukrywał się pod nazwiskiem Jerzy Grzymałowski. Jednocześnie kontynuował naukę kończąc ją wiosną 1943 z tytułem dyplomowany technik mechanik.

W dniu 1 sierpnia 1944 roku nie będąc powiadomiony o godzinie „W”, z częścią swego oddziału przemieszczał się idąc do „magazynu” (lokal konspiracyjny oddziału) na ulicę Twardą 20. Powstanie zastało ich w pobliżu Pl. Napoleona. Przyłączyli się do już walczących oddziałów AK – Batalionu „Kiliński” o budynek poczty głównej. Okazało się, że tam też znalazła się druga część jego plutonu. Następnego dnia po opanowaniu budynku poczty udali się na poszukiwanie właściwego przydziału. Przez dwa dni brali udział w walkach na ul. Żelaznej przy Leszno, a 5 sierpnia dołączyli do kompanii „Warszawianka” w Zgrupowaniu „Chrobry 2” i tam już do zakończenia Powstania dowodził drugim plutonem.

Po kapitulacji poszedł do niewoli, był jeńcem obozu Oflag VII w Murnau. Nie powrócił po wyzwoleniu obozu do Kraju, a rozpoczął dalszą służbę w II Korpusie gen. Andersa w Bazie w Ratyzbonie w Bawarii. Po rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie służył w Polskich Kompaniach Wartowniczych strefy Amerykańskiej w służbie technicznej transporu, jednocześnie pracując na kursach szkoleniowych jako nauczyciel zawodu. Od 1947 do 1949 r. pracował w Szkole Mechanicznej w Mannheim w Bawarii i pełnił obowiązki sekretarza generalnego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich na terenie amerykańskiej okupacji Niemiec.

Po złożeniu podania i dokumentów emigracyjnych wyjechał do Australii, zawierając wcześniej ślub z Anną Pohl uczestniczką konspiracji, która również była oficerem w Powstaniu Warszawskim, a potem jeńcem wojennym. W Australii starał się organizować związek wszystkich Polaków emigrantów. Był korespondentem i redaktorem gazety polonijnej oraz radia. Do Australii sprowadził matkę i siostrę. Po 1989 roku utrzymywał stały kontakt z byłymi kolegami i Związkiem Żołnierzy NSZ oraz Związkiem Powstańców Warszawskich. Hojnie wspomagał wiele osób i organizacji społeczno-charytatywnych w Kraju, przekazując na ten cel dosyć pokaźne kwoty. Zainteresowany zmianami i tym, co się dzieje w Polsce, starał się być czynnym we wszystkich sprawach polskich w Kraju i zagranicą. Awansowany do stopnia kapitana, odznaczony Warszawskim Krzyżem Powstańcym, Krzyżem Narodowego Czynu Zbrojnego, Odznaką Weterana Walk o Niepodległość oraz Australijskim Orderem Uczestników II-ej Wojny Światowej. Był kilkakrotnie w Polsce w latach 1989-2004. Zmarł 8 sierpnia 2005 w Adelajdzie i tam został pochowany po uroczystym pogrzebie 12.08.2005 na Centennial Park Cemetery.

Zbigniew Kuciewicz,
Warszawa

OD FUNDACJI IM. T. GONIEWICZA:

Kpt. Józef Maria Cieśliński w okresie 1989-2005 również zasłużył się wybitnie w działalności społeczno-filantropijnej Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie poprzez zorganizowanie pomocy finansowej pośród całej Polonii australijskiej. Dzięki Niemu Fundacja mogła zrealizować dziesiątki zadań statutowych na rzecz dzieci i młodzieży polskiej na Wschodzie. To właśnie On był także współorganizatorem spotkań fundacyjnych w Australii, koncertów zespołu „Pierwiosnek” z Baranowicz, nieustannie troszczył się i wspierał nas wszelką radą, darami, liczną i bogatą korespondencją okazując jednocześnie wielką skromność i osobistą kulturę. Mimo prośb nie ukazywał swych bohaterских czynów dokonanych w Kraju czy Australii. Nawet w ostatnich chwilach życia myślał o nas, cedując na cele statutowe Fundacji część Swego zapisu testamentalnego. Pozostanie dla nas wszystkich wzorem wierności w służbie Bogu i Ojczyźnie.

Jak powstał elementarz

Po raz pierwszy w historii Polski, z myślą o dzieciach polskich poza granicami RP, został wydany w Lublinie elementarz pt. „Czytam po polsku” autorstwa dr Heleny Meterowej. Powstanie elementarza nie było przypadkowe ani łatwe. Dzisiaj po blisko 20 latach od momentu zaistnienia jego koncepcji należy ukazać zarówno wysiłki wielu ludzi w jego przygotowaniu, produkcji i kolportażu jak i wdrażaniu podczas odradzania oświaty polskiej na Wschodzie, oraz zastosowaniu w oświacie polonijnej na Zachodzie. Ukazanie losów elementarza jest tym bardziej konieczne, iż stanowił on początek innych wydawnictw oświatowych Fundacji im. T. Goniewicza – zarówno dla początkowego nauczania języka polskiego poza granicami RP, jak i pozostałych publikacji dla oświaty oraz promocji kultury polskiej.

Potrzebę wydania nowego elementarza dla dzieci polskich na Wschodzie autor poniższej relacji widział od 1979 roku, tj. od momentu bezpośredniego zetknięcia się za Bugiem z dramatyczną sytuacją oświaty polskiej. Wszak istniejąca wówczas w formie szczątkowej oświata polska na Litwie i we Lwowie dysponowała „polskim” elementarzem, lecz był on zaprzeczeniem tożsamości narodowej, a przy tym posiadał błędy nie tylko językowe; był po prostu wrogi wobec polskości, nasycony propagandą komunistyczną i ideologią marksistowską, nie uznającym patriotyzmu, rozwoju osobowościowego i indywidualnego dziecka, negujących wszelkie prawa jednostki, na czele z zakazem wyznawania religii. Nic więc dziwnego, że oczekiwania Polaków na Wschodzie takiego elementarza wydawały się nierealnym snem...

Marzenia mogły się spełnić dopiero od 1988/89 roku, tj. od momentu zarejestrowania Fundacji jako instytucji niezależnej i samoistnej. (Od tej chwili muszę pisać z odniesieniem do siebie, gdyż wszystko, co zaistniało, dotyczyło mojej osoby). A więc po kilku drobnych wydawnictwach, jak np. folder „Wileńszczyzna”, kwartalnik „Ziemia Lidzka”, kalendarz itp., uzyskałem z trudem zgodę Zarządu Fundacji na wydanie elementarza, który miał spełnić oczekiwania i wysokie wymagania edytorskie oraz metodyczno-dydaktyczne.

Z przygotowaną koncepcją ideowo-programową zwróciłem się z propozycją jego realizacji do **dr Heleny Metera**, pracownika naukowego tutejszego Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej, autorki licznych wydawnictw oświatowych, w tym m.in. „Mojego elementarza”, słowników, ćwiczeń gramatycznych itd. Uwzględnić w tym miejscu należy bogate doświadczenia autorki w

pracy z nauczycielami polonijnymi w ramach wówczas istniejącego Towarzystwa „Polonia”. Po licznych dyskusjach autorka wyraziła zgodę. Stronę graficzną zleciłem **Blance Gul-Olszewskiej**, która była znana w środowisku jako uzdolniony grafik-malarz, a ponadto posiadała doświadczenia w pracy z dziećmi polskimi na Syberii. Do pracy opiniotawczą-recenzyjną zaprosiłem **śp. Krystynę Kowaliszyn**, kierownik działu podręczników początkowego nauczania języka polskiego Państwowych Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych w Warszawie. Stała się ona dla elementarza wręcz wyrocznią, co zapewniało jego wysoki poziom.

Pierwsze prace jako wstępne propozycje i koncepcje powstały już w październiku 1989 roku, które po konsultacjach z metodykami lubelskimi oraz przedstawicielami Ministerstwa Edukacji Narodowej zostały zatwierdzone do realizacji. O dziwo, największe opory, zastrzeżenia, a nawet sprzeciwy wydawania elementarza - jak go wówczas nazywano „peerełowskiego” - miałem ze strony 2-3 członków wówczas 9-osobowego Zarządu Fundacji! Stawiano mi pytania: „Jakim prawem mam wydawać elementarz?”, „Czy stać nas na taki wysiłek?”, „Czy umiemy i potrafimy to wykonać?”, „Czy nie boimy się odpowiedzialności?”, „Oddajmy tę inicjatywę MEN-owi”, itp. Naturalnie, wobec kilkudziesięcioletnich moich doświadczeń drukarsko-edytorskich, 20-letniej samodzielnej pracy w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, licznych wyjazdów warsztatowych do ośrodków nauko-



W archiwum Fundacji znajduje się kilkadziesiąt tysięcy listów z 35 krajów świata, w których stosowane są elementarze oraz inne wydawnictwa fundacyjne. Poniżej zamieszczono kilka fragmentów z tych listów. Warto nadmienić, że nie było ani jednego listu krytykującego elementarz czy pozostałe nasze wydawnictwa.

Szafy nasze są przepełnione podręcznikami dostarczonymi z Mińska, którymi nakazują nam się posługiwać. Jednak elementarze i pozostałe podręczniki, przysłane nam przez pana Józefa Adamskiego z Fundacji im. T. Goniewicza są nam bliskie, dlatego z nich się uczymy. Właśnie te podręczniki oświecają umysły młodzieży, z nich czerpiemy wiedzę o języku, historii i kulturze polskiej, dlatego młodzi mają wreszcie swój cel.

Weronika Kuryło, Lida

Byłem nauczycielem języka polskiego na Syberii w Wierszynie i Irkucku. Wszędzie tam znajdowałem Wasze elementarze i podręczniki, z których uczyłem.

dr inż. Zdzisław Soska
Irkuck

Bardzo nam się podobają Wasze podręczniki, z których się uczymy.

Uczniowie Polskiej Szkoły
Średniej w Grodnie

wych i wydawniczych w Zachodniej Europie, opracowaniu techniczno-graficznym i wydaniu kilkuset pozycji innych autorów – w tym i podręczników dla Polonii – miałem odwagę i prawo bronić swych decyzji. Wiadomo, że ani MEN, ani żadna inna instytucja w Polsce nie mogła spełnić oczekiwań młodych Polaków poza granicami RP w tym zakresie, ani też wykonać „od ręki” tak poważnego przedsięwzięcia! Dopiero teraz po blisko 20 latach nasze władze oświatowe rozpisują konkurs na napisanie nowego elementarza dla dzieci polskich poza granicami RP..., co wiadomo, że jeśli zostanie nawet osiągnięty rezultat, to na pewno nie w jednym roku. Ale powróćmy do naszego elementarza.

Postanowiłem, że elementarz musi się ukazać w wakacje 1990 roku, aby od 1 września znalazł się już w szkołach na Wschodzie. Prace „ruszyły pełną parą” w styczniu 1990 r. Autorka nadała tytuł elementarzowi „**Czytam po polsku**”. Równoległe z elementarzem dr H. Metera przygotowywała dwa zeszyty ćwiczeń „Piszę po polsku”, „Poradnik metodyczny dla nauczyciela” oraz 16 zestawów luźnych ćwiczeń. Prace autorsko-edytorskie musiały być dokonywane szybko, co w końcu zmusiło 3-osobowy zespół niemal do całkowitej izolacji, a nawet do wysiłku nocnego. Nie dawaliśmy sobie jakiegokolwiek wypoczynku, posiłki były donoszone, konsultacje trwały niemal w biegu. Wreszcie, gdy ukazały się pierwsze oryginalne projekty stron elementarza, pędziłem z nimi do Warszawy, aby tam dokonać rozbicia barwnego do dalszej produkcji form drukarskich, które były przejmowane „16-kami”, czyli po 16 stron, przez Lubelskie Zakłady Graficzne w technice offsetowej, gdzie w latach 60-tych, do roku 1974 byłem szefem produkcji zakładów. Ten fakt znacznie ułatwiał nam współpracę, która potem trwała kilkanaście lat bez najmniejszych strat czy potknięć! Szybkie tempo prac nad elementarzem trwało poza drukarnią do końca maja 1990 roku, aby druk i oprawę introligatorską zakończyć przed nowym rokiem szkolnym. Nakład I. wydania elementarza **wyniósł 50.000 kompletów, czyli 160,0 tysięcy egzemplarzy!** Niestety, I. wydanie było oprawiane systemem bezszwowo-blokowym, co utrudniało jego właściwe wykorzystanie, lecz w kolejnych dwóch wydaniach i dodrukach, a także w innych wydawnictwach zastosowaliśmy system szycia niemi.

Równoległe z elementarzem przygotowałem do druku „Kalendarz Polski” na 1991 r. w ilości 15,0 tys. sztuk, naklejki godeł Polski w ilości 200,0 tys. szt., specjalne opakowania,

w które potem pakowaliśmy po 25 kompletów, opaski, nadruki itd. Do tego wszystkiego wykonaliśmy 20.000 sztuk kaset magnetofonowych w specjalnych opakowaniach z nagraniem tekstów elementarza w wykonaniu aktorów Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

Istotnym warunkiem powodzenia tej wręcz karkołomnej akcji było posiadanie odpowiednich funduszy. Mieliliśmy ogromne szczęście trafienia naszej działalności w okresie transformacji ekonomicznej w Polsce, co oznaczało wykorzystanie przez nas koniunktury obowiązujących cen, które dopiero w kolejnych latach dochodziły do poziomu normalnego. Co to oznaczało dla edytorstwa elementarza? Ceny 1 tony papieru w Polsce w 1989 r. wynosiły od 250-300 zł, zaś od 1 stycznia 1990 roku wzrosły niemal 5-6 razy w górę! W trybie nadzwyczajnych działań uzyskałem fundusze od darczyńców z Polski i z Polonii, w tym największą dotację od Fundacji im. A. Mickiewicza z Toronto, dzięki czemu zakupiłem w grudniu 1989 r. wręcz za pół darmo 35 ton papieru! Naturalnie, były protesty i żądania tej Fundacji o zwrot funduszy, które wg donatorów miały służyć zakupieniu podręczników dla Polaków na Wschodzie... Do protestów włączyły się nawet 2 panie z Białorusi... A ten fakt otworzył przed nami możliwość wydrukowania całego nakładu elementarza jak również pozwolił planować kolejne podręczniki i pozycje dla oświaty polskiej za Bugiem.

Obok wskazanych wyżej osób zasłużonych uczestniczyło w edycji elementarza setki innych osób: nauczycieli, studentów, uczniów szkół lubelskich, aż kończąc na drukarzach, którzy pracowali bez przerwy z pełnym zapalem i poświęceniem. Znamionnym przykładem skutecznej pomocy jest moja Małżonka, Krystyna, która – mimo uciążliwej choroby – oddała swoje siły i zapal w realizacji nie tylko elementarza, lecz wszystkich innych i licznych zadań statutowych Fundacji. Nie sposób wspomnieć Jej odważnego zreferowania sytuacji fundacyjnej wobec licznego gremium przedstawicieli najwyższych władz polskich w Urzędzie Rady Ministrów w dniu 20 lutego 1991 r., gdy uległem ciężkiemu wypadkowi drogowemu k/Elbląga. W wyniku tej „interwencji” Fundacja uzyskała z MEN w latach 1991-95 ponad 420,0 tys. dofinansowania na produkcję podręczników, które przekazywaliśmy nieodpłatnie dla organizacji i szkół polskich na Wschodzie. I to były dobre czasy Fundacji!

Wreszcie **nadszedł moment transportu elementarza**. Wynajętym z KUL 25-tonowym samochodem ciężarowym oraz kilkoma

innymi transportami ruszyliśmy do Grodna, aby stamtąd dalej rozwozić nakład elementarza. Służba graniczna ówczesnego ZSRR była zszokowana! Prezes Tadeusz Gawin dwoił się i troił między Grodnem a Bruzgami/Kuźnicą Białostocką. Moim towarzyszom niedoli wbiłem do głowy, aby ten moment zapamiętali na całe życie, gdyż wprowadzenie na teren komunistyczny takiej ilości „propagandy” – jak oni to nazywali – jest stokroć ważniejszym od wprowadzania czołgów. Na drugi dzień (ok. **15 sierpnia 1990 r.**) pozwolono nam warunkowo wjechać do Grodna, gdzie od nowa rozpoczął się proces kontrolny. Ustały wszystkie argumenty, wreszcie na 3-ci dzień udałem się do szefa służb celnych, który biegle rozmawiał po polsku i był pochodzenia polskiego, a który ku memu zdumieniu „od ręki” podpisał zezwolenie na bezcłowy wóz do ZSRR tychże podręczników! I to była moja największa radość...

Z Grodna objechaliśmy trasę na Wilno, Mińsk, Baranowicze i Brześć. Ogółem z kilku wydań skierowałem na Białoruś w latach 1990-98 – 30,3 tys. k-tów elementarzy, na Litwę – 24,9 tys., na Ukrainę – 24,6 tys., do Rosji i Kazachstanu – 11,1 tys. oraz do innych krajów na Wschodzie – ponad 8,0 tys. k-tów. Z Polonii zachodniej na razie brak było zamówień, ponieważ w zapędzeniu dałem w elementarzu dedykację „Dla Dzieci Polskich na Wschodzie”. Od roku 1993 zaczęły stamtąd napływać do Fundacji liczne zamówienia nie tylko na ten elementarz, lecz i na pozostałe podręczniki i wydawnictwa fundacyjne! Nie dosyć tego – musieliśmy spełniać dodatkowe wymagania odbiorców, jak np. Polaków w Czechach, którzy wymagali w ćwiczeniach/zeszytach pisowni kaligraficznej! Na skutek jednak wysokich kosztów transportowych (np. za 9,7 tys. k-tów dostarczonych do USA musieliśmy zapłacić ponad połowę ich wartości), społeczne szkoły polonijne kopiowały i nadal kopią te wydawnictwa u siebie z ogromnym pożytkiem dla polskiej diatwy szkolnej.

Jak odbierano ten dar? Tutaj żadne słowa nie oddadzą słów wdzięczności naszych Rodaków na Wschodzie! **Pierwsza promocja elementarza** została dokonana w dniu 1 grudnia 1990 roku w Brześciu podczas inauguracji Polskiego Uniwersytetu Ludowego. Prezentacji dokonały dzieci Polskiej Szkoły Społecznej przy Klubie Polskim w Brześciu pod kierownictwem Aliny Jaroszewicz. Cieszyłem się razem z nimi, gdyż kolejne marzenie mego życia się spełniło. Tylko w okresie lat 1990-2000 do naszej Fundacji wpłynęło

ponad 18,0 tysięcy listów z podziękowaniami i opiniami wręcz gloryfikującymi nasz elementarz, a potem – kolejne liczne wydawnictwa fundacyjne. A przecież obok nich posiadamy tysiące ankiet, zamówień, wypowiedzi nadzwyczaj pozytywnych i w pełni akceptujących elementarza oraz pozostałe podręczniki i wydawnictwa, których ogólne ilości łącznie przekroczyły 3,1 miliona egzemplarzy, co w ogólnej masie stanowi ponad 1,1 miliona kg!; a warto tutaj dodać informacje o zrealizowanych przez nas koloniach dla 3 tys. dzieci, licznych koncertach, wystawach, sesjach, konferencjach, kursach, udzielanej pomocy filantropijnej, aż kończąc na obsadzaniu tysiącami drzew i krzewów ozdobnych szkół polskich na Wschodzie. Tymczasem dynamiczny zakres prac fundacyjnych wywołały u licznych oponentów obawy o realizację swoich partykularnych celów. Elementarz czy inne wydawnictwa na każdym Forum Oświaty Polonijnej, konferencjach, sesjach, publikacjach były najczęściej przemilczane, zaś w kuluarach – niesłusznie i krzywdząco były obmawiane, mimo moich próśb o uwagi na ich temat. Nie było mowy o jakimkolwiek promowaniu tych wydawnictw! W rezultacie takich postaw najbardziej cierpi oświata polska na Wschodzie, gdzie nagminnie istnieje brak zeszytów i podręczników, szczególnie tam, gdzie ostatnio zawitałem: na Ukrainie, Litwie, Łotwie, czy zetknąłem się z powszechnym wołaniem o te podręczniki i pomoce, a także od kilkuset nauczycieli ze Wschodu, przebywających na kursach wakacyjnych 2008 r. w Lublinie. Prośby te systematycznie były przedkładane naszym odnośnym władzom oświatowym. Odpowiedzialne są konkretne osoby, a nie wyimaginowana władza, od której od ponad 6 lat nasza Fundacja nie otrzymuje jakichkolwiek dotacji! Nic więc dziwnego, że oświata polska na Wschodzie znacznie podupadła.

A więc – o co chodzi? Czy tak już zawsze w Polsce musi być?

Wydawnictwa fundacyjne były skutecznie uzupełniane i dowartościowane kwartalnikiem „Rota”, który ustanowiłem równolegle z elementarzem i wydawałem w masowym nakładzie kolportując do 52 krajów świata! A to wszystko od 2003 r. leżało w gruzach – bynajmniej nie z naszej przyczyny! Jest to jednak odrębny, choć bardzo bolesny temat...

Józef Adamski,
Lublin

To, co czynicie dla Polaków na Wschodzie, jest aktem, który owocuje już dzisiaj, a w przyszłości wyda plon oczekiwany.

Tomasz Klimański
Konsul Generalny RP w Brześciu

Mając elementarz, ćwiczenia i poradniki metodyczne można uczyć poprawnie, wzbogacać wiedzę swoją i uczniów. U mnie w domu te wszystkie podręczniki wydane przez Fundację stoją na honorowym miejscu. Oby tych podręczników było więcej i do następnych klas.

Władysława Ciesielska
Dyneburg, Łotwa

Pragnę wyrazić serdeczne podziękowanie Fundacji za otrzymane elementarze i inne pomoce umożliwiające naukę języka polskiego Polakom żyjącym w Jakucku.

Ks. Witold Bajor
Jakuck

My, polska rodzina osiadła w południowej Portugalii, dziękujemy za elementarze i podręczniki, gramatykę, słowniki, śpiewniki – wszystko takie wspaniałe!

Małgorzata i Olivier z dziećmi
Beja, Portugalia

Wasze wydawnictwa i Wy jesteście dla nas źródłem inspiracji w naszej pracy wychowawczej i kształcenia polskiego dziecka poza granicami Polski.

Łucja Uszakowa
Czerniowce, Ukraina

Korespondencja z Łotwy

Szanowna Pani Redaktor!

Dzięki Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza otrzymuję wspa-
niały kwartalnik „Echa Polesia” z bogatą i róż-
norodną treścią, o wysokim poziomie edytorskim, piękną
szatą graficzną. Jako Polka, mieszkająca poza Krajem już
w czwartym pokoleniu, dla mnie bezcennymi są mate-
riały, dotyczące przeszłości i teraźniejszości Polaków na
Wschodzie, o postaciach historycznych, w tym spotyka-
nych w życiu wielkich Polaków jak o Papieżu Janie Pawle
II, Ryszardzie Kapuścińskim, ks. Zdzisławie Peszkow-
skim. Wzruszające są wspomnienia zesłańców, artykuły
ks. prof. Romana Dzwonkowskiego, opisujące życiorysy
tragicznych losów duchowieństwa, represjonowanego w
latach 1939-1988. Z zainteresowaniem czytam zapomnia-
ne fakty z historii, o obiektach zabytkowych, o kościołach
katolickich, materiały z działu „Lektura dla Ciebie”, ko-
piuję piękne Litanie nadesłane ze starych modlitewników.
Tym wszystkim dzielę się z Polakami na Łotwie.

Dzięki „Echom” Polesie stało mi się jeszcze bliższe,
gdzie w 1926 roku na wezwanie pierwszego biskupa die-
cezji pińskiej ks. Zygmunta Łozińskiego, z Łotwy (Ka-
tolickiego Męskiego Gimnazjum w Agłonie), przybywa
i pracuje w Pińsku, a od 1933 r. – w Drohiczynie ks. Jan
Wasilewski (1885-1909-1948), który jest chrestnym oj-
cem mego śp. ojca Jana Stankiewicza (1911-1993) i moim
wujkiem. Po skończeniu studiów w Seminarium (z odzna-
czeniem) i Akademii Duchownej w Petersburgu, gdzie
otrzymał stopień magistra teologii i święcenia kapłańskie,
pracował w Petersburgu, na Łotwie (Ałszwanga, Agłona),
w Polsce (Pińsk, Drohiczyn) jako duchowny, pedagog,
naukowiec, publicysta, autor kilku wydań, w tym książ-
ki „W szponach antychrysta”. W gronie krewnych do dziś
jest zachowana sylwetka ks. Jana, wspomnienia z jego ży-
cia, zwyczajów, kilku ofiarowanych zdjęć, album księdza
(większa część fotografii oraz wszystkie listy z Syberii,
które znajdują się w Drohiczynie w kościele prokatedral-
nym, kurii diecezjalnej, gdzie dopiero po 42 latach zostały
przywiezione z Syberii szczątki ks. Jana i tam pochowa-
ne). Ten świadek przewrotu bolszewickiego, stał się ofiarą
nowych rządów (kilkakrotne aresztowania i uwięzienia w
Petersburgu, Moskwie, Mińsku), ponieważ zawsze i od-
ważnie bronił Kościoła, wartości wiary chrześcijańskiej,
występował przeciwko terrorowi komunistycznemu. M.in.
ks. Jan w swojej książce „W szponach antychrysta” pisze,
że w swoim rodzie miał trzech męczenników za wiarę.
Jego siostrzenica Eugenia wspominała, jak ks. Jan brał do
siebie, wychowywał i uczył dużo sierot, lecz w czasach

niebezpiecznych odsyłał ich do domu swoich rodziców.
Niektórzy z nich potem zostali księżmi (w tym i ks. kan.
Michał Badowski, autor książki „Wspomnienia” o ks. Ja-
nie, pracował w Rudkach, Polska).

Badając życie ks. Jana, w Państwowym Historycznym
Archiwum Łotwy odnalazłam kilka dokumentów z czasów
pracy na Łotwie: życiorys pisany własnoręcznie po łacinie
z 1924 r. z Dagdy, akty przedślubnych zaświadczeń podpi-
sane przez ks. Jana w Ałszwangskej księżce parafialnej,
protokoły posiedzeń z jego wystąpieniami, kartki egzami-
nów z łaciny, której on uczył w Agłonie, a przede wszyst-
kim sekretne dokumenty władz łotewskich i polskich z wła-
dzami radzieckimi z 1923 r. o zabiegach wymiany ks. Jana
jako zakładnika na rosyjskich więźniów politycznych. Przez
lata ta zacna osoba, pełna radości i pełnego oddania siebie
dla Boga i człowieka została deportowana do Kazaczyńska
nad Jenisejem w Krasnojarskim Kraju RFSRR. Zmarł tam
po niecałym roku. Jak pisze ks. dr Eugeniusz Borowski
z Drohiczyzna n/Bugiem (Polska) – poniewierka ks. Jana
Wasilewskiego na zesłaniu w „Nieludzkiej Ziemi” i śmierć
z zimna i głodu włącza go w grono męczeńskich kapłanów.
Ks. Jan Wasilewski był współpracownikiem bp Zygmunta
Łozińskiego, abpa Jana Cieplaka, abpa Edwarda Roppa,
bpa Kazimierza Bukraby, bpa Karola Niemira, ks. prałatów
Konstantego Budkiewicza i ks. A. Maleckiego, ks. Jerzego
Matulewiczowa (późniejszy biskup wileński), przyjaciela
z lat nauki w Wilnie, ks. Adama Lisowskiego, ks. Witolda
Iwickiego i wielu, wielu innych znanych duchownych osób,
z którymi łączyła wspólna kilkunastoletnia praca, a których
tragiczne losy opisywały także „Echa Polesia”.

Mówiąc słowami Papieża Jana Pawła II „...nie odcina-
cie tego korzenia, z którego wyrastacie” oraz będąc świa-
doma, że o niektórych księżach, którzy walczyli za wiarę
kosztem swego całego życia i są wprawdziwie zasłużonymi,
ze zmianą pokoleń ślady o nich zanikają, **przygotowuję
monografię do druku o ks. Janie Wasilewskim w języku
polskim i łotewskim. Byłabym bardzo wdzięczna, jeśli-
by ktoś z Czytelników „Echa” mający jakąś informację
o ks. Janie pomógł mi w ich uzyskaniu.**

Dziękuję

Pani Redaktor, zespołowi redakcyjnemu, „Fundacji Po-
moc Polakom na Wschodzie” oraz Fundacji im. T. Gonie-
wicza za wielki trud, życzę Wam wytrwania i sukcesów,
aby kwartalnik nadal się ukazywał!

Z prawdziwym szacunkiem,

Jadwiga Radzynia,
Jełgawa (Łotwa)

MOJA WŁASNA SYBERIADA

Mieszkałam w Baranowiczach w województwie Nowogródzkim, przez które ciągnęły w kierunku zachodnim na Brześć masy wojska bolszewickiego. Od pierwszych dni wejścia „przyjaciół” ze Wschodu zaczęły się aresztowania i rabunek. Zapełniły się więzienia i zsyłki ludności polskiej historycznym utartym szlakiem na Sybir i w inne miejsca kaźni. Około dwóch milionów żywołu polskiego w stosunkowo krótkim czasie wywieźli na Wschód, zapełniając więzienia, łagry, kołchozy, w międzyczasie mordując strzałem w tył głowy kwiat Narodu Polskiego, którzy jako jeńcy wojenni wpadli w ręce siepaczy Stalina.



Pierwsze większe transporty odeszły 10 lutego 1940 roku. Następna masowa wywózka ludności polskiej nastąpiła 13 kwietnia 1940 roku. W tych transportach do północnego Kazachstanu w bydlęcych wagonach, po 50 osób znalazłem się i ja. O warunkach tamtej podróży dopiero po 45 latach rządzenia służalców Moskwy, ukazując się wspomnienia tamtych czasów. Po roku niewolniczej pracy w kołchozie wywieźli nas do Atbasaru

w Akmałińskiej „abłasti” przy budowie „depo” parowozowego. Wyglądało, że tam przy głodowych porcjach, a ciężkiej pracy, dokończymy żywota. Jednak nie zbadane są wyroki Boskie. 22 czerwca 1941 roku współnicy rabunku Europy za łby się pobrali. Dla nas to była jedyna nadzieja i ratunek, że jednak nastąpi odmiana losu. Korzystając ze słabości bolszewików, dochodzi do umowy Sikorski-Majski i utworzenia z niedobitków Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Właśnie wtenczas z grupą 30 takich jak ja w wieku 17 do 20 lat z Atbasaru wyjechaliśmy na południe do tworzącej się tam Armii Polskiej. Co to była za podróż, te dantejskie sceny mogą być opowiadaniem dla grzesznych dzieci. Wspomnę tylko o odcinku do Nowosybirsk, o którym wspomina Jerzy Majcherczyk. Tam w Nowosybirsku zepsuła się lokomotywa, jak większość sprzętu w Związku Sowieckim. Czekaliśmy na drugą lokomotywę trzy dni, rozlokowując się na ogromnym dworcu Nowosybirsk, gdzie nie było ani jednej ławeczki ani innego sprzętu. Rozłożyliśmy się na posadzce dworca, układając się głowami do środka z workami sucharów pod głowę, z tym że zawsze ktoś z nas czuwał, aby nie uwolniono nas od życiodajnych sucharów, bo droga do celu naszej podróży daleka. Nie pomogło czuwanie, bo jednemu z nas sowieccy specjaliści im znanym tylko sposobem zabrali worek z sucharami. Miał szczęście, że byliśmy w grupie, więc w dalszej podróży nie pozwoliliśmy mu umrzeć z głodu, co było w Sowietach naturalnym zjawiskiem.

Na dworcu czy w jego okolicy nie można było nic kupić do zjedzenia. Raz tylko pokazała się w sprzedaży oranżada na dworcu. Ustawiła się długa kolejka do gaszenia pragnienia. Trzeba było być cierpliwym, był tylko jeden metalowy kubek na silnym łańcuchu, z którego wszyscy pili. Tam zapoznaliśmy się z największym wynalazkiem bolszewickiego

systemu: „woszobojka” oraz „kipieilnaja”. Ci, którzy przeszli bolszewickie piekło, wiedzą, co te słowa znaczą, a którzy nie wiedzą – lepiej niech to dla nich zostanie tajemnicą.

Po około miesiącu podróży dojechalśmy do miejscowości Ługawaja, gdzie organizowała się 10 dywizja piechoty. Dzięki gen. Andersowi, który sam siedział na Łubiance za winy niepopołnione, wyjechaliśmy z tej nieludzkiej ziemi, aby znaleźć się na środkowym Wschodzie w II. Polskim Korpusie w 3-ej Dywizji Strzelców Karpackich i przejść szczęśliwie cały szlak bojowy Korpusu, nigdy nie przestając tęsknić do Kraju rodzinnego i miejsca szczęśliwego dzieciństwa.

Stało się inaczej, moźni tego świata, w tym nasi sprzymierzeńcy zadecydowali inaczej, więc pozostaliśmy na Zachodzie jako protest, że Polsce stała się krzywda i w odmiennych warunkach walka o Polskę nieskończona.

W 1946 roku wyjechałem do Kanady pierwszym transportem z Włoch i do dzisiaj zamieszkuję na „Dzikim Zachodzie” w Albercie w Edmonton.

Władysław Szwender

Celowo ukazujemy sylwetkę Pana Władysława Szwendera, który od 20 lat systematycznie i hojnie wspiera nasze prace zjednując dla tej idei wielu swoich Przyjaciół zamieszkałych w Edmonton.

(Red.)

Przesyłam Państwu wiersz nieżyjącego już „Barda Poleskiego” śp. Franciszka Lachockiego, ostatnio zamieszkałego w USA. Przed wojną był urzędnikiem w inspektoracie szkolnym w Prużanie. Wydał kilka książek ze swymi wierszami, które przesłał mojej mamie z dedykacjami. (...). Pan Jan Wójcik uporządkował te książki i umieścił w bibliotece w dziale polskim.

*Janina Pisanko-Świeżewska,
Bydgoszcz*

Franciszek Lachocki

Co nam powiedzą?

Co nam powiedzą samotne mogiły,
które za wschodnim parkanem zostały,
nagrobki na nich pewnie skruszały
i łyż na tych mogiłach też wyparowały?

Co nam powiedzą owe lasy podszyte,
do których się chodziło nieraz na wycieczkę –
i te łąki poleskie kwiatami pokryte
i ścieżki, po których biegano nad rzeczkę?

Co nam powiedzą zamknięte kościoły
i lud żyjący bez wzniosłości ducha
i te polskie dzieci, których polskiej szkoły
do dziś pozbawiła wojenna zawierucha?

Co nam powiedzą bracia Białorusi,
z którymi dzieliliśmy przez wieki kęs chleba?
A gdzie na świecie takie lniane obrusy
i gdzie jest taki drugi jasny błękit nieba?

MOJE SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO W TELECHANACH

Serdeczne podziękowanie Redakcji od Ludmiły Jakobson. Jestem bardzo wdzięczna za nr 4 kwartalnika. Czytając, byłam bardzo wzruszona jakże to wszystko bliskie. Mam 81 lat. Skończyłam 5 klas Powołkowej Szkoły w Telechanach. **Moja babcia z domu Baranowska brała udział w powstaniu Styczniowym. Ona opatrywała rany Trauguttowi, była felcerem.**



Baranowska

Barzo dobrze pamiętam tamte do wojenne czasy, jak było wesoło i ładnie w Telechanach. Był Kanał Ogińskiego, kolej państwowa, kościół, młyn zbudowany w 1937 r., tartak, Pałac Ogińskiego, w którym żyły sowy i nietoperze. Wiosną biegaliśmy do pałacu po fiołki, tam było ich bardzo dużo w środku pałacu. Była strzelnica, park, gdzie szumiały stare zagraniczne drzewa. Był szkolny park sportowy koło szkoły. W 1939 r. 7 klasa żegnała się ze szkołą, jaka to była wielka uroczystość. Śpiewano piosenkę „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas, za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas...” Jakże to wszystko było miłe, jak się chciało żyć!

Dom nasz stoi nad rowkiem, jest bardzo stary, ma 130 lat. Nikt w nim już nie mieszka. Kiedyś w dzieciństwie w tym rowku dzieci kąpały się, łapały żaby, pijawki, ryby. Woda była czysta. Sąsiadka Poleszuczka biła praczem płótno, a potem rozścielała je na brzegu. Długi to był płacheć płótna na zielonej trawie. Brzegi były wysłane darnią, kwitły kwiaty, rosło dużo niezapominajek. Rwaliśmy je, a kiedy przyjeżdżał pociąg z Janowa, Iwacewicz, biegliśmy na stację i wręczaliśmy bukieciki panom i paniom.

Za kolejną były łąki, chodziły bociany. Podczas lekcji przyrody nasza ukochana nauczycielka Kodebówna-Gwiazdowska zaprowadzała nas na te łąki i prowadziła lekcje o pięknej poleskiej przyrodzie. Biegłam potem do ciotki Pigulewskiej, która prowadziła stołówkę. Poma-galam w kuchni. Kiedy płynęli Kanałem Ogińskiego

turyści, biegłam do Zarządu Dróg Wodnych, gdzie był telefon, aby się dowiedzieć, czy prędko przybędą. Wtedy gotowali kartofle, podawali z kwaśnym mlekiem, jajecznicą i wędliną. Naprzeciwko domu ciotki była apteka pana Bucheńskiego, to był wielki patriota. Kiedy w radiu ogłoszono, że tu przyjdzie „czerwinka”, on popełnił samobójstwo. Na święta 3 Maja i 11 Listopada on i nasz nauczyciel geografii i historii Gwiazdowski w Domu Ludowym występowali na trybunie jako patrioci swojej ojczyzny. Potem występował chór, dzieci śpiewały, tańczyły w poleskich strojach, które pożyczaly od wiejskich dziewcząt. Po uroczystości w Domu Ludowym szli nad Kanał Ogińskiego. Tam były wyścigi w biegu, pływaniu, jeździe na rowerach, na koniach. Na strzelnicy odbywały się zawody strzeleckie. Impreza trwała do wieczora. Na święto morza młodzież bawiła się. Płynęli na kajakach, rzucali wianeczki ze świeczkami. Pośrodku jeziora były dwie połączone ze sobą barki, które tworzyły pomost dla tańców. Grała orkiestra. Młodzież podpływała na kajakach. Wszystko było oświetlone i przystrojone kwiatami. Na brzegu stały zrobione z gałęzi jałowca stragany, gdzie Żydzi sprzedawali rozmaitości. Nie sposób opisać tej piękności! Dzieci mogły uczestniczyć w zabawie do 23.

Wystawa nad Piłą

Wzdłuż rzeki stały klatki ze zwierzętami. To były zwierzęta i ptaki z poleskich lasów i bagien. Dalej szły rzędy rolników w ubranych w poleskie stroje, ze swoimi zwierzętami. Grała orkiestra, wszyscy byli ubrani w poleskie stroje. Dziewczęta z Telechan pożyczaly na wsi ubiory i łapcie i tak jechały do Pińska autobusem mego wujka Pigulewskiego. Na wystawie tańczono, śpiewano piosenki poleskie. Była „beczka śmiechu i śmierci”. Cały sprzedawany towar był zrobiony ręcznie przez Poleszuczków. Przyjeżdżałam do krewnych, którzy mieszkali na ulicy Pięknej w ślicznym domku, gdzie wszędzie rosły kwiaty. Dwóch wujów i dwie ciotki zajęci byli wystawą. Wujowie malowali, a ciotki haftowały stroje z płótna. To była rodzina Kondraciuków, która była zakochana w Polesiu. Syn wuja Andrzej mieszka w Łodzi. To był piękny chłopczyk, miał wtedy 3-4 latka, ja się z nim bawiłam. Andrzejku, czy ty mnie pamiętasz? Jak szliśmy do sklepu, a z nami pies ciotki Nadzi „Tumry”? Jak ciocia kupiła na wystawie dwa maleńkie wilczurki i ja pilnowałam, żebyś ty paluszka nie wsadził, a one tak ryczały? A dlaczego ty nie przyjeżdżasz do Pińska? Domek twój jeszcze stoi i ulica nazywa się „Krasiwaja”. W 1940 roku cała rodzina Andrzeja została zesłana na Syberię, do Archangielska. Za co?

Jedziemy wąskotorówką

Cudowny most przez Kanał Ogińskiego. Most jest drewniany, wysoki, pociąg ciężko sapie i gwizdże. Po lewej stronie Łysa Góra i piękny las sosnowy. Niemieckie schrony i grób nieznanego żołnierza. Po prawej stronie pole i Pałac Ogińskiego. Dalej zaczyna się las i wioska Gortol. Po lewej pagórki, pasą się owce i wieś Somino. Kończy się las i zaczynają się bagna. Dużo ptactwa. Pociąg idzie do wsi Rzeczek, tam jest tartak, zabiera deski i jedzie z powrotem do Telechan na Iwacewicz i Janowo. Tak było do wojny 1939 r. Lasy ochraniały gajowi, to był biedny poleski lud. W 1940 r. ich wszystkich wywieziono na Syberię, w poleskich łapciach. Za co?

Płyniemy statkiem do Szczary

Na północ od Telechan Kanałem Ogińskiego płyniemy statkiem „Sekunda” do rzeki Szczara. Jezioro Wólkowskie, dalej 9 śluz, domek śluzowego, naokoło kwiaty. Śluzowy spotyka nas. Spuszcza wodę ze śluzy, otwierają się wrota i wjeżdżamy do środka, ciemno, statek podnosi się. Następnie otwierają się okna drugich wrot, szumi woda i się podnosimy. Okna się zamykają, wrota się otwierają i wypływamy do kanału. Płyniemy dalej, po obu stronach sosnowe lasy. Wieś Wygonoszcze, dzieci biegają brzegiem. Rzucamy im cukier i cukierki. Dalej – duże Jezioro Wygonoskie. Nasi nauczyciele pędzą nas do kabiny, patrzymy przez okrągłe okienka na duże fale. Dalej – 10 śluza, ogromna betonowa. Stoi śliczny domek i też kwiaty. Po lewej stronie bagna, prowadzi drewniany chodnik do obozu więźniów, pracują na śluzie. Dalej - Szczara.

Przyszły straszne czasy...

A potem przyszły straszne czasy. Pamiętam, jak w naszym domu w przedpokoju na słomie siedziała śliczna mała dziewczynka z dużym psem. Jej rodzina osadników została wywieziona na Syberię, ona wtedy nocowała u sąsiadów. Kiedy przyszła do domu, nikogo nie zastała oprócz psa. Dostała pomieszczenia zmysłów i chodziła po lesie, znalazła ją ciocia. Potem ją zabrali i dalszy jej los jest nieznany. Mówili, że powieźli ją pociągiem, a pies biegł za pociągiem do Iwacewicz, były straszne mrozy. Wieźli w nocy koło naszego domu. Za co?

Marzyliśmy z dziewczętami o szczęśliwym życiu, kiedy nam było po 12 lat. Nasze marzenie nie spełniło się. Przyszli sowieccy okupanci, przyzwyczaić się do tego było ciężko. Nie było chleba, staliśmy w kolejkach po nocach. A co się stało z naszymi nauczycielami? Większość z nich nie wróciła z wakacji. Został tylko pan Pierowski, rozstrzelany później przez Niemców. Nasza pani Kodebówna-Gwiazdowska była w ciąży. Później została wywieziona na Syberię z maleńkimi dziećmi.

Pan Gwiazdowski został aresztowany, jego dalszy los jest nieznany. To były straszne czasy, w domu panował strach, my, dzieci, wszystko to odczuwałyśmy. Za co?

Poleska poetka Helena Jakobson

O nieznannej Poleszuczce, poetce z Telechan wraz z tomikiem wierszy Heleny Jakobson, poświęcony koleżance Trydeńskiej, która została zesłana w 1944 r. na Syberię – fragment niżej zamieszczony.

Як пахмурны наш лютаўскі дзень
У свінцовай імгле апрануты
Як няўдалае долі жуд-цень
Як душы падарванай пакуты
Шлю табе прывітанне здалёк
Дзе нас мкненні юнацтва злучалі
Маладосці пытливае зрок
На шуканне шляхоў кіравалі
А цяпер у разгублены рой
Лётак, думак здарэнні варваліся
Затапілі жаданні смутой
Аб юнацтве ўспаміны засталіся

Dwa wiersze są umieszczone w internecie *Antologia poezji rosyjskiej w Polsce 1917-1945* wyd. II machola, 2002; best witr. 1024x768 p x 16 bit. Helena Jakobson Telechany.

Helena Jakobson urodzona we wsi Obrowo woj. Brzeskie w majątku Litowskiego obywatela „Grigalinus”. Jej ojciec był rządcą. Przed pierwszą wojną światową wyjechali na Ukrainę. Tam w 1920 r. zostali rozstrzelani rodzice. Cała rodzina wróciła na Polesie do Telechan, gdzie oni mieli swój dom, w którym mieszkała i zmarła poetka. Ona pisała wiersze w języku rosyjskim i białoruskim. Jej wiersze zostały ogłoszone w 1930 r. za polskich czasów. Ona pracowała jako nauczycielka matematyki. W 1946 r. została zwolniona, nie miała dowierzenia władzy. Wiersze, które wysyłała, wracały z powrotem. Pisała dla siebie. Ja mam tylko cztery jej wiersze. W tym domu, gdzie ona mieszkała i ja się urodziłam, zbierała się poleska młodzież, bardzo ładnie śpiewała i grała na różnych instrumentach. Występowali w Domu Ludowym. Do cioci Heleny przychodziły dzieci, ona je uczyła. Przygotowywała je do gimnazjum. W czasie wojny dostawała listy z frontu od żołnierzy, młodzież bardzo ją kochała.

Jeszcze raz dziękuję za nr 3 kwartalnika „Echa Polesia”. Ciężko jest mi pisać, źle widzę, jestem ciężko chora, a pisać się chce. Nie pisałam 60 lat, popełniam dużo błędów, proszę mi je wybaczyć. Obecnie mieszkam w Brześciu u córki.

Ludmiła Jakobson-Żewłakowa,
Brześć

Szanowna Redakcja „Echa Polesia”!

Zbliża się 210 rocznica urodzin Adama Mickiewicza, wielkiego poety Polski i Białorusi. Szczycę się tym, że jestem rodakiem Adama Mickiewicza. Moi śp. mama Józefa i jej siostra Anna z domu Jankowskich urodziły się w Litarowczyźnie około Woronicy niedaleko od Tuhanowicz, gdzie poeta poznał Marylę Wereszczakównę i przeżył romantyczną miłość.

Moja ciocia Ania była gorącą patriotką swej Ojczyzny, bardzo kochała Kraj rodzinny, tak jak jego kochał i tęsknił na wygnaniu A. Mickiewicz. Ciocia również kochała i ceniła twórczość poety i wszystko co z nim związane.

Mam prośbę o opublikowanie w „Echach” wspomnienia mojej cioci o Tuhanowiczach z roku 1996.

Tadeusz Jasiewicz,
Pińsk, 12.08.08.

TUHANOWICZE, JAKIE PAMIĘTAM

To był przepiękny park, którym opiekowało się Państwo. Przed wojną jako dzieci szkolne, chodziliśmy na wycieczki. Nasz nauczyciel, pan Stanisław Kowalczyk, nam wszystko objaśniał i pokazywał, gdzie stał dom Maryli, zachowały się jeszcze schodki, gdzie stała murowanka. Gdzie rosła brzoza posadzona ręką poety. A nam chciało się pogrzebać rękami w tym próchnie, co z niej zostało. W altance i wkoło niej był zachowany porządek. Tam właśnie był napisany wiersz „Powrót taty”. W niedzielę i święta schodziła się młodzież z okolicznych wsi. Grał tam zawsze jakiś harmonik. Bo w tamtych czasach nie brakowało po wsiach harmonistów-samouków. I pod altaną tańczono. Były tam dróżki i ławki, wszystko było zrobione z gustem. Pan leśniczy, Waluś, co sobota naznaczał 2 dziewczyny żeby robiły porządek. A tej alei, co teraz jest, to nie było. Zasadzona ona została w latach 60 przez bolszewików. Na północ tego parku były groby ocementowane, nie pamiętam czy były tam napisy. U wejścia do parku były sadzawki. Kwitły tam bzy kilku gatunków i jaśminy. W okresie letnim kursował autobus Nowogródek-Baranowicze, przez Tuhanowicze. Przyjeżdżały wycieczki, głównie studenci. Widziałam to na własne oczy, bo chodziłam do siostry do Połoneczki. Na wschód od parku płynie rzeka wpadająca do Niemna. Nazywa się Serwecz. Na południe niedaleko wsi Karczowa w lesie jest kamień filaretów. Połowa tego kamienia poszła na pomnik śp. Józefie Tuhanowskiej, która pochowana jest na cmentarzu w Woronicy. I która ofiarowała swoje rodzinne Tuhanowicze Państwu.

Były też i budynki gospodarcze. Obora i chlew, pokazywano nam dzieciom jak tam było urządzono nowocześnie. Dziwiliśmy się, że świnia maciora była taka czysta i prosiaczki przy niej też. Tak samo było i w oborze. A gdy przyszedł 17 września 1939 r. wszystko rozgrabiono. A park zdewastowano. Drzewa, które nadawały uroku, poszły pod siekiere. Na zachód była droga brukowana aż do lasu i posadzone po bokach drzewka. Dziś już i śladu nie ma od tej drogi.

Przy drodze stał stary dąb. Żeby go opasać, nas kilkoro musiało brać się za ręce. A droga prowadziła do folwarku, tzw. Nowy Świat. Tam mieszkał leśniczy Waluś. A w drugim rodzina Czerniewskich. Ziemię, która przylegała do lasu, zasadzono maleńkimi sosenkami. Dziewczeta z okolicznych wsi musiały sierpem ścinać chwasty, żeby nie przeszkadzały rosnać sosenkom. A jak wracały z pracy, to śpiewały „Liacieli husi z dalekiego kraju, pamucili wodu na sinim Dunaju”.

Niedaleko drogi, w lesie, jest tzw. cmentarz niemiecki. Teraz to wszystko pokrył las. Nie ma mogił, krzyży, tabliczek. Tylko można to miejsce odnaleźć po barwinku, on tam jeszcze rośnie. A cmentarz ten z I wojny światowej. Nie wiem czy to moje nieudolne pisanie będzie miało jakiś sens. Bo nigdy nie próbowałam pisać. Ale teraz, gdy zaświtała swoboda, i że tyłu Polaków, którzy czują tak samo jak ja, to postanowiłam opisać. Bo kocham ten kraj rodzinny. Z Mickiewiczem jestem związana od dziecka. Posiadam wszystkie jego tomy.

Jankowska Anna, 70 lat,
ur. na wsi Litarowszczyzna, parafia Woroncza

Szanowna Pani Alino!

Przede wszystkim chciałbym złożyć serdeczne życzenia z okazji XX-lecia Klubu Polskiego oraz Polskiej Szkoły Społecznej w Brześciu. Jestem wdzięczny Pani i Pani współpracownikom za wieloletnią pracę na rzecz odrodzenia oświaty i kultury polskiej na Białorusi. Życzę zdrowia, siły i wytrwałości. Żeby każdy kolejny dzień niełatwego życia przynosił tylko radość!

Dziękuję bardzo za egzemplarz „Ech”. Przeczytawszy go kilka razy, poczułem jeszcze większą dumę z powodu przynależności do potomków swoich słynnych rodaków z kresów wschodnich A. Mickiewicza, I. Domeyko, za swój kraj rodzinny.

Jeszcze raz dziękuję Wam bardzo. Życzę inspiracji i powodzenia w pracy!

Tadeusz Jasiewicz
Pińsk



Tadeusz Jasiewicz, artysta malarz i krajoznawca z Pińska, przekazuje w darze obraz z wizerunkiem Adama Mickiewicza do Muzeum w Nowogródku

MOJA UTRACONA OJCZYZNA

Bylły mieszkaniec przedwojennej Żółtnicy, Niemiec Peter Funning napisał książkę o swoim życiu i rozstaniu z krainą wczesnego dzieciństwa z Pomorzem, a przede wszystkim z swoją Solnitz - (Żółtnicą). Miał on za ledwie osiem lat, kiedy przyszło mu pośpiesznie opuszczać rodzinną wioskę, ale jak widać dużo zapamiętał i już zdążył pokochać to miejsce, gdzie się urodził i spędził te kilka lat dziecięcych. Pomyślałem sobie, że i ja utraciłem kiedyś moją lokalną ojczyznę, żeby zająć miejsce małego Petera w Żółtnicy. Chociaż nie zamieszkałem w jego pałacu, to jednak Żółtnica była moim miejscem do życia. Aby zamieszkać na Pomorzu, musiałem utracić naszą ojczyznę - Polesie. Nikt nie pytał moich rodziców czy dziadków o to, czy chcą zostać Pomorzanami, tym bardziej mnie nie pytano o to, byłem wtedy małym dzieckiem.

W Poczdamie, Teheranie i Jalcie Wielka Trójka podjęła decyzję, która sprawiła, że zmieniliśmy geograficzną krainę i zamieszkali na Pomorzu. Utraciliśmy swoją poleską ziemię rodzinną i teraz nawet coraz rzadziej pojawiają się one w naszych snach. Ale jednak jakaś tam tęsknota w sercach pozostała. Jedynym tu śladem Polesia, jest chleb o nazwie POLESKI wypiekany w Szczecinku w piekarni „SATURN”. Mamy tu nową ojczyznę tutaj właśnie gdzie od lat mieszkamy, gdzie urodziły się nasze dzieci i wnuki, tu gdzie spoczywają kości naszych najbliższych.

Warto sobie przypomnieć, jakie było to Polesie, jak zapamiętali je ci, którzy tam się urodzili i mieszkali. Wszakże Ojczyzny nie kocha się za to, że piękna czy wielka, ale za to, że jest własna.

POLESIE

Bardzo wyjątkowa była ta nasza poleska kraina, niezwykle i urokliwe było to miejsce na ziemi. Piękne lasy, a były to nieprzebyte knieje obfitujące we wszelką zwierzynę, grzyby i jagody. Niedostępne mokradła i trzęsawiska pełne różnorodnego ptactwa. Modre i czyste rzeki; Jasiołda, Prypeć, Pina i piękne jeziora stanowiły prawdziwy raj dla rybaków i wędkarzy. Błota i rozlewiska zakwitały żółtymi kaczeńcami i białymi liliami. Podmokłe łąki, jakby barwne dywany, na których wznosiły się stogi pachnącego siana. Stogi te ustawiano na drewnianych stojakach wykonanych z żerdzi, a na dole pozostawiano puste miejsce, aby siano nie wchłaniało wilgoci z mokrej ziemi. Bociany były nieodłącznymi towarzyszami ludzi pracujących przy koszeniu i zwózce siana. Bocianie gniazda znajdowały się prawie w każdym gospodarstwie, w niektórych gospodarstwach było nawet kilka gniazd bocianich. Nigdzie nie ma drugiego takiego miejsca na ziemi jak nasze Polesie! Chociaż wilki i komary bywały tam prawdziwym utrapieniem, to przecież mieszkańcy kochali swoją ziemię ojczystą.

Ale prawdziwego Polesia, takiego jak go pamiętają jego dawni mieszkańcy, już nie ma. To miejsce jest już tylko w naszych marzeniach i odległych wspomnieniach...

Nie mogę moim dzieciom i wnukom pokazać Polesia, bo jego już nie ma, choć jest zaznaczone na mapach Europy. Można pojechać na Białoruś, zobaczyć białoruskie Polesie. Jedyna korzyść z takiej wyprawy jest taka, że utwierdzimy się w przekonaniu, iż u nas jest jednak lepiej.

Budne, śmierdzące rzeki, skażone środowisko, osuszone łąki dały mało urodzajną piaszczystą glebę, przeźrębiane lasy, zrujnowane zabytki, zatarte pamiątki po Polsce. Taki jest obraz dzisiejszego białoruskiego Polesia. Liczba mieszkańców przedwojennego Pińska z 36 tysięcy wzrosła teraz do 123 tysięcy. Powstały nowe zakłady pracy, które zatruły środowisko, wybudowano osiedla mieszkaniowe, z których tak bardzo dumna była radziecka władza. Na pewno za mało pieniędzy zainwestowano w ochronę środowiska. Między innymi i dlatego warto przypomnieć tanto Polesie, którego nie ma i nigdy już nie będzie.

POLESIE, KTÓREGO JUŻ NIE MA

Stolicą naszego powiatu, ale i całego regionu było miasto Pińsk. Było to miasto szczególne pod wieloma względami. Pińsk usytuowany jest przy ujściu rzeki Piny do Prypeci. Przed wojną miasto liczyło 36 tysięcy mieszkańców, w tym 73% ludności stanowili Żydzi. To może wydać się dziś dziwne ale tylko 10% mieszkańców Pińska było rdzennymi Polakami, pozostała część to mniejszości narodowe. Miasto o takim składzie ludnościowym musiało być wyjątkowe, było jakby namiastką Jerozolimy. Przecież to mieszkańcy wpływają na charakter miast, a nie jego domy czy ulice. Było to miasto z największą procentową ilością ludności żydowskiej w Europie (podobno żadne inne miasto na świecie nie miało wtedy tak dużego procenta ludności żydowskiej).

W latach 1765-84 ma miejsce budowa Kanału Ogińskiego, który połączył dorzecze Dniepru i Niemna. Stworzono połączenie szlaków rzecznych łącząc Morze Czarne z Bałtykiem, które zbiegały się pod Pińskiem. Utworzono tutaj port śródlądowy o znaczeniu międzynarodowym. W 1919 roku w celu obrony wschodnich granic Rzeczypospolitej utworzono Flotyllę Pińską, która odegrała ważną rolę w czasie wojny polsko-bolszewickiej. W mieście stacjonował 84 Pułk Strzelców Poleskich.

Pińsk był rodzinnym miastem polskiego podróżnika, pisarza, reportera Ryszarda Kapuścińskiego, pisarza Adama Naruszewicza, pierwszego prezydenta Izraela Chaima Weizmanna oraz premier Izraela Goldy Meir, a także Andrzeja Kondratiuka reżysera, scenarzysty i operatora filmowego. Było to miasto zakonnika jezuitę, misjonarza i męczennika św. Andrzeja Boboli. Nazwano go apostołem Pińszczyzny i Polesia. Istnieje w Polsce dziewięć miejscowości pod nazwą Bobolice, nazwanych tak na cześć Andrzeja Boboli. Wśród nich jest znane nam miasto Bobolice.

Ryszard Kapuściński w jednym ze swoich reportaży napisał kiedyś, cytując:

„Gdy tylko wygospodaruję wolną chwilę, z radością wracam do Pińska. Droga to niedaleka, można wyjechać

z Warszawy popołudniem i na wieczór być nad Piną. Krążyć po tych kilku ocalałych uliczkach, odwiedzam cmentarz - tam pochowana jest moja babcia. Idę też zawsze na Suworowa, dawniej Pereca, a jeszcze wcześniej Błotną. Patrzę na dom, gdzie spędziłem najwcześniejsze lata. Patrzę na łagodne wzgórze, na którym leży Pińsk. Dawno, dawno temu, w porze roztopów, widziałem stamtąd morze bez granic, sięgające po horyzont. Dopiero później dowiedziałem się, że Pina wpada do Jasioldy, ta do Prypeci, Prypec do Dniepru, Dniepr płynie zaś do Morza Czarnego. Gdy w Pińsku wsiądzie się na łódkę, można dotrzeć na koniec świata”...

Wojenne losy Pińska były tragiczne i bardzo dramatyczne. We wrześniu 1939 roku, na arenie wojennej w Pińsku pozostała jeszcze Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” w składzie: 50 DP „Brzoza”, 60 DP, dywizja kawalerii „Zaza” i Podlaska Brygada Kawalerii oraz dwudziestu dziewięciu samodzielnych pododdziałów z okrętami Pińskiej Floty Rzecznej. W sumie 18 tys. żołnierzy i oficerów, dowodzonych przez gen. bryg. Franciszka Kleeberga. Zadaniem taktycznym tego zgrupowania była obrona Polesia od Brześcia n/Bugiem do granicy państwowej z ZSRR. Sytuacja bojowa zmieniła się jednak, kiedy Związek Radziecki przyłączył się do wojny razem z Niemcami. W tej sytuacji operacyjnej gen. Kleeberg zdecydował maszerować na odsiecz oblężonej Warszawie. W tym celu SGO „Polesie” przekroczyła Bug i przemieściła się o 130 km na północny-zachód do rejonu: Łuków-Żelechów-Wojcieszków. Zdobyła Kock, a ostatnią bitwę, początkowo zwycięską, z dwoma dywizjami 14 korpusu zmechanizowanego Wehrmachtu stoczyła m.in. o Wolę Gułowską. Przewaga Niemców była jednak ogromna i to zadecydowało o klęsce Polaków.

Najeźdźcy współpracują przy opanowaniu poleskiej ziemi, łączą siły niemiecko-sowieckie, kiedy atakowali Pińsk. 9 września 1939 r. mają miejsce naloty lotnictwa niemieckiego na Pińsk. 20 września 1939 roku Armia Czerwona zajmuje Pińsk. Wcześniej bo 18 września polescy marynarze zatapiają Pińską Flotę. Zaczęły się pierwsze wywózki na Sybir, miejscowi Polacy ciężko przeżyli utratę Ojczyzny. Na Polesie przyszła władza Kraju Rad. Miejscowi Żydzi dobrze służyli nowej radzieckiej władzy. To oni organizowali kołchozy na wioskach, mówili chłopom otwarcie: „My teraz będziemy rządzić, a wy musicie pracować”. Rząd sowiecki większość stanowisk we władzach samorządowych, administracji, służby zdrowia i wszystkich dziedzinach życia powierzył Polakom pochodzenia żydowskiego.

W czerwcu 1941 roku w więzieniach w Pińsku funkcjonariusze NKWD wymordowali ponad stu polskich cywilów, przedstawicieli inteligencji i właścicieli majątków ziemskich. Polakom wiązano ręce drutem kolczastym, usta zatykano kneblem lub zwykłym kamieniem. Potem strzelano w tył głowy. Kulisy tych wydarzeń oraz nazwiska wszystkich ofiar ma ustalić najnowsze śledztwo wszczęte przez Instytut Pamięci Narodowej w Poznaniu.

Mordowano inteligentów, kapłanów, pracowników administracyjnych, leśniczych, a nawet licealistów.

4 lipca 1941 roku Niemcy wyparli Sowieców z Polesia i zajęli Pińsk. Dla Żydów nastał czas tragiczny. W 1942 roku Niemcy utworzyli getto żydowskie w Pińsku. W październiku i listopadzie wymordowano 35-45 tysięcy Żydów. Różne źródła podają różne liczby zamordowanych, ale i tak są to cyfry zatrważające. Mój wujek, który mieszka teraz w Świdwinie, będąc młodym chłopcem pracował jako operator parowej koparki. Niemcy zatrudnili go do kopania dołów, w których grzebano pomordowanych Żydów oraz zasypywania zwłok wapnem i ziemią. Wujek widział te mordy i nie mógł znieść tego potwornego widoku mordowanych niewinnych ludzi. A bywało i tak, że nawet i rannych żywych, wycieńczonych ludzi kazano mu zasypywać. Zostawił on maszynę i uciekł z tego miejsca, ze swojej pracy, bo bał się, że i jego może spotkać podobny los. Nie chciał być współudziałowcem tej potwornej zbrodni. Wujek twierdzi, że już do końca swego życia nie odzyska spokoju po tym, co tam wtedy widział i czego doświadczył.

W styczniu 1943 r. miał miejsce atak porucznika Jana Piwnika „Ponurego” na więzienie Gestapo w Pińsku. Akcja ta kończy się wielkim sukcesem polskich partyzantów, uwolniono wszystkich więźniów, wielu z nich zasililo potem oddział „Ponurego”. Akcja ta miała bardzo dramatyczny przebieg. Dziwne, że nikt dotąd nie nakręcił filmu o tym zdarzeniu, jak wiem w kilku książkach opisano tę brawurową akcję.

Latem 1944 roku Armia Czerwona powtórnie wkracza do Pińska. Następują przesiedlenia Polaków na Zachód.

Leonard Jaworski,
Szczecinek

Szanowna Redakcjo,

Pochodzę z Polesia, urodziłem się w Pińsku. Do Polski wróciłem w ramach repatriacji. W Pińsku do dnia dzisiejszego żyje moja dalsza rodzina.

Z informacji, jaką uzyskałem w rozmowie telefonicznej w dniu 22 września wynika, że numer 20 „Echa Polesia” będzie poświęcony uroczystościom pochówku Żołnierzy Wojska Polskiego i policjantów poległych w walkach o Kobryń we wrześniu 1939 r. Pragnę nadmienić, że w tych uroczystościach w dniu 13 września brałem udział jako członek rodziny śp. Ewarysta Zajkowskiego, który zginął 17 września 1939 roku. Śp. Ewaryst Zajkowski był bratem rodzonym mojej mamy śp. Klementyny Diagielec z d. Zajkowska. Moja mama i brat mamy śp. Ewaryst Zajkowski pracowali na Polesiu jako nauczyciele. W związku z tym ośmielałem się prosić o prenumeratę „Echa Polesia”. Wiadomości i informacje zawarte w kwartalniku przypominają mój młody okres mojego dzieciństwa.

Uprzejmie proszę o przychylne rozpatrzenie mej prośby.

Z poważaniem -

Lech Diagielec
Słupca, Wielkopolskie

PAMIĘTNE WIGILIE

Wigilia – ten jedyny dzień w roku ma w sobie coś szczególnego i jak żaden inny zapada nieodmiennie w pamięć. Dzieje się tak za sprawą wielowiekowej tradycji, która nadała mu określony kształt duchowych przeżyć. Stał się też ten dzień symbolem pokoju, pojednania, miłości i niezwyklej wspólnoty wszystkich zasiadających przy wigilijnym stole. Dniem spędzonym w gronie najbliższej rodziny i przyjaciół w sposób radosny, ale z domieszką zadumy, refleksyjnego spokoju spływającego nagle w głąb duszy. I nie ma chyba człowieka w naszym Kraju, który bez względu na religijne przekonania nie przeżywał na swój – ale w podobnej atmosferze – sposób.

Zawsze z radością oczekiwałem Świąt Bożego Narodzenia, z którymi nierozłącznie związana była wigilia przy stole zastawionym licznymi, tradycyjnymi potrawami i zielona choinka pachnąca lasem, pod którą leżały różne prezenty.

Wigilia, ileż wspomnień ogarnia człowieka na dźwięk tego słowa. Ileż dziecinnie radosnych chwil przychodzi na myśl. Ileż wreszcie radości wlewa w nas ten dzień, gdy możemy go spędzić w gronie osób najbliższych i najdroższych.

Chyba na trwałe zapisały się w mej pamięci dwie wigilie. Jedna w roku 1938, a druga 10 lat później – w 1948. Tę pierwszą spędzałem w moim rodzinnym mieście – Brześciu nad Bugiem. Tamtego roku pierwszy śnieg spadł na tydzień przed wigilią. Mój ojciec wybrał się na tradycyjne, krótkie polowanie ze swoim nierozłącznym towarzyszem łowów – Bałtykiem, z którego wkrótce wrócił, obdarowując moją mamę dwoma pięknymi lisami.

Od samego rana z małym braciszkiem i naszą nianią zajęliśmy się ubieraniem choinki. Co tam na niej nie było. Masa kolorowych, własnej roboty łańcuchów, wiele białych gwiazdek, cukierków w kolorowych papierkach, jabłka i pierniki. A wśród nich mieniące się bombki. Mama przygotowywała w kuchni potrawę wigilijną.

U nas Świąta Bożego Narodzenia przed wojną na Kresach Wschodnich obchodzono bardzo tradycyjnie i uroczysto. W dużym pokoju jadalnym (mieliśmy swój własny dom), oświetlonym świeczkami bielił się długi stół nakryty obrusem, pod którym na środku leżało sianko. W rogu pokoju stały snopki zboża, przywiezione przez ojca z jednej z polskich wsi Polesia. Przy stole dwanaście miejsc dla rodziców, nas – dwojga dzieci, dla pięcioosobowej rodziny Pietraszków, nierozłącznych przyjaciół domu, dwojga domowników i niespodziewanego gościa jak każda tradycja. Gdy pierwsza gwiazdka błysnęła na firmamencie, siadaliśmy do wieczerzy łamiąc się przedtem oplatkiem, składając życzenia i spożywając różne wigilijne potrawy, poczynawszy od barszczu z uszkami, karpia w sosie pomidorowym, śledzi, kapusty z grzybami, a skończywszy na kompocie z suszonych gruszek, jabłek i śliwek oraz babauszkach (racuchach) z makiem. A ileż potem mieliśmy radości podczas rozpakowywania prezentów, złożonych wcześniej pod jarzącą się kolorowymi świeczkami choinką. Śpiewaliśmy znane nam kolędy z kantyczki dziadków. W cieple, rodzinnej atmosferze tajały wszelkie nie-

porozumienia i znikwały smutki. Było miło, serdecznie i wesoło, a na dworze niebo migotało tysiącami gwiazd, wśród których najbardziej okazała wyglądała Wielka Niedźwiedzica. W powietrzu była cisza, spokój. Z dala dochodził tylko głos polskiej, tak miłej dla ucha kolędy – „Wśród nocnej ciszy”...

To były ostatnie moje beztrudne święta Bożego Narodzenia. Nikt jeszcze wówczas nie przypuszczał, nie zdawał sobie sprawy z nadchodzącej wojny. Blaskiem łun krwawych, odgłosem strzałów i wybuchem spadających bomb zaznaczył się w dziejach Brześcia rok 1939. Następuje ewakuacja wszystkich urzędników. Ojciec musiał zdać swoją strzelbę do depozytu, której już nigdy nie odzyskał. Jeszcze dzisiaj pamiętam, jak miasto zostało zajęte przez Niemców, a następnie po 17 września przekazane Sowieta, których wojska w sile jednego miliona żołnierzy przekroczyły wschodnie granice Polski, łamiąc postanowienia paktu o nieagresji z 1932 r. 27 września Niemcy i Rosja zawierają układ o „Granicy przyjaźni” (tzw. czwarty rozbiór Polski), włączając do strefy radzieckiej tereny leżące na wschód od Narwi, Wisły i Sanu.

Zaczyna się straszna, niezapomniana deportacja Polaków w głąb Rosji. Wiele rodzin, z którymi utrzymujemy bliskie kontakty, bydlęcymi wagonami na zawsze zostało wywiezionych na Wschód. Wówczas zaczęła się i nasza gehenna – ciągłe rewizje dokonywane przez NKWD, grożenie i rekwirowanie nam majątku. Ojcu zabrano duży warsztat rymarski, w którym do wojny wraz ze swym współnikiem Janem Pietraszkim (znanym potem na tych terenach działaczem ruchu oporu w oddziałach AK) wykonywano uprzęż na potrzeby wojska. Zostaliśmy wysiedleni z miasta. Przyjeżdżamy do Bielska Podlaskiego, oddalonego od Brześcia około 100 km i tu osiedlamy się na stałe.

Jeszcze do dzisiejszego dnia widzę oczyma małego, ośmioletniego chłopca to moje rodzinne miasto, do którego nie ma już powrotu, widzę całą moją radość i beztrudne dzieciństwo, które urwało się wraz z nadchodzącą wojną.

Rok 1948. Uczęszczam do Gimnazjum i Liceum im. T. Kościuszki w Bielsku Podlaskim, które złotymi głoskami wpisało się nie tylko w historię miasta, ale również Podlasia i Kraju. W szkole odbywają się jeszcze lekcje religii, ale stosunek władz PRL do księży jest coraz bardziej negatywny. W naszym liceum pracuje ks. Wacław Łosowski, rektor kościoła pokarmelickiego. To dzięki jego niespotykanej energii przy kościele bardzo aktywnie działa duża grupa ministrantów, biorących udział we wszystkich uroczystościach i nabożeństwach „Karmela”.

Od 1948 roku wraz z reformą szkolną, rozpoczyna się okres zmierzający do wychowania młodzieży w nowym, socjalistycznym, laickim duchu. 1 lutego 1949 roku ze szkoły zostaje wyprowadzone harcerstwo. Powstaje ZMP, które stara się za wszelką cenę usunąć ze szkoły tych, którzy nie akceptują poczynania nowej organizacji młodzieżowej. Do niechlubnej historii szkoły wpisały się lata 1948-1950, kiedy to około 15 uczniów, wśród nich wielu ministrantów, byłych aktywnych harcerzy, dobrych sportowców i świetnych organizatorów różnych, szkolnych imprez zostało usuniętych z liceum za wrogą robotę, fanatyzm religijny i wrogi stosunek do ZSRR. Chociaż już wcześniej relegowano Janusza Welento, późniejszego prof. dra hab., rektora Akademii Rolniczej w Lublinie oraz Halinę i Irenę Nowicką, a następnie Jerzego Kolasińskiego. Zaś na posiedzeniu Rady Pedagogicznej 10 września 1950 roku zostali zawieszeni: Wiktor Tokarzewicz

i Jan Kozłowski i już do szkoły nie wrócili. Natomiast decyzją zespołu pedagogicznego szkoły z dniem 28 października 1950 r. Janusz Junowicz, Czesław Łapiński, Michał Koczorowski, Gustaw Narbutt, Ryszard Pietrzak, Mieczysław Sopek, Regina Zdrojkowska, Jerzy Nikonowicz, Urszula Olszańska, Marian Herasimowicz i Zdzisław Wyszynski zostali zawieszni na trzy lata i nigdy już w naszej szkole nie podjęli nauki.

Działalność naszego księdza bardzo nie podobała się pracownikom UB, którzy mieli swą siedzibę tuż przy kościele, w murach dawnego klasztoru Karmelitów. Na dwa dni przed wigilią 22 grudnia 1948 roku kilku funkcjonariuszy przeprowadza w naszym mieszkaniu rewizję. Szukają jakoby powielacza, a przy okazji przeglądają mój zeszyt do religii, szukając w nim chociaż drobnej notatki z wypowiedzi ks. Łosowskiego, która dałaby im podstawę do zastosowania przeciw niemu represji. Przy tym każą mi stawić się w Urzędzie Bezpieczeństwa 24 grudnia na godzinę 8:00. Z duszą na ramieniu przekraczam mury tej kaźni stalinowskiej. Tutaj spotykam na krótko również wezwanych kilka koleżanek i kolegów ze szkoły. Przez cały dzień przesłuchują nas – każdego oddzielnie, rozrzucając po celach wypełnionych więźniami do ostatnich granic. Ciągłe straszą nas, że jeśli nie powiemy „prawdy” o księdzu Wacławie, zostaniemy na dłużej aresztowani, a potem kto wie co z nami będzie. Nie zdołali z nas wyciągnąć żadnych informacji, które by pogrzyżyły naszego kochanego księdza. Cały dzień, aż do godziny 21:00 jesteśmy więźniami bielskiego Urzędu Bezpieczeństwa. Przeżywam tragedię jednego aresztowanego, bez przerwy bitego i wrzuconego do celi jak worek ziemniaków młynarza z Bociek (został potem zakatowany na śmierć). Tutaj wraz z kilkoma „mieszkańcami” celi, spożywam kolację wigilijną. Jakiś „uprzejmy” strażnik dostarczył nam opłatek i trochę wędzonego dorsza. Życzymy sobie nie tylko dużo sił w przetrwaniu podczas przesłuchań, ale również pogody ducha i wiary w Boga, który niewątpliwie wyrwie nas z rąk oprawców stalinowskich. Późno wieczorem zostaję zwolniony do domu, gdzie z wielką radością witają mnie rodzice. Siadam do stołu wigilijnego aby w rodzinnym gronie, przy oświetlonej choince spożyć wieczerzę wigilijną i podziękować Bogu za to, że pozwolił mi w tym dniu być wśród najbliższych i cieszyć się z Narodzenia Dzieciątka Jezus. I chociaż szlaki wobec księdza Wacława trwały jeszcze długo, nie zaznał on większych przykrości.

Gdy religia ze szkoły została wycofana, jej lekcje odbywają się w kościele pokarmelickim podczas płomiennych kazań i nauk drogiego Nauczyciela. Nie możemy tak jak niegdyś w zwartym szeregu maszerować spod szkoły do kościoła, ale zawsze o godzinie 9:00 wypełniony on był młodzieżą szkolną, która przybywała tutaj, aby w gorącej modlitwie szukać wsparcia u Boga. A pamięć o księdzu Łosowskim, który prawie przez 20 lat był rektorem szkolnego kościoła i wychowawcą wielu pokoleń kapłańskich, na zawsze pozostanie w pamięci jego wychowanków. Oni to w 80 rocznicę powstania Gimnazjum i Liceum im. T. Kościuszki podczas VII Zjazdu Wychowawców i Wychowanków, ufundowali swojemu nauczycielowi pamiątkową tablicę umieszczając ją w kościele Matki Bożej z Góry Karmel. A na cmentarzu grzebalnym, na którym leżą szczątki drogiego wychowawcy w miejscu starego pomnika stanął nowy.

Teraz wszystkie wigilie obchodzone w wolnym Kraju, chociaż już w innym gronie są bardziej radosne, a rozgrzana domo-

wym ciepłem żywica z leśnej choinki pachnie jak kadzidło. Ale zawsze mi się przypomina choinka mojego dzieciństwa sprzed 70-ciu laty, chwil błogich, pełnych miłości, sytości i ciepła.

Ileż to razy później w swym dorosłym życiu, chciało się zanurzyć w tym zapachu, zapomnieć o wszystkim złu choć na krótko. Niestety, powroty do dzieciństwa tak rzadko się udają. Czas, biegnący nieubłagany żłobi bruzdy na ludzkich twarzach.

Wiesław Falkowski,
Bielsk Podlaski

Wiersz poniższy nadesłała Pani Halina Krajewska z Iławy za aprobatą autora.

WIATRY MOJE

Wiatry moje dalekie, z dawnych lat płynące,
Wiatry pięciu języków, znad pięciu rzek w świecie,
Zapachów pozbieranych na łąkach pachnących,
Z wszystkich krajów, barwionych kolorowym kwieciami,

Wiatry chmurne takie, co od słońca płyną
I które woń przynoszą bagien zakwaszonych
Szepcząc, że wspomnienia młode nie przeminą,
Choćbym serce chciał w sobie zgasić dla ochłody.

Wiatry moje powiewne, wiatry doznań moich.
Wiatry żalne, radosne i wiatry smętliwe,
Chłodzące żary serca, wiatry niepokojów
Szemrzące liśćmi lasów i borów igliwiem.

Wiatry moje, pachnące włosami dziewczyny,
I pełne zauroczeń miłości nieśmiały
Wspomnieniem uwikłane w siatkę pajęczyny,
Wiatry marzeń młodzieńczych, co się gdzieś
rozchwiały.

Wiatry moje żałobne, zwiastuny zagłady
Zabitej zdradą Polski, życiem nad urwiskiem,
Wiatry targań, zawodów i dramatów zdrady,
Pozbierane po drogach ciemne żalu błyski.

Więc już ze mną zatańczcie wiatry zamyślenia
O tym jak dobrze żyć we własnym świecie,
Co się zwidami pragnień i zamiarów mienił
Nim z niespełnionych złudzeń wiazanką odleciał.

Wiatry dobre, przynieście zapachy mej ziemi,
Której pamięć w moim sercu noszę, choć nie w oczu
Jak miraż kuszące kształtami złudnemi,
Lecz nie moje, choć piękne, barwne i urocze.

Nie zapomnijcie wiatry, wiać dla mnie do końca,
Przemawiajcie swym szeptem jak do dziecka – czule
Oświetlajcie mi ciemność jak żagwie płonące,
Niech mą ziemię, choć w myślach, do piersi przytulę.

Jan Wójcik,
Boston, USA

WSPOMNIENIA Z OAZY W ROKITNIE

Na początku sierpnia 2008 r. 45-osobowa grupa dzieci i młodzieży z obwodu grodzieńskiego i brzeskiego miała okazję wyjechać na oazę katolicką do Rokitna. Jest to niewielka miejscowość koło Gorzowa Wielkopolskiego. W Rokitnie znajduje się Sanktuarium Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej. Dzieci i młodzież z polskich rodzin z Białorusi zostali zaproszeni do Polski przez oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Gorzowie. Daleka podróż i „całonocne czuwanie” w pociągu dostarczyły niezapomnianych wrażeń całej grupie, a szczególnie ich opiekunkom. Po przyjeździe zostaliśmy serdecznie przywitani przez ks. proboszcza parafii w Rokitnie, zresztą również pochodzącego z dzisiejszej Białorusi. Codziennie uczestniczyliśmy we Mszy św., a wieczorami w Apelu Jasnogórskim przed cudownym obrazem Matki Bożej. W czasie pobytu w Polsce zwiedziliśmy niektóre atrakcje Poznania oraz pałac w Kórniku z zabytkowymi pamiątkami i meblami. Niezapomnianym przeżyciem był czas spędzony w Licheniu, gdzie znajduje się jedno z największych i najpiękniejszych sanktuariów w Polsce. W Gorzowie Wielkopolskim dzieci i młodzież spotkali się z wojewodą na interesującej rozmowie, oprócz tego

wszyscy mieli możliwość obejrzenia panoramy Gorzowa. W Międzyrzeczu zwiedzaliśmy rejon umocnień fortyfikacyjnych, bunkry poniemieckie. Poza tym, na miejscu mieliśmy zajęcia muzyczno-taneczne, ciekawe konkursy, spotkania przy ognisku, wyjścia nad jezioro, dyskoteki oraz świetne zabawy współorganizowane i kierowane przez wykwalifikowaną kadrę specjalistów z Polski. Chwila refleksji podczas spacerów była dobra dla każdego, tym bardziej, że obok kościoła w Rokitnie znajdują się przepiękne ogrody z tysiącem drzew, krzewów i kwiatów.

Wyjazd na oazę dzieci do Rokitna był okazją do spędzenia wakacji z Bogiem, zapoznania się z Ziemią Lubuską i Ziemią Wielkopolską, możliwością doskonalenia języka polskiego oraz niezapomnianą przygodą. W imieniu grupy dzieci i młodzieży pragniemy podziękować panu prezesowi lubuskiego oddziału „Wspólnota Polska” w Gorzowie Wlkp., Zdzisławowi Czubakowskiemu za przyjęcie na Ziemi Lubuskiej, księdzu proboszczowi, Tadeuszowi Kondrackiemu oraz wszystkim księżom, siostrom ze zgromadzenia Jezusa Miłosiernego za troskliwą opiekę, modlitwę i dobre słowo, wszystkim wspierającym nas opiekunom. Słowo podziękowania kierujemy do osób zaangażowanych w organizację wyjazdu grup z Iwia, Makarowców, Pierwomajską i Brześcia.

Opiekunki grup z Białorusi

NIEZWYKŁY LIST z Baranowicz

Wielce Szanowna Redakcjo!

Jestem człowiekiem starym i bliskim już grobu, jestem zupełnie samotny i dlatego nie mogłem nikomu powierzyć tajemnicy, którą przechowuję od dziesiątków lat.

Pracowałem jako archiwista w NKWD i ocierałem się o wiele strasznych tajemnic. Może o niektórych jeszcze napiszę. Pamiętam jak przekazano do archiwum papiery, które pozostały po bardzo dziwnej postaci, o której po wsiach krążyły legendy, a którą nazywano Starcem lub Pustelnikiem z Puszczy Różańskiej. Żył ów człowiek samotnie w opuszczonej gajówce. Zjawił się tam po 1956 roku wypuszczony z łagru. Był Polakiem, tutejszym. Nie chciał opuścić tych stron, może nie miał dokąd jechać, może był tu kiedyś gajowym lub leśniczym. Niewiele o nim wiadomo. Władze złożyły go w spokoju, a ludzie czasem do niego chodzili po zioła i rady. Nikt już nie pamięta, jak się nazywał naprawdę, a gdy znaleziono go zmarłego, nie było w jego pustelni ani dowodu osobistego, ani żadnej fotografii. Pracownik NKWD znalazł jedynie rękopis i przekazał do archiwum. Przeczytałem. Było to proroctwo. Gdy zaczęło się spełniać, wykradłem go i ukryłem w domu. Zawierało np. pojawienie się Gorbaczowa:

„Nastanie człowiek, a znak tajemny na czole mieć będzie. Zburzy Cesarstwo Zła, zawieruchę wyzwoli, wschód z północą się zderzy, a zachód z południem, jednakże z tej zawieruchy wyłoni się dobro i sprawiedliwy porządek równych sobie...”

Jest tam również przepowiednia dotycząca Polski. Oto co napisał Pustelnik z Puszczy Różańskiej:

„Po latach mroku i krzywdy dzień oczyszczenia nastanie w Ojczyźnie przodków moich. Strzeżcie się umarłych...! Wróć po sprawiedliwość i musi im być dana. Upomną się zmęczeni wojownicy, kapłani zgładzeni skrytobójczo, wasze matki i siostry za łzy przelane w męce... Do zwycięskiego boju lud poprowadzi mąż zwyczajny, z Bożą Matką na sercu, a jego wyczyn rozślawi Polskę na całym świecie... Potem ciężkie czasy nastaną, kiedy trzeba będzie wybierać między sprawiedliwością jednaką dla wszystkich, a mocną ręką, która żelazny porządek wprowadzić zechce w imię dobra powszechnego. Mocnej ręki się strzeżcie, bowiem za pretekst dobro powszechne zawsze despotom służyło! A kiedy wojna krwawa wybuchnie na ziemi semitów, z dala od niej bądźcie. Głód was czeka, waśnie rodzinne, brat na brata rękę podniesie. Judasze krążyć będą pośród was i do zdrady namawiać. Nie ulegajcie! Boga miejcie w sercu. Oczy ku ziemi zwróćcie, tylko ona Polakom pomyślność zapewnić może. Patrzcie kobiety! Matka Boska prawdę wam objawi. Strzeżcie się wtedy, bo nieszczęście na was spłynie, jeśli nie uchronicie jej przed Despotą. Lat siedem przed końcem wieku próba was czeka wstrząsem brzemienią, wielkie miasto zapłonie, rzeka wystąpi z brzegów, znaki na niebie krwawe się pokażą. Wtedy do Matki się zwróćcie, a Ona drogę wam wskaże. Jeśli posłuszni Jej będziecie, szczęśliwość Polskę czeka.”

Sam nie wiem, co o tym myśleć. Za władzy sowieckiej nie nauczono nas wierzyć we wróżby, ale kto wie?...

*Franciszek Zielenkiewicz
Baranowicze*

Instytut Pamięci Narodowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Muzeum Powstania Warszawskiego

zapraszają uczniów wraz z nauczycielami do udziału w II edycji projektu edukacyjnego

„Opowiem Ci o wolnej Polsce... – spotkania młodzieży ze świadkami historii”

Zapraszamy do uczestnictwa w nietypowej lekcji historii. Nietypowej – bo będzie trwała dłużej niż szkolne 45 minut, bo jej narratorami będą nie karty podręcznika, lecz żywi ludzie – świadkowie historii. To od Państwa – nauczycieli i uczniów – zależy, jaki będzie miała przebieg, kto będzie jej bohaterem, jakie wydarzenia uda się przywołać, a może wręcz odkryć.

Serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału w programie. Zainteresowanych nauczycieli bardzo prosimy o kontakt z:

Marianną Hajdukiewicz z Centrum Edukacji Obywatelskiej
tel. 22 622 00 89 wew. 105, mail: marianna@ceo.org.pl

Olga Tumińską z Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej
tel. 22 431 83 78, mail: opowiem_ci.edu@ipn.gov.pl

KAMPANIA SPOŁECZNO-EDUKACYJNA „ŻYCIE ZA ŻYCIE”

- www.zyciezazycie.pl

Celem akcji jest pokazanie postaw Polaków, którzy z narażeniem własnego życia ratowali Żydów. Tylko na terenach polskich Niemcy stosowali restrykcyjne prawo, w myśl którego nawet za podanie kromki chleba i kubka wody kara śmierci groziła tak Żydowi, jak i pomagającemu mu Polakowi; za uchylenie się od złożenia donosu na sąsiada chroniącego podejrzanego lokatora – obóz koncentracyjny.

Akcja ma na celu uświadomienie społeczeństwu – poprzez konkretne inicjatywy naukowe, edukacyjne i filmowe – prawdy o warunkach okupacji niemieckiej, o Polakach ratujących Żydów oraz Polaków pochodzenia żydowskiego.

Szacuje się, że co najmniej kilkaset tysięcy Polaków, tak dorosłych, jak i dzieci, w różnorodny sposób udzielało pomocy Żydom. Polacy pomagali indywidualnie i w ramach aktywności konspiracyjnej, w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego, w tym w ramach Rady Pomocy Żydom „Żegota” – organizacji finansowanej głównie przez rząd RP w Londynie.

W czasie II wojny światowej zginęło z rąk niemieckich ponad 3 miliony Żydów. Żeby uratować jednego Żyda bardzo często zaangażowanych było w pomoc niekiedy nawet do 20 Polaków. Pomagali niezależnie od swych przekonań i poglądów politycznych, głównie z racji przywiązania do wartości wyniesionych z rodziny i chrześcijańskiego wychowania.

Rodziny Kowalskich z Ciepłowa, Ulmów z Markowej, Baranków z Siedliska i wiele innych to ci, którzy zginęli za okazany gest miłosierdzia chrześcijańskiego, to bohaterowie Polski Walczącej, z których powinniśmy i mamy prawo być dumni. To im należy stawiać pomniki, nadawać odznaczenia, ich imiona i nazwiska winny zdobić polskie place i skwery: Irena Sendlerowa, s. Matylda Getter, Zofia Kossak-Szczucka – to postulowane patronki naszych ulic.

Chcielibyśmy, by Polacy poznali swych bohaterów i oddali im, aktywnie uczestnicząc w przygotowywanych bądź propagowanych przez nas przedsięwzięciach, należną cześć.

Projekt „Życie za Życie” realizowany jest przez Instytut Pamięci Narodowej oraz Narodowe Centrum Kultury.

Dzikie gęsi z Zielonej Wyspy

Meritis augentur honores

(Łac.: Zaslęgi zwiększają honor)

Dewiza rodu de Lacy.

Rzucić wszystko? Wyjechać na zawsze z Polski? Żyć w lepszych warunkach? Poza krajem? Nas żadne warunki nie przerażały, ani głód, ani chłód, byłyśmy u siebie w swojej ojczyźnie i w swojej Warszawie.

Margaret O'Brien de Lacy-Korsak,

„I dalej w życie” (maszynopis).



Margaret O'Brien de Lacy-Korsak i Joanna Sypuła-Gliwa

A utorka powyższego cytatu, pani wysoka i smukła, mimo osiemdziesiątki prosta jak trzcina, cała w szarościach i perłach, o pociągłej twarzy, z której wybiega ku rozmówcy spojrzenie zielonobrazowych, oprawionych w sieć drobnych zmarszczek oczu, Margaret O'Brien de Lacy-Korsak, córka Marii z Duszyńskich (1902–1982) i Patryka O'Brien de Lacy (1888–1964), spadkobierczyni nazwiska należącego do najstarszej arystokracji europejskiej. W jej żyłach płynie krew wywodzących się od Karola Wielkiego normandzkich rycerzy, którzy w 1066 roku u boku Wilhelma Zdobywcy przeprawili się przez Kanał, by walczyć i zwyciężyć pod Hastings. Gdy siedzi oparta o wezgiłowie kanapy w swoim warszawskim mieszkaniu, mogłaby równie dobrze podejmować gości w Trim Castle nad rzeką Boyne, rodowym zamku wybudowanym przez jej przodka sir Hugh'a de Lacy w XII wieku. W tym nazwisku słychać szcęk mieczy i suchy trzask kopii, tętent koni galopujących po polach bitewnych starej Europy, czuje się w nim powiew ciężkich skrzydeł historii.

Z drugiej strony, po kądzieli, Margaret wywodzi się z ziemiańskiej rodziny Duszyńskich herbu Dołęga, od XVIII wieku osiadłej na Podolu. Jej dziadkowie, Stanisław z Salisów i Witold Duszyńscy, byli właścicielami pięknego majątku Wyszpol pod Żytomierzem oraz wielkich kopalni labradoru. W Wyszpolu przyszły kolejno na świat ich cztery córki: najstarsza Felicja (1895–1910) zmarła wcześniej na gruźlicę, następnie Zofia (1897–1931), przyszła pisarka, po mężu Zurakowska, Maria (1902–1982) zwana w rodzinie Lilą to właśnie matka Margaret i najmłodsza Anna (1910–)

Daleka droga, zarówno w czasie jak i w przestrzeni, prowadzi ród de Lacych z mglistej, zielonej Irlandii na północno-wschodnie rubieże Europy, na Kresy Rzeczypospolitej. Jej początek sięga anglo-normandzkiego średniowiecza. Po zwycięstwie odniesionym pod Hastings nad Haroldem II i jego wojskami (14 października 1066 r.) Wilhelm I Zdobywca już jako władca Anglii nagroził swych najwaleczniejszych rycerzy wielkimi nadaniami ziemskimi we właśnie podbitym kraju. Był wśród nich przybyły z Normandii Walter de Lacy i jego dwaj synowie Roger i Hugh. W następnym wieku wnuk Waltera, Hugh de Lacy, lord palatyn of Meath wziął udział w podboju Irlandii i w 1171 roku z rąk Henryka II – wówczas ten król Anglii ogłosił się panem Wyspy – otrzymał tytuł wicekróla i praktycznie całe hrabstwo Meath w posiadanie. Świeżo wyniesiony na wyżyny palatyn, zwany odtąd the Great Hugh wybrał na swą główną siedzibę miasto Trim nad rzeką Boyne (na zachód od Dublina) i wznosił tam potężną fortecę. Trim Castle znany także jako Zamek króla Jana, który przebywał w nim w 1210 roku, jest największym zachowanym, choć podupadłym zamkiem normandzkim w Europie, obejmuje obszar 1 hektara. W jego scenerii Mel Gibson nakręcił liczne sceny filmu „Waleczne serce”, („The Braveheart” 1994).

Normandcy przybysze niezwykle szybko asymilowali się z rdzenną ludnością Zielonej Wyspy – łączyły

ich wspólne celtyckie korzenie – i już w następnym wieku określali się jako Irlandczycy. Stawali się gorącymi patriotami broniącymi ziemi, tradycji, a przede wszystkim wiary katolickiej przed angielskimi najeźdźcami, których coraz silniejszy napór doprowadził za panowania Elżbiety I do narzucenia Irlandii zwierzchności. Gdy w drugiej połowie XVII wieku zdetronizowany przez parlament angielski Jakub II z dynastii Stuartów zbiegł do Irlandii, zyskał poparcie wielu znakomitych rodów, w tym także de Lacych. Jednak w 1690 roku podczas wielkiej bitwy nad rzeką Boyne Irlandczycy ponieśli klęskę, Irlandia na kilka wieków utraciła niepodległość na rzecz Anglii, a jak napisał George Bidwell „...parlament angielski, tytułem kary za nielojalność, narzucił narodowi irlandzkiemu prawa, których bezwzględności nic w historii nie może dorównać”. (George Bidwell „Irlandia” Warszawa 1970). Dowódca irlandzki Patrick Sarsfield, earl Lucan z resztą swoich wojsk okopał się w Limerick, ale w 1691 roku i oni zostali zmuszeni do poddania się Wilhelmowi III Orańskiemu. Jakub II znalazł schronienie na dworze francuskim i tam dokonał żywota w 1701 roku. Dzielný Sarsfield i znakomita większość jego ludzi, zarówno przedstawiciele utytułowanych rodów jak i prostych żołnierzy wybrali wygnanie. Z irlandzkich portów odpływały statki pełne uchodźców, z których tylko nieliczni mieli zobaczyć jeszcze swą ojczyznę. Ci, którzy w niej pozostali, nazwali ten szlachetny odpływ odlotem Dzikich Gęsi.

Na jednym ze statków przepławili się przez Kanał James de Lacy ze swoim trzynastoletnim bratankiem Pierce (Peter de Lacy 1678–1751), który w walkach z Anglikami stracił ojca i braci. To ów, wchodzący dopiero w dorosłe życie, od dzieciństwa ćwiczony

w wojskowym rzemiośle chłopiec doszedł na kontynencie do wielkich zaszczytów, bogactwa i zapewnił swej rodzinie wysoką pozycję.

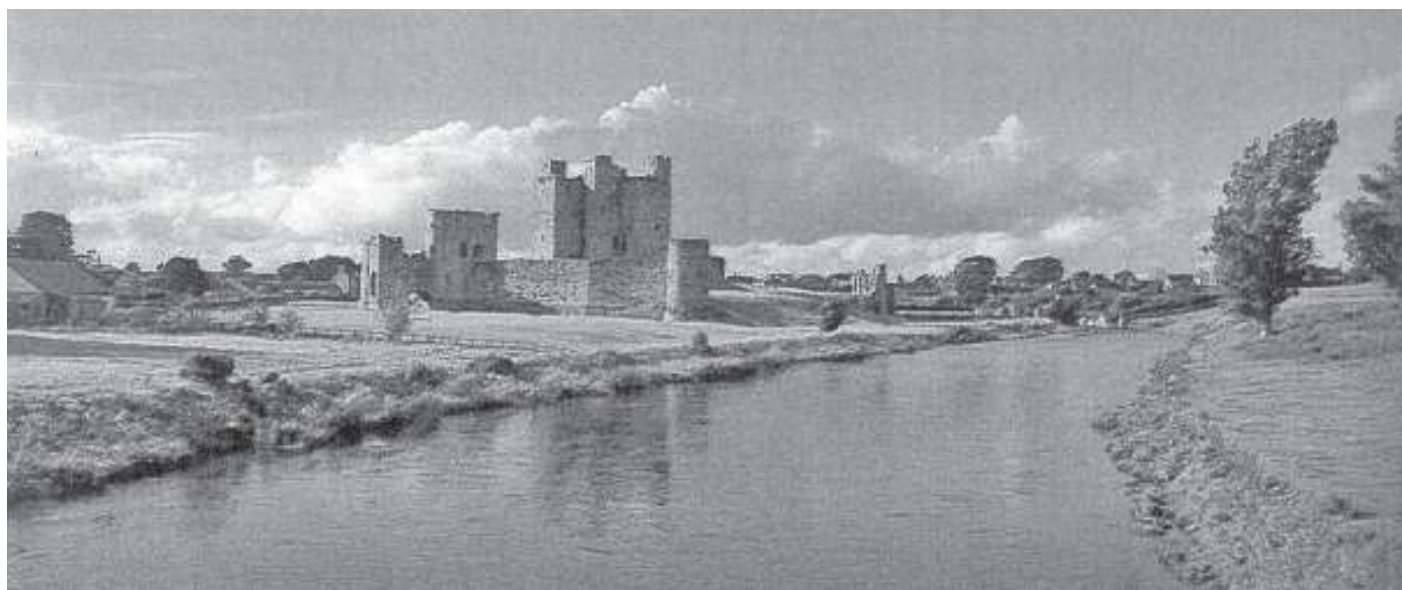
W tym czasie car Piotr I Romanow, zmieniający oblicze swego pozostającego w tyle za Europą kraju, chętnie przyjmował na służbę zdolnych cudzoziemców, którzy mogli mu pomóc w realizowanym z żelazną wolą i takimi sercem dziele przebudowy. W 1700 roku dwudziestodwuletni Peter de Lacy, po kilku latach spędzonych głównie we Francji, został przyjęty do rosyjskiego wojska i zaczął karierę w stopniu kapitana.

W szkicu poświęconym historii swojej rodziny Margaret, Gabriela i Irena de Lacy napisały: „*Ten niepospolicie uzdolniony wojskowy od stopnia skromnego kapitana dosłużył się w roku 1736 buławy marszałka polnego. Oprócz kariery wojskowej pełnił również ważne funkcje państwowe, m.in. został w 1726 r. generał-gubernatorem Rygi a następnie całej Łotwy. Odznaczony licznymi orderami międzynarodowymi uzyskał w 1740 roku z rąk cesarza Karola VI tytuł hrabiego Cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego.*

Marszałek Peter de Lacy zreorganizował całkowicie armię rosyjską, wpoił jej ducha dyscypliny i poczucie obowiązku. Oceniany jako najwybitniejszy wojskowy swoich czasów zdołał przekształcić armię rosyjską z najgorszej w najlepszą w Europie.

Zasadą, którą kierował się Peter de Lacy w całym swoim życiu było motto jego rodowego herbu: „Meritis augentur honores”.

Gdy Peter de Lacy zaciągał się w szeregi rosyjskiego wojska, był Irlandczykiem, emigrantem szukającym nowego miejsca na obczyźnie, gdzie mógłby najlepiej jak potrafił wykonywać swoje żołnierskie



rzemiosło. I jak by na to nie patrzeć, był początkowo po prostu żołnierzem najemnym o rzeczywiście wybitnym talencie wojskowym. Następcy tego cudzoziemskiego gubernatora Łotwy wrosli w graniczący z Imperium od zachodu kraj, pochłonięty przez nie w trzech rozbiorowych etapach, zaczęli mówić jego językiem i modlili się w jego katolickich świątyniach.

Po przeszło dwóch wiekach, noszący jego nazwisko i część genów, całkowicie spolonizowani patrioci o irlandzkich korzeniach uciekali przed rosyjską armią – co prawda znów przemodelowaną, już z gwiazdami na czapkach, ale prącą na zachód z tą samą bezwzględnością, wolą podboju i nienawiścią wobec Polski.

Z małżeństwa marszałka de Lacy z Martą Filipiną de Loesser Funken przyszło na świat siedmioro dzieci: pięć córek i dwóch synów. Jeden z nich, hrabia Francis – Maurice de Lacy (1725–1801) podobnie jak ojciec poświęcił się karierze wojskowej i już w wieku 25 lat był pułkownikiem armii austriackiej. W 1766 roku został feldmarszałkiem i przewodniczącym Rady Wojennej cesarzowej Marii Teresy. Nie założył rodziny i zmarł bezpotomnie w swojej posiadłości w Neuwaldegg. Dwie europejskie stolice ozdabiają dziś pomniki obu marszałków z rodu de Lacych: w Rydze jest to pomnik generała, gubernatora Łotwy Petera de Lacy, w Wiedniu konny posąg Francisza – Maurice hrabiego de Lacy.

Żołycielem polskiej linii rodu stał się bratanek marszałka Petera de Lacy, **hrabia Maurice – Peter de Lacy (1740–1820)**. Urodzony w Killakulen w Irlandii syn Patricka i Mary z Herbertów, poszedł w ślady swego stryja i zaciągnął się do armii rosyjskiej. Także doszedł do stopnia generała marszałka, został gubernatorem Kazania, następnie głównym inspektorem prowincji Orenburg i Smoleńsk, a na koniec gubernatorem Grodna. **Za liczne wojenne zasługi Katarzyna II nadała mu rozległe dobra ziemskie z Augustówkiem na Grodzieńszczyźnie. Było to 12 000 hektarów ziemi z folwarkami: Horny, Kruhlan, Hornica, Słomianka, Dziermitkowo. W samym Augustówku nad Niemnem znajdował się jeden z dwóch uroczych pałacików wybudowanych pod koniec XVIII wieku przez podskarbiego litewskiego Antoniego Tyzenhauza. Po drugiej stronie rze-**



„Stary” Augustówek – wybudowany przez A. Tyzenhauza

ki stał drugi, Stanisławów (nie należał do majątku de Lacych) — oba zostały nazwane tak na cześć Stanisława Augusta Poniatowskiego. Po rozbiorach zostały skonfiskowane przez Katarzynę II.

Według relacji Maurycego O'Brien de Lacy (1891–1978), syna Aleksandra, zamieszczonej w kompendium Aftanazego *Ufundowany przez Antoniego Tyzenhauza pałacyk w Augustówku był w swej pierwotnej postaci budowlą niewielką, nie posiadającą prawie żadnego podmurowania, w trójosiowej części środkowej dwukondygnacyjną, w częściach zaś bocznych jednokondygnacyjną. (...) Według stanu z początków 1915 roku trójosiowa część środkowa wysunięta była dwukondygnacyjnym ryzalitem. (...) Ta część pałacyku, rozczłonkowana wspartymi na wysokich cokołach pilastrami toskańskimi, otrzymała bogaty wystrój w stylu Ludwika XVI. (...) Niektóre pokoje urządzone były bardzo starymi meblami przywiezionymi z Anglii. W wyposażeniu znajdowała się zabytkowa porcelana i srebro, była też w Augustówku pokaźna biblioteka oraz bogate archiwum rodzinne. Księgozbiór składał się prawie wyłącznie z wydań w języku francuskim i angielskim, przywiezionych przez gen. De Lacy lub przez O'Brienów”.*

(Roman Aftanazy „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej”, Wrocław 1997).

W bliskości pałacyku znajdowały się dwie oficyny, w których mieściły się pomieszczenia gospodarcze. Wszystko otoczone było dwudziestohektarowym parkiem krajobrazowym, przechodzącym w naturalny las. Wielką, typową dla polskich siedzib ziemiańskich



Patric O'Brien de Lacy
(ojciec p. Margaret)

ozdobą były szpalery lipowe, tworzące cieniste korytarze, prowadzące w głąb parku. Pośrodku małej polany rósł tam potężny modrzew zwany królewskim, podobno zasadzony własnoręcznie przez Stanisława Augusta Poniatowskiego.

W 1915 roku wycofujące się spod Grodna oddziały rosyjskie spaliły pałacyk, tak że pozostały jedynie jego zewnętrzne mury. Pożar pochłonął całe zabytkowe wyposażenie włącznie z wspomnianym wyżej archiwum de Lacych oraz bogatą biblioteką. Ocalała, należąca do posiadłości, stojąca nieopodal traktu grodzieńskiego, klasycystyczna karczma z końca XVIII, która po I wojnie światowej miała zastąpić właścicielom spaloną siedzibę.

Ponieważ hrabia Maurycy Peter de Lacy nie założył rodziny, usynowił swego siostrzeńca, Patricka (1790–1870), syna Mary i Williama Terence'a O'Brien. Jednocześnie, pragnąc zachować ciągłość rodowego nazwiska, uzyskał od cara Aleksandra I zgodę na połączenie obu nazwisk. Od 1820 roku aż po dziś potmkowie Patricka używają nazwiska O'Brien de Lacy. Musiały być z dziedziczeniem majątku związane jakieś perturbacje, ponieważ Maurycy de Lacy sprzedał swoje dobra zaufanemu

przyjacielowi Karolowi hrabiemu Medemowi. Ten z kolei w 1820 roku odsprzedał je z powrotem usynowionemu siostrzeńcowi Maurycego, Patrykowi. Była to więc sprzedaż fikcyjna, mająca na celu zapewnienie dziedzictwa rodzinie de Lacy. Hrabia Medem ufundował w Augustówku kaplicę w kształcie rotundy, nakrytą kopułą z latarnią i krzyżem na szczycie. Stała się ona mauzoleum rodu de Lacy i O'Brien de Lacy.

Spadkobierca kresowej fortuny utytułowanego wuja, hrabia Patrick O'Brien de Lacy ożenił się z pochodzącą z pruskiej szlachty Julią von Damme. Mieli sześcioro dzieci: Katarzynę (1827–1910) późniejszą hrabinę Korwin-Kossakowską, Piotra (1829–1899), Henryka (1830–1887), Maurycego, Karola i Aleksandra (1842–1908). Katarzyna, Henryk, Maurycy i Karol zmarli bezpotomnie. Piotr ożeniony z Ludwiką z Ronikierów miał dwoje dzieci, ale ta linia rodu skończyła się na wnuku Piotra, także Piotrze, który zmarł w młodości.

Feldmarszałek Maurice Peter de Lacy pozostawał Irlandczykiem w Rosji. Ale jego następcy, zarówno Patrick jak i jego żona dość szybko zasymilowali się na obcym dla nich gruncie. Z polską społecznością łączyła ich przede wszystkim religia katolicka, traktowana jako najcenniejszy klejnot i utożsamiana z poczuciem wolności. Po klęsce w Limerick Anglicy odebrali irlandzkim katolikom prawa obywatelskie. Polacy katolicy w zaborze rosyjskim również byli traktowani jako obywatele drugiej kategorii. Spotkanie polsko-irlandzkie odbyło się na wspólnej dla obu stron przestrzeni religijnej i w konsekwencji przyniosło polonizację potomków Hugona Wielkiego.

Kolejnym właścicielem Augustówka został Aleksander, który ożenił się z Polką, Gabriellą Radowicką (1856–1935), córką Anieli z Włódków i Aleksandra. Z małżeństwa tego przyszły na świat trzy córki: Maria, Genowefa i Aleksandra oraz trzech synów: Terencjusz, Patryk i Maurycy. Terencjusz (1885–1932) wzorem wielu mężczyzn ze swojej rodziny poświęcił się karierze wojskowej. Służył w Morskiej Dywizji Kaukaskiej, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został dowódcą 10. pułku ułanów w Białymstoku. Z małżeństwa z Heleną Popow miał córkę Helenę, która w czasie II wojny została wywieziona na roboty do Niemiec, a później wybrała emigrację do Argentyny. Wyszła za mąż za Ewalda de Koren - ich syn Miguel O'Brien de Lacy de Koren **zapoczątkował argentyńską linię rodu.**

W 1921 roku ogromny majątek de Lacych na Grodzieńszczyźnie został podzielony. Współwłaścicielami Augustówka stali się bracia Terencjusz i Maurycy.

Terencjusz i Helena zamieszkali w ocalałej oficynie. Maurycemu przypadła w udziale część z dawną karczmą, która po adaptacji zamieniła się w dom jego rodziny do 1939 roku. Właściwy pałacyk nigdy odbudowany nie został, ale przebudowa i urządzenie nowej siedziby we wspomnianej karczmie trwały do września 1939 roku, kiedy rodzina O'Brien de Lacy na zawsze opuściła Grodzieńszczyznę.

W opublikowanej w 1977 roku autobiografii „Trzy czwarte... Wspomnienia” Nadzieja Drucka O'Brien de Lacy pisała: „Maurycy budował Augustówek, bo bracia podzielili majątek i w naszej części prócz obszernego domu nie było żadnych budynków gospodarczych. Trochę starych drzew wokół onegdajszej karczmy, postawionej przez Tyzenhauza i będącej obecnie naszym mieszkaniem, ocieniało nasz dom. Mąż zaplanował park, który rósł niebywale szybko, a tuż obok sad o pięknie kwitnących na wiosnę czereśniach, wiśniach i karłowatych jabłoniach.

Ładne, obszerne czworaki stały się chlubą Maurycego. Stajnie, obora, spichrz powstały bez rady architektów, tylko przy pomocy starego Żyda cieśli Jałowca. Staw, w którym było mnóstwo karasi zdobył nasz tak zwany Nowy Augustówek”.

Maurycy O'Brien de Lacy (1891–1978) w czasie I wojny światowej był komendantem rosyjskiego pociągu sanitarnego w rejonie Odessy. Poznał wówczas swoją żonę Nadzieję, księżniczkę Drucką, (1898–) córkę Sergiusza ks. Druckiego i Marii z Satfnowiczów, z którą po wojnie zamieszkał w Augustówku. Mieli dwie córki: Irenę (1919) i Gabrielę (1923). W latach 1929–1932 Maurycy był prezydentem Grodna, przez wiele lat pełnił również funkcję prezesa Związku Ziemian i dyrektora Syndykatu Rolniczego. Jego żona, odznaczająca się pasją społecznikowską, bardzo aktywnie weszła w polskie środowisko, tak że wkrótce została wiceprzewodniczącą Koła Ziemianek, Czerwonego Krzyża i Towarzystwa Dobroczynności. W 1925 roku założyła Towarzystwo Przyjaciół Literatury i Sztuki im. E. Orzeszkowej i była jego przewodniczącą przez 12 lat. Ta pochodząca ze starego rosyjskiego rodu księżniczka nie tylko spolonizowała się niezwykle szybko, ale przyjęła język polski jako tworzywo kreacji twórczej. Obdarzona talentem literackim, zadebiutowała jeszcze przed wojną opartą na motywach autobiograficznych powieścią „Zwycięstwo”. Napisała kilkanaście książek, była też autorką wielu przekładów z języka rosyjskiego.

We wspomnianej już autobiografii, opisując dramatyczne okoliczności wycofywania się oddziałów

niemieckich i wkroczenie polskich na Grodzieńszczyznę w 1919 roku, dała świadectwo swoim uczuciom: „Nazajutrz wkraczało wojsko polskie. Był to 30 kwietnia 1919 roku.

Z dniem tym łączy się moje silne przeżycie osobiste: po raz pierwszy usłyszałam wtedy hymn polski. Maurycy ścisnął nerwowo ręce i zauważyłam, że oczy mu dziwnie błyszczą. Powiedział mi półgłosem:

– Ty przecież nic nie czujesz, nic nie rozumiesz.

– Czuję i rozumiem – odpowiedziałam pośpiesznie.

W momentach wielkich przemian historycznych trudno objąć całość i zdać sobie sprawę z wielkości zdarzeń, lecz nawet ich fragment, odbłask każe mocniej bić sercu, a ręce pocą się ze wzruszenia. Byłam przejęta. A więc wreszcie jest Polska. Polska Maurycego, a więc moja...

Gospodyni Augustówka chętnie zapraszała pod swój dach pisarzy artystów. Była tu gościem Zofia Nałkowska, mieszkająca w Grodnie w czasie małżeństwa z Janem Jurem-Gorzechowskim. 23 października 1929 roku zapisała w swoich „Dziennikach”: „Te cztery dni – poza obchodem i spędziłam w owym Augustówku jako gość państwa O'Brien de Lacy na skutek wielokrotnych zaproszeń, było mi tam tak dobrze, jak wcale nie oczekiwałam. Jesień słoneczna, liście żółte i czerwone za oknem, urok tamtejszej przyrody. Jazdy samochodem, który prowadzi pan O'Brien de Lacy – taki mity, równy, łagodny. Swoje ostatnie w życiu wakacje spędził w Augustówku Witkacy w czerwcu 1939 roku.

Bombardowanie Grodna zaczęło się w pierwszych dniach września. Leżący trzy kilometry od stolicy regionu i usytuowany w pobliżu ważnych dróg oraz linii kolejowej majątek de Lacych stał się również celem niemieckich samolotów. Maurycy pozostał w Grodnie, biorąc udział w obronie miasta, natomiast jego żona z córkami Gabrielą i Ireną początkowo znalazła schronienie w Spuszy, majątku Sapiehów, by później połączyć się z mężem na Litwie Kowieńskiej. Zatrzymali się w Liberszykach, dobrach Benedykta Karpia, przyjaciela Maurycego z młodości. W 1941 roku przez zieloną granicę przedostali się do Polski, do Warszawy, gdzie przetrwali okupację.

Podczas rodzinnego podziału majątku w 1921 roku średniemu z braci, Patrykowi O'Brien de Lacy (1888–1964) przypadł folwark Hornica leżący 12 kilometrów od Grodna. Absolwent wydziału fizyko-matematycznego Uniwersytetu Petersburskiego należał do pokolenia, któremu przyszło potwierdzić swoją narodową tożsamość, przez zdecydowane opowiedzenie się po jednej ze stron. W I wojnie światowej, jak

wielu Polaków z Kresów służył początkowo w wojsku rosyjskim. Jako podporucznik saperów wystąpił z jego szeregów w 1917 roku. Został adiutantem generała Józefa Dowbór-Muśnickiego, twórcy I Korpusu Polskiego na Wschodzie. W 1920 roku podobnie jak jego bracia Terencjusz i Maurycy, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Za zasługi wojenne dwukrotnie odznaczony został Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości, Orderem Polonia Restituta oraz innymi odznaczeniami. Po odzyskaniu niepodległości pełnił służbę wojskową jako wysokiej klasy specjalista inżynierjno-techniczny najpierw w Nowym Dworze koło Modlina. Od 1928 roku w stopniu pułkownika saperów kierował Wojskowym Instytutem Badań Technicznych w Warszawie (od 1935 roku Biuro Badań Technicznych Broni Pancernej). W 1924 roku poślubił Marię Duszyńską (1902–1982), córkę Stanisławy i Witolda, z którą miał dwoje dzieci: Hugona (1925–1958) i Margaret (1928).

W Hornicy nie było pałacu, ani nawet wielkiego dworu. Stał otoczony parkiem wygodny ziemiański dom, do którego, ze względu na obowiązki ojca, rodzina zjeżdżała w miesiącach letnich. Dla Margaret pozostał na zawsze rajem utraconym bezpowrotnie w 1939 roku, mityczną krainą lasów, koni i psów, swobody i dzieciństwa. Jednym z najsilniejszych wspomnień osiemnastoletniego i jakże bogatego w wydarzenia życia są ostatnie wakacje na Grodzieńszczyźnie przeżywane w przeddzień końca świata, a potem dramatyczny eksodus przez zalane krasnoarmiejcami Kresy. Tamto pamiętne lato spędzali w Hornicy bez ojca, który służbowo przebywał w Paryżu, była z nimi jeszcze babka (Stanisława Żeglińska), ciotka Anna, najmłodsza siostra Marii z rocznym synkiem, Markiem. W sierpniu po ogłoszeniu mobilizacji rodzina się rozdzieliła: babka z ciotką Anną z dzieckiem wyjechały do Grodna. Całe stado koni z majątku zostało odstawione na potrzeby armii.

Maria O'Brien de Lacy wróciła z dziećmi do Warszawy tuż przed wybuchem wojny. Ponieważ Biuro Badań Technicznych Broni Pancernej, którego ojciec Margaret był kierownikiem, ewakuowało się do Pińska, aby rodzina nie rozdzielała się, Maria z dziećmi wyjechała do Mołodowa na Pińszczyźnie, majątku dalekich krewnych Skirmunttów. Nikt wówczas nie mógł przewidzieć tego, co nastąpi 17. września i jakie konsekwencje może nieść ze sobą ucieczka na wschód. Patrykowi udało się odwiedzić żonę i dzieci jeszcze przed tragiczną datą. Zostawił Marii trochę pieniędzy, pożegnali się i tak stracili się z oczu na wiele lat.

Skirmunttowie herbu Dąb, to stary – od średniowiecza osiadły na Polesiu – ród książęcy wywodzący się od kniazia Mingajły. W końcu XVIII wieku książę Szymon Skirmuntt odkupił od księcia Michała Kleofasa Ogińskiego dobra mołodowskie, które pozostały w rękach rodziny do 1939 roku. Ponieważ stary dwór Ogińskich spłonął, Szymon wybudował nowy, okazały (trzynastoosiowy) pałac, wyposażony z wielkim przepychem, różniący się znacznie od sąsiedzkich siedzib szlacheckich.

„Jako całość, z oficyną, kaplicą i parkiem, Mołodów przypominał oazę niepowtarzalnego piękna rzuconą na tło szarego krajobrazu”(R. Aftanazy, cyt. j.w.)

Ostatni przedstawiciele rodu Skirmunttów to czwórka dzieci Henryka i Marii z Twardowskich: Henryk (1868–1939), **Maria** (1872–1939), **Jadwiga** (1874–1968) i **Konstanty** (1866–1949). W 1937 roku nie posiadający bezpośrednich spadkobierców Skirmunttowie – żadne z czwórki rodzeństwa nie założyło rodziny – zapisali cały majątek Urszulankom Serca Jezusa Konającego (szarym), dożywotnio pozostawiając sobie pałac i park.

W chwili wybuchu wojny Jadwiga, przyjaciółka i opiekunka pisarki Marii Rodziewiczówny, mieszkała z nią w Hruszowej pod Kobryniem. Konstanty, przedwojenny minister spraw zagranicznych, a także poseł i ambasador w Londynie, opuścił Mołodów i przedostał się do Wielkopolski. W majątku przebywali Maria i Henryk, przyjmując liczną rzeszę wojennych uchodźców.

Wydarzenia, jakie miały miejsce w Mołodowie we wrześniu 1939 roku, urastają do rangi symbolu zagłady starego świata padającego pod naporem barbarzyńców. Ze względu na osobę właściciela i panującą w jego pałacu aurę mogą przywołać na myśl „Lamparta”, Lampedusy, tylko zakończenie wymyka się literackiej wyobraźni Zachodu, odbywa się w realiach zalanych bolszewikami bezbronnymi kresów Europy.

Henryk Skirmuntt był kompozytorem, poetą i filantropem, zatopionym w marzeniach człowiekiem wielkiej wrażliwości. Mimo trwającej od dwóch tygodni wojny, pałac mołodowski żył prawdziwie wielkopolskim rytmem. Margaret, choć pochodzi z rodziny ziemiańskiej – a Augustówek i Hornica nie miały się czego wstydzić – pamięta swoje i brata olśnienie, ale też onieśmienie wykwinem i etykietą panującą w Mołodowie. Kolacje, na których podawano karczo-

chy i szampana, obrusy haftowane w książęce mitry, angielska porcelana, kryształ i woda różana do płukania rąk.

„Stół nakryty na przynajmniej czterdzieści osób, pełna gala, stroje no prawie wieczorowe. Wolno było mówić tylko o sprawach obojętnych, o sztuce, kulturze itp. Ani słowa o wojnie. Ciotka i wuj chcieli trwać w błogiej niewiedzy, jakby to mogło ocalić ich i Polskę.,,

„Polski słownik biograficzny”, podaje, że ostatni właściciel Mołodowa razem ze swoją siostrą został aresztowany **18 września 1939 r.** przez miejscowy komitet rewolucyjny złożony z chłopów. **W dwa dni później Henryka i Jadwigę Skirmunttów rozstrzelano w pobliskim lesie i tam zakopano.** Jednak Margaret, bezpośredni świadek tamtych wydarzeń, zapamiętała to inaczej. Oboje z bratem i matką – już niestety nie żyjącymi – mieli zawsze pewność swojej wersji, byli wówczas w pałacu, to działo się w ich obecności. Zgadza się data: 18 września. Są chwile, których się nie zapomina, choćby lżej żyło się bez ich świadomości.

Osiemnastego września od rana przed pałacową bramą zaczęli się gromadzić chłopci. Po kilku godzi-

nach stała tam falująca masa wrogo nastawionych ludzi. Wcisnięta za filar Margaret słuchała i patrzyła.

„W pewnym momencie chłopcy wyważyli bramę i otoczyli pałac. Zażądali widzenia z księciem. Stryj wyszedł przed ganek i zawołał ciotkę, która stała koło mnie i nie chciała iść, żeby podeszła do niego. Pamiętam jego słowa: *Zachowaj się godnie i chodź. Tłum się rozstąpił i zawarł nad nimi. Byłam ostatnią osobą, która widziała ich żywych. Po chwili usłyszałam dwa strzały i już wiedziałam, co się stało. Ciała wrzucili do rowu. (...) Miałam poczucie takiej beznadziejnej utraty wszystkiego. Najpierw Hornica, teraz Mołodów w dużo tragiczniejszym wymiarze. Tu już śmierć bliskich, no i chyba lęk o życie najbliższych”.*

Po zastrzeleniu właścicieli chłopci wdarli się do pałacu. Wszystkich domowników - łącznie 25 osób zamknęli w suterrenach, zapowiadając, że zaraz tu przyjdzie Armia Czerwona i wtedy będą „rezać” wrogów ludu. Zaczęło się grabienie i niszczenie, niespodziewanie przerwane w nocy przez niewielki oddział polskich żołnierzy, którzy uwolnili więźniów. W odwecie podpalili wieś i w tej akcji wziął udział Hugon. Miał



piętnaście lat, gorące serce i krew swoich walecznych przodków – mścił się za Hornice, za Mołodów, za ciotkę i wuja.

Szczęśliwie udało im się opuścić wieś i dołączyć do większego polskiego oddziału spotkanego na szosie. Po prawie miesiącu tułaczki Maria z dziećmi dotarła do Warszawy, gdzie zatrzymali się w ocalałym mieszkaniu na ulicy Solariego. W tym czasie nie mieli łączności ojcem, nie wiedzieli w ogóle czy żyje. Tymczasem po 17 września Patryk O'Brien de Lacy jak tysiące Polaków przedostał się do Rumunii, gdzie znalazł się w obozie internowanych. W lutym 1941 roku wydany Niemcom, trafił do oflagu w Doessel.

Zaczęła się okupacja i trzeba było jakoś związać poszarpane życie w codzienność, która pozwoli przetrwać, ale godnie. Maria znalazła pracę w magistracie, zapisała córkę do szkoły, do Sióstr Zmartwychwstanek na Żoliborzu. Hugon, który przed wojną ukończył dwie klasy w Korpusie Kadetów we Lwowie, kontynuował naukę w Gimnazjum Górskiego i tam w 1940 roku związał się z konspiracją. Zaczął działać w Związku Walki Zbrojnej. W marcu 1941 roku został aresztowany – wpadł przenosząc prasę podziemną – i zatrzymany w więzieniu na Daniłowiczowskiej. Wykupiony przez Organizację wyjechał do Krosna i od tej chwili na wiele lat rodzina straciła z nim kontakt. Aż do końca wojny nie dostali o nim żadnej informacji, śladu, kartki, znaku, że żyje, nic. Tymczasem Hugo, który postanowił przedostać się do Rumunii, został ponownie aresztowany, tym razem przez NKWD na próbie przekroczenia granicy na Węgry. Stało się to w maju 1941 roku. Został zesłany za Ural, do Swierdłowska, gdzie w miejscowym więzieniu spędził 15 miesięcy. Zwolniony w 1942 roku, trafił najpierw do polskiej delegatury wojskowej w Czelabińsku, a stamtąd latem 1943 do 1. DWP im. T. Kościuszki w Sielcach. Skierowano go do tworzącego się w Grigoriewskoje (powstał w sierpniu 1943 roku) 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa” do czwartej eskadry kapitana Wysoczańskiego. Osiemnastoletni Hugon O'Brien de Lacy, wzorem przodków wstępujący do armii, rozpoczynał największą przygodę swojego życia. Kochał latanie, znalazł w nim ujęcie dla wrodzonego umiłowania wolności, męstwa, brawury. Wojnę zakończył mając na koncie 29 lotów bojowych, jako chorąży odznaczony Krzyżem Walecznych i innymi odznaczeniami.

W tym samym czasie, gdy brat odbywał swój chrzest lotniczy, jego matka i siostra również szykowały się do walki. Maria O'Brien de Lacy działała w Pomoc-

niczej Służbie Kobiet, a Margaret trafiła do Szarych Szeregów. W Powstaniu Warszawskim była łączniczką – pseudonim „Rita” – w Obwodzie IV (Ochota – kryptonim „Prochownia”). Ocalała, choć jak wszyscy żołnierze sierpnia wielokrotnie ocierała się o śmierć. To co najgorsze przeżyła opuszczając Warszawę na „Zieleniaku” przy ulicy Opaczewskiej. Znalazła się tam w grupie, którą tworzyli: „Basia” (Barbara Kurnatowska), „Tomek” (Jerzy Oleszczuk), „Wilk” (Andrzej Maciejewski) i „Kajtek” (niestety nie udało się ustalić jego danych). Żołdacy RONA ustawili ich pod ścianą i kolejno zastrzelili chłopców. Ją i Basię uratował od śmierci jeden z ukraińskich oprawców. Mówił coś o podobnej do Margaret córce, którą zostawił w domu. Widmo tamtego epizodu pozostało z nią do dziś, tak jak śmierć ciotki i wuja w Mołdowie.

„Stałam pod tym murem – dobrze pamiętam – i byłam jak skamieniała, choć wiedziałam, że zaraz przyjdzie śmierć, że zabijają tych chłopaków, tak po prostu. Taka straszna groza, a jakaś taka bierność w jej obliczu. Nie umiem o tym mówić. I zapomnieć też nie mogę”.

Oprócz doświadczenia śmierci, która przeszła o włos czy o jedno ukraińskie sumienie obok, prócz świadomości – ta chyba dotarła później – że wpisała się jakoś pod obowiązujące w rodzinie *Meritis augentur honores*, Margareta – „Rita” ma z Powstania Warszawski Krzyż Powstańczy oraz Krzyż Armii Krajowej.

Wojna się skończyła i wiadomo było, że nic już nie będzie jak dawniej. Inaczej niż po I wojnie. Nie będzie czego odbudowywać, ani do czego wracać. Augustówek, Hornica, Grodno, Mołodów stały się nagle nieosiągalną zagranicą. Margaret spotkała się z matką w Milanówku. Gdy było to możliwe, wróciły do Warszawy. Zamieszkały razem z rodziną Maurycego i Nadziei na ulicy Narbutta. Czekwały na mężczyzn.

Najpierw przyszedł list od Patryka. Wyzwolony z oflagu, przebywał w Nicei na rekonwalescencji po ciężkiej chorobie. Namawiał, aby wobec zaistniałej sytuacji politycznej, póki jeszcze można przedostały się do niego na Zachód. Zarówno Maria jak i jej córka nie miały wątpliwości, gdzie jest ich miejsce, miejsce całej rodziny.

„Rzucić to wszystko? Wyjechać na zawsze z Polski? Żyć w lepszych warunkach? Poza krajem? Nas żadne warunki nie przerażały, a ni głód, ani chłód, byliśmy u siebie w swojej ojczyźnie i w swojej Warszawie.,,

Hugon O'Brien de Lacy wrócił do Polski, do Warszawy w 1945 roku. Nie zdjął munduru, latał w 1. PLM „Warszawa” jako dowódca klucza, jednocześnie uzupełniając wykształcenie. Radość z powrotu prześlaniało poczucie dojmującej straty. Margaret wspomina, jak wybrali się wspólnie szukać domu, z którego razem z kolegami zabrało go Gestapo.

„Na jakiej to było ulicy? Mój Boże, tyle lat minęło...nie pamiętam. (...) Ale pamięta, jak Hugon się wówczas rozżalił: „Tu nie ma żadnych wspomnień, zginęły, spaliły się razem z domem. A później, w jakiejś knajpce, do której weszli po drodze: „Powiedział ponurym głosem, że zupełnie nie ma się o co zaczepić w przeszłości. Żadne wspomnienie nie jest podparte dowodem. Zupełnie jakby go nie było. Hornicy nie ma. Augustówka nie ma, na Powązkowskiej nie ma nawet ruin i stawu, w którym się topił, też nie ma. I tego domu na Żoliborzu, i szkoły. Może mu się to wszystko przyśniło. Żadnego kolegi z tamtego okresu, Żadnej fotografii, żadnego punktu zaczepienia...”

W styczniu 1946 roku Hugon, wracający późnym wieczorem od kolegi, został napadnięty i postrzelony w Lasku Rembertowskim przez radzieckich żołnierzy. Przeżył, choć w nodze wywiązała się zgorzel gazowa, ale na reszty życia pozostał kaleką. Był to

początek czarnej serii w tym młodym a tak już doświadczonym życiorysie. W konsekwencji wypadku i kalectwa przyszła demobilizacja. Co tu mówić, co pisać. Obcięto orłu skrzydła. Najgorsze jednak dopiero miało przyjść.

Władysław Żurawski, przyjaciel Hugona, polski pilot z obywatelstwem radzieckim zagrożony był deportacją do ZSRR, co pachniało Łubianką, a dalej Gułagiem. W zorganizowaniu ucieczki Władka na Zachód przez Szczecin uczestniczyła prawie cała rodzina O'Brien de Lacych. Cieszyli się, że akcja się udała, że wyprowadzili w pole UB... Aresztowanie Hugona przez organa Informacji Wojskowej nastąpiło 26 czerwca 1947 roku. Trzymano go w więzieniu na Chałubińskiego, przez długi czas w celi z wodą po kolana. Rodzina była bezradna. Margaretę wezwano na przesłuchanie. Żyli w oczekiwaniu najgorszego. Pociechą był powrót Patryka, który w sierpniu tego samego roku przyплыł do Gdyni.

Wreszcie, 13 grudnia 1947 roku odbyła się sprawa Hugona, którego oskarżono z groźnego paragrafu – art 28 K.K.W.P. – w związku z ucieczką Władka Żurawskiego. W akcie oskarżenia zatwierdzonym przez pułkownika Kuhla napisano m.in.:

AKT OSKARŻENIA

W sprawie śledczej Nr 41/47 z oskarżenia O'Brien de Lacy Hugo

syn Patryka o przestępstwa przewidziane art. 2

KKWP w zw. z art. 90 KKWP.

Do Wydziału Śledczego Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego wpłynęły dane, że w końcu miesiąca września 1946 r. zdezerterował z Wojska Polskiego ppor. Żurawski Władysław i uciekł zagranicę Państwa Polskiego w czym czynnie pomógł mu O'Brien de Lacy Hugo syn Patryka, przez udzielenie mu pieniędzy w sumie trzech tysięcy zł. Oraz adresu ojca swego Patryka znajdującego się we Francji. (...)

Na podstawie powyższego oskarża się O'Brien de Lacy Hugo syna Patryka ur. 1925 r. w Warszawie, wykształcenie średnie, Polaka, kawalera, z rodziny urzędniczej b/partyjnego, w WP. Od 1943–1946 r. o to, że w końcu miesiąca września 1946 r. Będąc w pełni świadomości swego przestępczego czynu, udzielił pomocy materialnej w postaci pieniędzy Żurawskiemu Władysławowi celem umożliwienia mu dezercji z Wojska Polskiego i ucieczki za granicę Państwa Polskiego oraz wręczenie adresu ojca swego Patryka znajdującego się zagranicą, który miał ułatwić ppor. Żurawskiemu pobyt na obczyźnie, to jest o przestępstwa przewidziane art. 28 KKWP w związku z art. 90 KKWP. (...)

*Akt oskarżenia sporządzono w Warszawie dnia ** października 1947r.*

„Zgadza się”

Szef Wydziału Śledczego

Głównego Zarządu Informacji W.

/-/ Malkowski – ppłk.

St. Oficer Śledczy Wydz. Śl.

Głównego Zarządu Informacji W.

/-/ Knapiuk – ppor.

Hugo otrzymał dwa lata i zaczął odsiadywać wyrok na Rakowieckiej. Skutkiem „wygód” celi na Chałubińskiego było otwarcie ran w nodze. Rodzina przez cały czas czyniła starania o wydostanie go z więzienia. Skargę rewizyjną sąd co prawda odrzucił, ale podanie o nadzwyczajne ułaskawienie skierowane do prezydenta odniosło skutek. Bierut rozstrzygnął wniosek pozytywnie i Hugon O’Brien de Lacy wyszedł na wolność 1 lipca 1948 roku.

Próbował posklejać poszarpany życiorys, był jeszcze bardzo młody. Pisanie zawsze przychodziło mu łatwo. Zaczął pracę w „*Expresie Wieczornym*” a od 1953 roku pracował już do końca w „*Słowie Powszechnym*”. Nie mógł latać, ale mógł i pisał o lataniu. Został sekretarzem Klubu Sprawozdawców Lotniczych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Zaczął pracę nad książką o I. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa” i drugą o ludziach z tego Pułku. Pierwsza była już na ukończeniu – miała wstępny tytuł „*Szachownice wśród gwiazd*”. Nie wszystkie blizny goją się równie łatwo i nie zawsze wiadomo dlaczego. Bywa, że i najbliżsi nie wiedzą wszystkiego do końca, pozostając z pytaniami bez odpowiedzi. Zresztą, co można o drugim człowieku wiedzieć do końca? 29 listopada 1958 roku Hugo O’Brien de Lacy odebrał sobie życie.

Powojenne losy O’Brien de Lacych ułożyły się podobnie jak koleje tysięcy wydziedziczonych rodzin ziemiańskich. Prześladowani w pierwszych latach stalinizmu, spychani na margines ze względu na nazwisko i „reakcyjną” przeszłość, odnajdywali swoje miejsce w obcej rzeczywistości dzięki wykształceniu i paradoksalnie trzymaniu się tradycyjnych wpajanych od wieków zasad honoru, uczciwości, godności, wiary w siebie i poszanowania innych. Maurycy O’Brien de Lacy, inżynier rolnictwa po Politechnice Ryskiej do emerytury pracował

w gospodarstwie rolniczym „Czerniaków”. Jego żona Nadzieja Drucka O’Brien de Lacy po 1956 r. wydała 10 książek, zajmowała się także przekładami z literatury rosyjskiej. Patryk O’Brien de Lacy znalazł posadę w Wydziale Motoryzacji i Elektryfikacji w Ministerstwie Rolnictwa i pracował tam aż do emerytury, na którą przeszedł w 1961 roku.

Nigdy nie odwiedzili Augustówka ani Hornicy. W tej ostatniej nie ma już domu. Augustówek, wchłonięty został przez Grodno, także to co przetrwało, czyli XVIII-wieczna karczma i kaplica stoją dziś w środku typowego dla krajów byłego „demokratycznego” obozu blokowiska. I myliłby się ten, kto by sądził że osiedle tonie w zieleni osiemnastowiecznego parku – wszystkie drzewa skrupulatnie wycięto, także ten królewski modrzew. Pozostała tylko mętna sadzawka, pamiątka po dawnym stawie.

Któregoś dnia, wkrótce po powrocie do Warszawy Hugo i Margaret wybrali się do znajomej na Wawrzyszew. Podczas okupacji w ogrodzie została tam zakopana bezcenna szabla ich ojca, w srebrnej bogato kutej w ornamenty pochwie, o główni sadzonej klejnotami. Stara relikwia rycerskiego rodu. Szukali długo i nie znaleźli. Może ktoś ich uprzedził. Dziś na miejscu tamtego ogrodu stoi nowoczesne osiedle. Hugo nie mógł odżałować tej szabli. Jeszcze jedna strata, i z perspektywy czasu nasuwa się natrętnie skojarzenie symboliczne: przepadek szabli, śmierć ostatniego męskiego potomka starej rodziny, a wszystko pokryte kirem komunizmu. Prawdziwe wartości nigdy nie przepadają bezpowrotnie. Pozostaje pamięć i księgi ku jej utrwaleniu. Margaret O’Brien de Lacy napisała kilka tomów wspomnień dla rodziny, swojej córki także Margaretę, trzech wnuczek i zmarłych, a tak obecnych. Właśnie przygotowuje je do druku.

Joanna Sypuła-Gliwa



Niedzielne popołudnie ciotki Mani

Ciotkę Manię rzadko udaje się namówić na niedzielny spacer. Ona mówi, że kiedy za dużo chodzi, to się poci i bolą ją nogi. Zazwyczaj po mszy w cerkwi, swoim kacziowym chodem gna do domu. Twierdzi, że musi przypilnować służącą Darię, którą nazywa Tłumokiem, aby ta nie popsowała obiadu. Ciekawe, jak to ciotka pilnuje owego Tłumoka, skoro po jej przyjeździe z cerkwi, obiad już na nią czeka. Zgodnie z poleceniem ciotki, musi on być gotowy punktualnie na godzinę dwunastą. Wuj mówi, że to idiotyzm, ale z rezygnacją macha ręką i je o dwunastej.

O porze, kiedy w naszym domu je się obiad, ciotuchna pewnie już sposobi się do przyjęcia swoich gości. W każdą niedzielę przez okrągły rok, wczesnym popołudniem odwiedzają ciotkę Manię przyjaciółki. Przeważnie jako pierwsza, zjawia się wielka i krwista baba, żona starego mecenasa Piszczyka. Mecenasa jest starszy od swojej żony o dwadzieścia parę lat. Choć Piszczykowa jest przyjaciółką ciotki Mani, to ta mówi o niej, że to wredna baba. Odgraża się przy wuju, że kiedyś wygarnie w oczy całą jej nikczemność i głupotę. Bo Piszczykowa powinna każdego dnia Bogu dziękować za swój los. Przecież kiedyś była zwykłą służącą u starego kawalera, mecenasa Piszczyka. I tak go podeszła, mówi ciotka, że się z nią ożenił. A teraz nim pomiata.

- Nie mów tego mnie, bo wiem dobrze, co to za numer. Powiedz to tej babie, skoro ci się to aż tak nie podoba – niecierpliwi się wuj – czemu ją tutaj gościsz, jeśli jest taka?

- Było nie było, to jednak teraz żona adwokata, a ty przecież u niego byłeś aplikantem - uzasadnia ciotka swoje związki z Piszczykową.

- Ja odróżniam Piszczyka od tej megieiry. A ty gość ją sobie, skoro chcesz, mnie nic do tego – wuj Stefan zamyka temat razem z drzwiami do drugiego pokoju, w którym znika, uwalniając się od utyskiwań ciotki.

Rzeczywiście, Piszczykowa gdzie tylko może obnosi się z tym, że męża ma za nic i nie lubi swojej córki Baśki. O mężu mówi, że to fajtlapa, który życie jej zmarnował, bo niczego się nie dorobił jak inni ludzie. A Baśka to nieudacznik, co matce przynosi same zmartwienia. Rodzice



wykosztowali się na nią i maturę w Prużanie zrobiła, ale na dobre jej to nie wyszło. Piszczykowa nie wie, kto taki wpływ miał na Baškę, że w jej głowie całkiem się przewróciło. Boga się nie boi, wstydu za grosz nie ma. Jak ma swoje nieczyste dni, to gdyby nie matka, ona grzeszne ciało myłaby codziennie!

Do tego fajtlapa jak jej ojciec, ona nie potrafiła nawet znaleźć sobie porządnego narzeczonego. Ośmiela się mówić matce, że nad życie kocha jakiegoś młodziutkiego oficerka z garnizonu w Prużanie. Cóż z tego, że Piszczykowa upatrzyła córce kandydata na męża. To bogaty i bardzo stateczny wdowiec z Pińska, mógłby śmiało być jej postarzałym tatusiem. Takiego, to młodziutka Baśka mogłaby w mig owinać sobie wokół palca. On ma przecież duży majątek, a jest już wystarczająco stary, żeby...

Ale Baśka powiedziała, że wpierw się zabije, nim go poślubi. Ojciec Baśki, też

Fotografia z 1936 roku mojej rodziny. Stoją kolejno ojciec mój Stanisław trzymający mnie na rękach, moja mama Anna, a dalej córka wuja Stefana Mureczka i jej przyjaciółka Baśka. Przed dorosłymi stoi moje rodzeństwo, siostra Mundzia i brat Stefan.



Rodzina mojego ojca. Dziad Mikołaj, babka Katarzyna i ich dzieci córka Katarzyna i syn Stanisław (mój późniejszy ojciec). Fotografia z 1909 roku.

stał w jej obronie. Więc jedyną nadzieją i radością życia Piszczukowej, został tylko jej pierworodny syn Paweł. Ona mówi na niego Pawłatko. Piszczukowe Pawłatko jest rówieśnikiem syna ciotki Mani, Stefana. Ciotka do odmiany, swojego synusia nazywa pieszczotliwie Ścioszyk. Ten Ścioszyk ma dwa metry wzrostu i waży sto dwadzieścia kilo. Pawłatko i Ścioszyk, studiują na uniwersytecie w Wilnie. Mają zostać prawnikami. Jak ich ojcowie.

Ciotka Mania psiochy na Piszczukową, ale moim zdaniem, z niej także jest niezły numer. Ciągłe czepia się o coś wuja i chyba nie lubi swojej

córki Małgosi, mojej Mureczki. Wiecznie ma do niej jakieś pretensje. Mureczka często płacze. Przez ciotkę. Ja myślę, że chodzi o Poldka, narzeczonego Mureczki. Poldek, tak samo jak narzeczony Baśki Piszczukówny, jest oficerem i też służy w prużańskim garnizonie. Kiedy Mureczka i Baśka były uczennicami gimnazjum w Prużanie, na ich maturalny bal zostali zaproszeni młodzi oficerowie z garnizonu. Zawarte tam znajomości, z czasem przerodziły się w miłość...

Póki co, u wujostwa po obiedzie o rytualnej dwunastej, ciotka Mania przygotowuje się na przyjęcie swoich gości. Ciastka dla nich trzyma w kredensie pod kluczem, a klucz nosi przy sobie. Tacki z ciastkami do rąk służącej Darii nie da, chociaż upiekła je nie ciotka, a właśnie Daria. Postawi na stole sama i wszystkie przeliczy, pokazując na każde palcem.

Oprócz Piszczukowej, do ciotki przychodzą w gości jeszcze dwie staruszki. Jedna z nich, to pani Elżbieta Wasiljewna Godlewska, wdowa po poprzednim telechańskim popie, Julianie Godlewskim. Druga, to jej siostra, również wdowa, pani Nadzieжда Wasiljewna Kruczenko. Wdowy są małe i chudziutkie, a ich buzie podobne są do suszonych jabłek na zimowy kompot. Obie mają rzadkie, białe jak mleko włosy. Zaplatają je

w cienki jak sznurek warkoczyk, który zawiąją w koczek wielkości włoskiego orzecha.

Ubierają się w dziwaczne stroje, chyba jeszcze z czasów ich zamierzchłej młodości. Długie, ciemne suknie, całe w fałdach, pliskach i zaszewkach. Do tego kołnierzyki, żaboty, mankieci... Cudaczne kapelusze i torebki. Suknie pod szyją ozdabiają na przemian srebrnymi, albo emaliowanymi broszami. Z cienkich szyjek zwieszają się im złote łańcuszki, z dyndającymi na nich ozdobnymi zegarkami.

Kiedyś, jako mały bezczelny kpiarz, spróbowałem przy mamie zażartować z wyglądu tych pań. Mama ostro mnie wówczas skarciła. Powiedziała, że należy się im wielki szacunek nie tylko ze względu na wiek. Są to, bowiem osoby niezwykle szlachetne, czego nieraz swoim postępowaniem dowiodły.

Kiedy staruszki wchodzą do domu wujostwa, napełniają go zapachem naftaliny przemieszanej z lawendą. Same zaś, robią wrażenie osób czymś wylęknionych. Przy powitaniu mówią prawie szeptem. Następnie tak jakoś bojaźliwie, obie jednocześnie przeciskają się do saloniku przez drzwi, obwieszone ciężką zieloną portierą.

W saloniku dywany są na podłodze i na ścianie. Wiszą portrety i obrazy. Stół i krzesła, mają powyginane rzeźbione nogi. Nad stołem wisi ozdobny mosiężny żyrandol, z porcelanową błękitną przeciwwagą do regulowania wysokości jego zawieszenia. Pod oknem stoi ogromna chińska róża.

Ciężka atmosfera saloniku jeszcze bardziej przytłacza obie panie Wasiljewne. Siadają na samych brzeżkach zielonych, pluszowych siedzeń krzeseł, tak jakoś niepewnie. Po zajęciu takiej pozycji, małutkie stare panie z trudem sięgają nogami podłogi. Natomiast Piszczukowa bezceremonialnie i hałaśliwie opanowuje sobą całe krzesło i jeszcze na nim obustronnie zwisa. Ciotce siedziska na krześle wystarcza, ale nie jest za dużo.

Służąca Daria wnosi szumiący wrzątkiem, mosiężny wypolerowany samowar. Na jego czubku, siedzi porcelanowy czajniczek z herbacianą esencją. Na tym czajniczku dwie Japoneczki w kwiecistych kimonach, też piją herbatę.

Ciotka Mania z Piszczykową nalewają do filiżanek dużo esencji, staruszki, jakby po kropelce. Potem napełniają je ukropem z samowaru. Teraz wszystkie nalewają po trochę herbaty na spodeczki. Ze srebrnej cukiernicy biorą po kawałku cukru. Maczają go w herbacie na spodeczku i odgryzają ten umoczony kawałek. Z kolei, ostrożnie dmuchając na herbatę w spodeczkach, zapijają nią odgryziony cukier. Takie picie herbaty czysto starorusyjskie nazywa się „w priekusku”, czyli w przekąskę z cukrem.

Ciotka Mania nieomal przekrzykuje jakieś swoje racje z Piszczykową. Brzęczy porcelana i czasami ostrożnie zaszeleści głosem któraś z pań Wasiljewnych.

Nie minie godzina i samowar został już opróżniony. Wówczas cztery panie przy stole, zaczynają pogryzać ciastka. Chwalą kunszt gospodyni. Nie wiedzą, że piekła je służąca Daria, znaczy Tłumok po ciotczynemu.

Kiedy tacka z ciastkami opustoszeje, jedna ze staruszek otwiera wieczko zegarka i udaje przestach, że już tak późno. Jakby nie było słysząc, że stojący w kącie olbrzymi zegar Beckera, głośno wybija każdy kwadrans. Obie wdowy gramolą się z krzeseł na podłogę, rozglądając za swoimi okryciami, kapeluszami, torebkami. Również Piszczykowa, niechętnie i wyraźnie ociągając się, podnosi swój korpus. Otwiera torebkę, wyjmując z niej pudernicę i pudruje się. Po co, skoro i tak nos jej się świeci, jak nawoskowany ogórek. Tyle, że kolor ma inny.

Potem już w przedpokoju, ciotka nieomal ze szlochem wyraża swój żal, że panie tak prędko wychodzą. Było tak miło!

Dom wujostwa pustoszeje i kiedy za gośćmi już klapnie furka, ciotka mówi do wuja, że nareeesscie może odsapnąć. Na to wuj z politowaniem kiwa głową, macha ręką i sycząc coś o hipokryzji wychodzi do drugiego pokoju. Służąca Daria sprząta w saloniku, a ciotka Mania układa się na sofie i nie marnując czasu, zwyczajowo ma do Darii jakieś pretensje. Kiedy Daria bez słowa posprząta i wyniesie się do kuchni, ciotunia uczepi się Mureczki. Porządek musi być, choć zupełnie nie wiadomo, o co ciotce chodzi.

Wuj korzysta z tego zamieszania i wynosi się z domu. Ogrodową ścieżką idzie w odwiedziny do nas. Pewnie znowu zasiedzą się z moim ojcem do późnego wieczora, rozmawiając o polityce. Piją przy tym aromatyczną herbatę, a ojciec pali papierosy. Niepalący wuj marszczy twarz i odpędza od niej papierosowy dym, jak natrętą muchę.

Mama kiedyś patrząc na nich powiedziała, że są jak brzoza i sosna. Z wyglądu różnią się bardzo, ale korzeniami siedzą w tej samej ziemi. Mając zupełnie różne charaktery i zainteresowania, rozmawiali by ze sobą dzień i noc.

Ojciec mój jest samorządowym urzędnikiem. Burmistrz bardzo go ceni za jego wiedzę, ale w domu mój tata niewiele potrafi. Kiedyś nawet próbując wbić gwóźdź w ścianę, walnął się młotkiem w palec. Potem przez tydzień nosił na tym palcu „lalkę” z bandaża, ale paznokcieć i tak mu zlaźł.

Wuj Stefan do odmiany, potrafi zrobić wszystko. Ma mnóstwo narzędzi i uwielbia majsterkowanie. Dlatego tak chętnie przyklejam się do niego, nie bacząc na fochy ciotki Mani. Wuj chyba nawet lubi jak pałętam się koło niego, choć czasem coś nabroję. Jednak prawdziwą jego pasją, jest ogromny sad. W miasteczku nikt wujowi nie dorównuje wiedzą o sadownictwie, chociaż z zawodu jest prawnikiem. Teraz już prawniczej kancelarii nie prowadzi, gdyż z przymusu został „młodym emerytem”.

Rodzinna pamiątka mojej mamy z 1910 roku. Na progu werandy siedzi jej ojciec a mój dziad Antoni, siedzący w głębi werandy mężczyźni w kapeluszach to jego dwaj najstarsi synowie (wujowie moi) Jan i Stefan. Dwie pozostałe osoby w czapkach na głowie, to ich przyjaciele.



Tę „młodą emeryturę” wuj Stefan uzyskał poprzez niemałe tarapaty w jakie sam się wplątał, a to miało taki przebieg. Po odrodzeniu Polski w 1918 roku, wuj przez ponad dziesięć lat pracował w Urzędzie gminy pełniąc w niej funkcję radcy prawnego. Potem zrezygnował z tej pracy i założył swoją prawniczą kancelarię. Prowadząc ją, jako jedyny w całym powiecie prawnik podejmował się prowadzenia spraw przeciwko osadnikom z centralnej Polski, wśród których było dużo dawnych legionistów Piłsudskiego. Bowiem zdarzało się, że władze nadające im ziemię pod folwarki przy robieniu nowego podziału gruntów, krzywdziły poleskich chłopów przydzielając im ziemię jakościowo gorszą od posiadanej do tej pory.

Wuj podejmował się takich spraw i wygrywał je w sądach na korzyść Poleszków. W końcu tak to rozeźliło przegrywające w sądach powiatowe władze, że złożyły one na wuja odpowiednio „uzasadnioną” skargę do swoich wysokich, wojewódzkich władz.

Urzędujący wówczas wojewoda poleski Kostek Biernacki, był niezwykle włodarzem. Doskonale znał prawdziwe stosunki w podległych mu powiatach i gminach, bowiem wiarygodność składanych mu sprawozdań nieraz sprawdzał osobiście. Robił to w sposób niezwykle odwiedzając urzędy w przebraniu poleskiego chłopca, jako zwyczajny interesant. To też zanim wezwał wuja do siebie, skrupulatnie przestudiował całe to zagadnienie.

Wuj Stefan wezwany przed oblicze wojewody, ze zdumieniem usłyszał mnóstwo szczegółów ze swego życiorysu i pracy. Na zakończenie wojewoda oświadczył, że wuj powinien zrezygnować z prawniczej działalności i przejść na państwową emeryturę. Natomiast, jeśli propozycji tej nie przyjmie i nie zaprzestanie uprawiania w swojej kancelarii tego „wywrotowego” procederu, jego zasługi wobec Państwa mogą być przekreślone i wówczas nie wykaraska się z czekających go kłopotów. Po usłyszeniu takiej alternatywy, wujcio aczkolwiek niechętnie, ale przystał na propozycję wojewody przejścia na emeryturę.

A więc, pan wojewoda Kostek Biernacki okazał się być bardzo przyzwoitym człowiekiem, zadawszy sobie trud znale-

zienia iście salomonowego wyjścia z tej zawilej sytuacji nie tyle administracyjnej, co raczej politycznej.

* * *

Mnie takie zawilości życia dorosłych jeszcze wcale nie interesują, jak również temat ich dzisiejszej rozmowy. Mam też dosyć zabawy z rodzeństwem, a oni mnie chyba też. Wychodzę z domu. Na dworze pogoda zrobiła się inna, jak była przed południem. Jest bardzo duszno. Ponad sadem wisi czerwone słońce, wielkie jak miednica.. Mama mówi, że to oznacza zmianę pogody i nadejście silnego wiatru. Ale teraz powietrze jest zupełnie nieruchome. Wydaje mi się, że nawet jaskółki latają jakoś leniwie.

Przemyśliwuję jak tu wyrwać się do Tadzika. Idę niby do sadu, a potem chyłkiem przez warzywnik i podwórze wuja, do Jakubaszków. Udało się. Tadzia i Mundzika znajduję na ich podwórku i teraz w trójkę gnamy nad kanał. Włazimy na smukły jesion i z wysokości komina domu, obserwujemy snujące się po bulwarze zakochane pewnie pary, ale niebawem komary zaczynają dokuczać coraz mocniej. Złazimy z drzewa i na skróty pędzimy do domu.

- Hdzie ty byu ja zachrypla wołajuczy za tobą! - Złości się mama Tadzika.

Fotografia rodzinna mojego wuja Stefana z 1921 roku. Stojące kobiety to jego żona Maria (moja ciotka Mania) i siostra Anna, w późniejszych latach moja mama. Dzieci wuja to córka Małgorzata (Murczka) i syn Stefan.



- Maaamciu ja nigdzie nie był, ja tylko nie słyszał - zawodzi Tadzik.

Już jestem na werandzie domu i na wszelki wypadek patrzę mamie prosto w oczy, a mama niespokojna, chwytą mnie za rękę.

- Gdzie ty się podziewasz? Wołam i wołam...

- Mamusiu, ja byłem u Tadzika, on też nie słyszał, że mama go woła!

- Tyle razy mówię, żebyś nie odchodził od domu bez pozwolenia. - głos mamy łagodnieje.

- Woda nalana, myć się i do kolacji - kończy.

Zapadnięty w miękką, pachnącą pościel, widzę za otwartym oknem rozmazane w mroku zarysy owocowych drzew sadu.

W niezmaconej ciszy wieczoru, z leżącego niedaleko za ulicą Borową chutoru Żura, niesie się rozlewna poleska pieśń. To śpiewają czystymi, białymi głosami jego córki Żuryszki, jak je nazywają ludzie. Są to siostry bliźniaczki, Zojka i Ołena.

Pieśń płynie stamtąd za pieśnią, a mnie tutaj miło, wygodnie, bezpiecznie... Usypiam.

Słodkie, bez troskie dzieciństwo. Ostoją bezpieczeństwa, to dom osaczony ze wszystkich stron krzewami bzu i jaśminu. Nad naszym i wujostwa podwórzem, króluje potężny klon z bocianim gniazdem pomiędzy konarami, a naszego podwórza pilnuje wielka, rozłożysta brzoza.

W domu zaś mama, najlepsza z mam, zawsze znajdująca dla nas dzieci, czas na uśmiech i pieszczotę. Co prawda, jak widzę z perspektywy lat, tych uśmiechów dla nas chłopców było więcej, aniżeli dla naszej siostry Mundzi. Ale ta więcej od nas, przebywała razem z mamą. Od małej dziewczynki, a była w rodzeństwie najstarsza, wtajemniczała ją mama w skomplikowaną sztukę bycia dobrą panią domu. Natomiast ja z bratem, poza szkołą nie mieliśmy żadnych obowiązków. Ot, synal-kowie próżniaki. No cóż, takie w owych czasach były zwyczaje i taki był podział ról w domu.

Bogdan Mielnik

Z wielkim smutkiem i bólem powiadamy Czytelników „Ech Polesia” o odejściu od nas na Wieczną Wartę śp. Bogdana Mielnika, naszego wytrwałego i oddanego Współpracownika, Autora książki „Moje Telechany” (2006) oraz wielu artykułów i opracowań. Bogdan Mielnik urodzony 10.05.1933 w Telechanach na Polesiu zmarł 7.10.2008 r. w Lublinie po długich i ciężkich cierpieniach. Jako inżynier-elektryk pracował przez długie lata w Rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie. W ostatnich trzech latach swego życia, do ostatnich swoich dni, wytrwale był obecny w pracach redakcyjnych kwartalnika „Echa Polesia” służąc autorstwem, doskonałymi opracowaniami redakcyjnymi, bogatą wiedzą, doświadczeniem i radą. Będzie nam brak Pana Bogdana!

Małżonce i Rodzinie Pana Bogdana Redakcja składa wyrazy serdecznego współczucia.

Redakcja „Ech Polesia”



Bogdan Mielnik w towarzystwie delegacji Związku Polaków na Białorusi O/Polesie pod pomnikiem MATKI-SYBIRACZKI w Lublinie, rok 2006.



Adam Mickiewicz

LITANIA PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO

Kyrie elejson, Chryste elejson.

Boże Ojczy, któryś wiódł lud Twój z niewoli egipskiej

I wrócił do Ziemi Świętej,

Wróć nas do Ojczyzny naszej.

Synu Zbawicielu, któryś umęczony i ukrzyżowany, zmartwychwstał i królujesz w chwale,

Zbudź z martwych Ojczyznę naszą.

Matko Boska, którą ojcowie nasi nazwali Królową Polski i Litwy,

Zbaw Polskę i Litwę.

Święty Stanisławie, opiekunie Polski,

Módl się za nami.

Święty Kazimierzu, opiekunie Litwy,

Módl się za nami.

Wszyscy święci Opiekunowie Rzeczypospolitej naszej,

Módlcie się za nami.

Od niewoli moskiewskiej, austriackiej i pruskiej,

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy barskich poległych za Wiarę i Wolność,

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo dwudziestu tysięcy obywateli Pragi, wyrżniętych za Wiarę i Wolność,

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo młodzieńców Litwy, zabitych kijami, zmarłych w kopalniach i na wygnaniu,

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo obywateli Oszmiany, wyrżniętych w kościołach Pańskich i w domach,

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy zamordowanych w Fischau przez Prusaków,

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy zaknutowanych w Kronsztadzie przez Moskali,

Wybaw nas Panie.

Przez krew wszystkich żołnierzy poległych za Wiarę i Wolność,

Wybaw nas Panie.

Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców i pielgrzymów polskich,

Wybaw nas Panie.

O wojnę powszechną za Wolność Ludów,

Prosimy Cię Panie.

O broń i orły narodowe,

Prosimy Cię Panie.

O śmierć szczęśliwą na polu bitwy,

Prosimy Cię Panie.

O grób dla kości naszych w ziemi naszej,

Prosimy Cię Panie.

O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej,

Prosimy Cię Panie.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

